M.B. im. L.W. w Łodzi

- Co się dzieje w X Domu Akademickim? — str. 6
- Na południe od Czernobyla — str. 12
- Rozmowa z Diego Maradoną — str. 13
- Nawet górę wysadzili w powietrze — str. 14

Nr Indeksu 36762
PL ISSN 0472-5042

Łódź tygodnik społeczno-kulturalny

Odgłosy

NUMER 3 (1503) ROK XXX 17 STYCZNIA 1987 ROKU CENA 25 ZŁ

Pierwsze dni wolności w Łodzi

SERGIUSZ GRICUK

Łódź, czerwiec 1945 r. Poszukiwanie zaginionych rodzin. CAF—ODP ŁWP

Wieczorne bombardowanie 15 stycznia 1945 r. zastało mnie w fabryce lakierów. Dałem się namówić do ugotowania mydła dla właściciela fabryki, który przyszedł do „Starego" i otwarcie postawił sprawę, że to już mydło „na drogę". Pozostawiono mi do pomocy dwóch robotników, nie przejawiających większego zainteresowania robotą i co chwila znikających w „luftschutzraumie" u dyżurnych. Nagle na podwórzu zrobiło się jasno, jak w dzień. „Choinka" świeciła wysoko na niebie i słychać było odległe brzęczenie samolotów. Wróciłem do kotła, zacząłem wygarniać ogień z paleniska, gdy na torach kolejowych w odległości 300—400 m wybuchły bomby. Nie namyślając się wiele, wybiegłem na ulicę, kierując się do placu Hallera (dziś plac 2 Maja).

Lotnictwo radzieckie chciało sparaliżować ruch na drogach odwrotu niemieckiego, posiać niepokój w zdemoralizowanych już i tak oddziałach. Bomby spadły na ul. Kopernika, Karolewską, 6 Sierpnia (dziś 22 Lipca), Konstantynowską, 11 Listopada (dziś Obrońców Stalingradu), Aleksandrowską. W śródmieściu zbombardowano okolice placu Wolności. Budynek przy Zachodniej, róg 11 Listopada, runął i zapalił się. Płonął dom przy elektrowni od strony ul. Przejazd (dziś Tuwima). Bomby były niewielkie, ale stare budynki, jak ten na Kopernika przy rogu Wólczańskiej, sypały się od góry do fundamentów.

Praca w fabryce ustała. Robotnicy w większości jednak przychodzili, aby dowiedzieć się nowości. Niemiecka ludność cywilna rzuciła się masowo do ucieczki. „Stary" z żoną i szwagrem wsiedli na rolwagę zaprzężoną w jednego konika i pojechali.(...)

Nadszedł wreszcie dzień wyzwolenia. Jak zawsze o 7.00 rano byliśmy w fabryce, sprawdzaliśmy zamknięcia pomieszczeń, obecność służby porządkowej. Przyszło około 10 pracowników. Pogadaliśmy o tym, co mogą nam przynieść najbliższe godziny. Miasto przycichło jakby w bezruchu, czekając na swój los. Niemcy cywilni „wywiali" do szczętu, ale co z wojskiem? Jeszcze wczoraj rano na Piotrkowskiej stało chyba z 30 czołgów. Ich załogi stanowili chłopcy poniżej 20 lat. Chodzili bez uśmiechu, wyglądali na skazańców.

Wyszliśmy na miasto. Maszerowaliśmy pustymi ulicami — Kopernika, Karolewską do Dworca Kaliskiego. Na chodnikach było pełno odłamków szkła. Dwukrotnie doganiały nas i wyprzedzały małe grupki niemieckiej piechoty. Szły prawie biegiem, pytając po drodze, czy to kierunek na „Schieratz". Na sercu coraz lżej — to już maruderzy. Na przystanku tramwajowym przy dworcu góra walizek i tobołków porzuconych przez uciekających Niemców. W pobliżu stacji towarowej bramy magazynów pootwierane.

Gdzieś na południowym wschodzie przewalały się grzmoty artyleryjskiej kanonady. Uznaliśmy, że pora zajrzeć na plac Wolności, bo tam krzyżują się drogi przelotowe. Około godziny 10.00 na Pomorskiej (dziś Nowotki) panowało o-

Opowieść ta zaczyna się w Warszawie, aby następnie wraz z jej gojaterem przejść pola i łąki nad Wisłą, Wartą i Bzurą, stepy Dalekiego Wschodu, trudne lata trzydzieste i zatrzymać się przed napaścią hitlerowców na ZSRR.

Krzyżujące się drogi

Część I

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

22 lipca 1949 roku przypadła piąta rocznica ukazania się Manifestu Lipcowego PKWN, czyli powstania Polski Ludowej. Tego dnia odbyło się w Warszawie uroczyste otwarcie słynnej już wówczas Trasy W-Z. Posypały się ordery i odznaczenia, poeci swój zachwyt wyrazili w wierszach, przyjechali goście, aby wziąć udział w jubileuszowych uroczystościach. Wśród gości był marszałek Związku Radzieckiego Konstanty K. Rokossowski, dowódca Północnej Grupy Wojsk Armii Radzieckiej, częściowo stacjonujących w Polsce.

W czasie uroczystości otwarcia Trasy W-Z wygłosił po polsku okolicznościowe przemówienie — transmitowane wówczas przez radio — w którym mówił o odbudowie Warszawy i wspólnej walce polskich i radzieckich żołnierzy przeciw faszystowskim najeźdźcom. Skierował też do premiera Józefa Cyrankiewicza pismo gratulacyjne następującej treści:

„Proszę Pana, Panie Premierze, przyjąć ode mnie osobiście i od wszystkich żołnierzy podległych mi wojsk najserdeczniejsze pozdrowienia w związku z Piątą Rocznicą Odrodzenia nowej Demokratycznej Polski. Życzę również Panu i całemu Narodowi Polskiemu nowych osiągnięć w umacnianiu Polski Ludowej".

Wziął udział w przyjęciu wydanym z okazji piątej rocznicy ukazania się Manifestu PKWN. A przed opuszczeniem 23 lipca 1949 roku Warszawy zwiedził Muzeum Narodowe oprowadzany przez jego dyrektora prof. Stanisława Lorentza, zwiedził też Trasę W-Z. Towarzyszyli mu marszałek Polski Michał Rola-Żymierski i szef Sztabu Generalnego Wojska Polskiego gen. Władysław Korczyc.

W październiku 1949 roku odpoczywał w Lądku-Zdroju, gdzie leczyła się w tym samym czasie jego młodsza siostra Helena, a następnie udał się na dalszą część urlopu do Moskwy.

„Pewnego razu — wspomina gen. Paweł Batow, współtowarzysz walk marszałka Konstantego K. Rokossowskiego — *nieoczekiwanie dla marszałka Rokossowskiego, pod jego dom podjechały dwa samochody osobowe — przybył w towarzystwie oficerów sekretarz Stalina, Poskrebyszew, który oświadczył, że Stalin prosi marszałka do siebie. Rokossowski był oczywiście nieco zdetonowany tak nagłym wezwaniem, nie domyślał się, co może być tego przyczyną.*

Po przybyciu do willi Stalina poproszono Rokossowskiego do dużego salonu. Przy stole siedzieli członkowie Biura Politycznego KC KPZR.

— Już dwukrotnie rząd polski i osobiście towarzysz Bierut prosili mnie — zaczął Stalin — abym zgodził się na objęcie przez was stanowiska ministra obrony Polski Ludowej.

— Jestem żołnierzem i komunistą — odpowiedział Rokossowski. — Jeśli taka jest wola kierownictwa naszej partii i rządu, jestem gotów pojechać...

Po zakończeniu oficjalnej rozmowy Stalin porowadził marszałka Rokossowskiego do ogrodu i zerwał dwa pęki kwiatów, dla jego żony i córki".

7 LISTOPADA 1949 ROKU

w XXII rocznicę Rewolucji Październikowej, „Trybuna Ludu" i inne gazety przyniosły liczne dokumenty uchwalone na wspólnym posiedzeniu Rady Państwa i Rady Ministrów oraz inne. W komunikacie ze wspólnego posiedzenia Rady Państwa i Rady Ministrów, które odbyło się 6 listopada 1949, stwierdzono między innymi:

„(...) Prezydent Rzeczypospolitej Polskiej Bolesław Bierut, zważywszy, że Marszałek Rokosowski (tak wówczas pisano nazwisko Konstantego Rokossowskiego — przyp. L.W.) *jest Polakiem i cieszy się popularnością w narodzie polskim, zwrócił się do Rządu Radzieckiego z prośbą o skierowanie, o ile to jest możliwe, Marszałka Rokosowskiego do dyspozycji Rządu Polskiego dla służby w Wojsku Polskim.*

Rząd Radziecki, mając na względzie przyjazne stosunki, które łączą ZSRR i Polskę, i biorąc pod uwagę, że Marszałek Rokosowski decyzję w tej sprawie pozostawił w pełni Rządowi Radzieckiemu, zgodził się uczynić zadość prośbie Prezydenta Bolesława Bieruta, zwolniwszy Marszałka Rokosowskiego, zgodnie z zaleceniem Prezydium Najwyższej Rady ZSRR, ze służby w Armii Radzieckiej i skierował do dyspozycji Rządu Polskiego".

W tym samym czasie minister obrony narodowej marszałek Polski Michał Rola-Żymierski złożył dymisję ze swego stanowiska, motywując to powierzeniem mu innych obowiązków. Został niebawem członkiem Rady Państwa. Rada Państwa mianowała marszałka Konstantego Rokossowskiego ministrem obrony narodowej i marszałkiem Polski.

Marszałek Michał Rola-Żymierski w pożegnalnym rozkazie stwierdził między innymi:

„Dziękuję Wam w imieniu służby za dotychczasowy Wasz ofiarny trud żołnierski, wierzę głęboko, że pod tak znakomitym dowódcą, jeszcze bardziej umocnicie siłę obronną naszej Ojczyzny".

Odgłosy

Adres redakcji:
90-113 Łódź, ul. Henryka Sienkiewicza 3/5.

Telefony: redaktor naczelny 36-52-44,

sekretarz redakcji,

fotoreporter: 36-80-99,

publicyści: 36-77-70.

Redaktor naczelny: Lucjusz Włodkowski.
Zastępca redaktora naczelnego: Edmund Lewandowski.

Sekretarz redakcji: Grażyna Olechnowicz.

Kierownik działu literackiego: Grzegorz Gazda

Redaktor techniczny: Janusz Kozłowski.

Zespół: Ryszard Binkowski, Dariusz Dorożyński, Eugeniusz Iwanicki, Teresa Jerzykowska, Andrzej Karolczak, Roman Kubiak, Jerzy Kwieciński, Bogda Madej, Andrzej Makowiecki, Paweł Tomaszewski Jolanta Wrońska.
Grafik: Janusz Szymański-Glanc.
Fotoreporter: Grzegorz Gałasiński.
Korekta: Mariola Knaga, Jolanta Sawiuk.
Stale współpracują: Tadeusz Błażejewski, Bohdan Gadomski, Jacek Głębski, Witold Kasperkiewicz, Marek Koprowski, Włodzimierz Krzemiński, Marek Mamos, Zenon J. Michalski, Ryszard Nakonieczny, Jerzy Panasewicz, Karol J. Stryjski, Maciej Świerkocki, Witold Werner.

Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa — Książka — Ruch" 91-103 Łódź, ul. Sienkiewicza 3/5.

DRUK: Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa — Książka — Ruch", Łódź, ul. Armii Czerwonej 28.

Redakcja nie zwraca nie zamówionych rękopisów i zastrzega sobie prawo do skrótów.

Warunki prenumeraty. Dla instytucji i zakładów pracy — zlokalizowane w miastach wojewódzkich i pozostałych miastach w których znajdują się siedziby Oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" zamawiają prenumeratę w tych oddziałach — instytucje i zakłady pracy zlokalizowane w miejscowościach gdzie nie ma Oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli. 2. Dla indywidualnych prenumeratorów — osoby fizyczne zamieszkałe na wsi i w miejscowościach, gdzie nie ma oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli, osoby fizyczne zamieszkałe w miastach — siedzibach Oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" opłacają prenumeratę wyłącznie w urzędach pocztowych nadawczo-oddawczych właściwych dla miejsca zamieszkania prenumeratora. Wpłaty dokonuje się używając blankietu „wpłaty" na rachunek bankowy miejscowego Oddziału RSW „Prasa — Książka — Ruch" 3. Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa — Książka — Ruch" Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 28 00-958 Warszawa konto NBP XV Oddział w Warszawie, nr 1153-201045-139 11 Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę pocztą zwykłą jest droższa od prenumeraty krajowej o 50 proc dla zleceniodawców indywidualnych i o 100 proc. dla zlecających instytucji i zakładów pracy Terminy przyjmowania prenumeraty na kraj i za granicę — do dnia 10 listopada na I kwartał i półrocze roku następnego oraz cały rok następny — do dnia 1 każdego miesiąca — poprzedzającego okres prenumeraty roku bieżącego.

Zam. 61. H-2.

Przegląd prasy

W styczniu minęła 45 rocznica powstania Polskiej Partii Robotniczej. Z tej okazji w tygodniku „KULTURA" (nr 1) ukazał się ciekawy artykuł prof. Antoniego Czubińskiego pt. „Partia czynu". Zdaniem autora, utworzenie 5 stycznia 1942 r. PPR było akcją bardzo spóźnioną. Istniał już bowiem całkowicie ukształtowany system polskiego państwa podziemnego, zdominowany przez centrowe i prawicowe organizacje związane z antyradziecko nastawionym emigracyjnym rządem londyńskim.

Przywódcy PPR próbowali porozumieć się z przedstawicielami Delegatury w celu stworzenia wspólnego frontu walki z okupantem hitlerowskim. Jednakże

ROZBIEŻNOŚCI POLITYCZNE

między PPR a ugrupowaniami rządowymi okazały się zbyt duże. *„PPR nawiązywała do konstytucji z 1921 r., podczas gdy tzw. obóz londyński do sanacyjnej konstytucji z 1935 r. Przywódcy lewicy dowodzili, że szczególną rolę w wojnie spełni ZSRR i wzywali do ścisłe' współpracy z nim, natomiast obóz rządowy sądził, że ZSRR nie odegra wielkiej roli w wojnie i nie nastawiał się na bliższą współpracę z nim. Głoszono teorię tzw. dwóch wrogów i wzywano do czekania aż obaj się wykrwawią. PPR domagała się natychmiastowej walki z okupantem, podczas gdy obóz londyński organizował siły zbrojne z myślą o rzuceniu ich do walki w końcowej fazie wojny. Inaczej też wyobrażano sobie granice i ustrój polityczny odrodzonego po wojnie państwa polskiego".*

Po niepowodzeniu rozmów z krajowymi agendami rządu emigracyjnego w Londynie, PPR postanowiła zorganizować odrębny ośrodek państwowotwórczy. W lipcu 1944 r. KRN i PKWN przejęły władzę na obszarach wyzwolonych. Na czele rządu polskiego po raz pierwszy stanęła rewolucyjna partia proletariatu.

Skupione wokół PPR siły demokratyczno-ludowe wygrały referendum z 30 czerwca 1946 r. oraz wybory do Sejmu z 19 stycznia 1947 r. Wydawało się wtedy, że nastał czas stabilizacji politycznej. Niebawem jednak zaczęły narastać rozbieżności w łonie centralnego kierownictwa PPR. Przeciwko sekretarzowi generalnemu Władysławowi Gomułce kształtowała się opozycja z Jakubem Bermanem, Bolesławem Bierutem, Franciszkiem Jóźwiakiem, Hilarym Mincem i Aleksandrem Zawadzkim na czele.

Co było przedmiotem sporu? Antoni Czubiński pisze: *„Przeciwnicy Gomułki opowiadali się za przyspieszeniem procesu budowy socjalizmu w Polsce i przeciw eksponowaniu tzw. polskiej specyfiki narodowej. Ulegali tendencjom dogmatycznym i sekciarskim. W ocenie przeszłości wychodzili z założenia, że do postępowych, godnych upowszechnienia tradycji, należą tylko tradycje rewolucyjne i internacjonalistyczne. Wracano do tradycji nurtu sekciarskiego w KPP. Tymczasem Gomułka krytycznie oceniał dokonania SDKPiL i KPP, natomiast z uznaniem wypowiadał się o patriotycznych tradycjach PPS. Zabiegał o zjednoczenie PPR i PPS na zasadzie wzajemnego uznania i poszanowania partnera. Gomułka obawiał się też negatywnych skutków zbytniego przyspieszenia procesu industrializacji i kolektywizacji rolnictwa".*

RÓŻNICE ZDAŃ NARASTAŁY

stopniowo aż do powstania otwartego konfliktu na plenum KC PPR 3 czerwca 1948 roku. Analizowano stan przygotowań do Kongresu Zjednoczeniowego, który miał się odbyć we wrześniu. Referat na temat doświadczeń i tradycji socjalistów i komunistów wygłosił Gomułka. Lecz nie uzgodnił tego wystąpienia z Biurem Politycznym, ponieważ wiedział, że większość członków nie podziela jego poglądów. *„Liczył zapewne, iż w łonie KC znajdą się działacze myślący podobnie jak on. Spotkał go jednak zawód. Większość osób występujących w dyskusji odniosła się krytycznie do jego ocen. Polemizowali z nim głównie byli członkowie KPP i CBKP: J. Borejsza, T. Daniszewski, J. Finkielsztein, L. Kasman, E. Ochab, M. Turlejska, K. Werfel, W. Wolski".*

Po plenum członkowie Biura Politycznego zaczęli spotykać się bez Gomułki, i 8 czerwca przyjęli uchwałę precyzującą stanowisko wobec sekretarza generalnego. Gomułkowską ocenę przeszłości polskiego ruchu robotniczego uznali za *„poważne ustępstwo na rzecz nacjonalistyczno-burżuazyjnych i reformistycznych tradycji, reprezentowanych przez PPS".* W odpowiedzi na tę krytykę Władysław Gomułka pisał między innymi: *„Kto nie chce widzieć tego faktu..., że rozwój historyczny narodu polskiego toczył się specyficznym szlakiem, nieznanym innym narodom Europy, kto zapomina, że na postawę narodu polskiego składa się suma jego historii — ten jest najbardziej predestynowany do popełnienia błędów politycznych, do odrywania się nie tylko od narodu, lecz i od klasy robotniczej".*

Na kolejnym plenum KC (31 VIII—3 IX) usunięto Gomułkę ze stanowiska sekretarza generalnego. Na jego miejsce wybrano Bolesława Bieruta. W skład BP wchodzili ponadto: Jakub Berman, Franciszek Jóźwiak, Hilary Minc, Stanisław Radkiewicz, Marian Spychalski, Roman Zambrowski i Aleksander Zawadzki. Kongres Zjednoczeniowy przesunięto o trzy miesiące. W obu partiach, PPR i PPS, przeprowadzono weryfikację. Z pierwszej odeszło ok. 29 tys., a z drugiej ok. 82 tys. członków.

HISTORYCZNY BILANS

działalności Polskiej Partii Robotniczej jest bardzo korzystny dla naszego narodu. *„Trudno sobie wyobrazić odrodzoną po wojnie Polskę* — pisze prof. A. Czubiński — *w innym kształcie niźli ten, który nadali jej przywódcy PPR. Rezygnując z ziem wschodnich uzyskali oni wsparcie ZSRR dla polskich roszczeń terytorialnych wobec pokonanych Niemiec. W sumie Polska straciła w tej wojnie około 77 tys. km kw. Tymczasem polityka przeciwników PPR prowadziła do tego, że Polska mogła utracić około połowę obszaru z okresu międzywojennego. Ich upór w sprawie granicy ryskiej nie miałby praktycznie żadnego znaczenia, ponieważ decydujące o powojennych granicach w Europie mocarstwa od dawna odrzucały granicę ryską i jednoznacznie popierały stanowisko ZSRR w tej kwestii. Nie były one też skłonne do zbytniego przesuwania granicy polskiej na zachód. Gdyby granice odradzanej po wojnie Polski ustalono w porozumieniu z rządem emigracyjnym, wówczas Polska utraciłaby Kresy Wschodnie i nie odzyskałaby tak dużego obszaru na północy i zachodzie".*

Bezpośrednio przed zjednoczeniem z PPS Polska Partia Robotnicza liczyła ok. 1 mln osób. Robotnicy stanowili 60 proc., chłopi 22 proc., a pracownicy umysłowi 17 proc. ogółu członków.

Jeśli już jesteśmy przy historii, to warto zwrócić uwagę na interesującą rozmowę z prof. Janem Baszkiewiczem, którą dla tygodnika „ARGUMENTY" (nr 2) przeprowadziła Mirosława Dołęgowska-Wysocka. Znany uczony wypowiada się m.in. o twórczości Jasienicy. Jego zdaniem

SUKCES PAWŁA JASIENICY

potwierdza tezę, że świadomość historyczną Polaków kształtują głównie Matejko, Sienkiewicz, Kraszewski, Grottger, a nie historiografia akademicka, choć ma ogromny dorobek. Stan ten potęgują jeszcze dom, szkoła i kościół. *„Jasienica świetnie do tego pasuje, gdyż jego historiografia jest bardzo tradycyjna. Proszę zaś spojrzeć na jego metodologię, po prostu smutek człowieka ogarnia! (...) Tradycjonaliści Jasienicę kochają. Kochają go tak dalece, że mu wybaczają nawet jego zdecydowany antyklerykalizm! Mój przyjaciel Janusz Tazbir napisał wnikliwy szkic na temat «Rzeczypospolitej obojga narodów» i przypomniał, jak silne w niej są wątki antyklerykalne, niechęć do kontrreformacji czyli licznych kościelnych dygnitarzy. Zdawałoby się, że to będzie naszych Polaków-katolików zniechęcać, tymczasem wcale tak nie jest. Dlaczego? Ludzie wybaczają to wszystko Jasienicy dlatego, iż jest u niego z kolei coś, co bardzo łechce naszą narodową próżność, taka mianowicie historiozofia, iż zawsze w Polsce byli bardzo niedobrzy rządzący i wspaniałe społeczeństwo.."*

Jan Baszkiewicz interesuje się bardzo rolą przypadków w historii. Uważa, że historycy marksistowscy zanadto wierzyli, iż wielkie mechanizmy społeczne dają całkowitą wiedzę o historii. *„Poza wielkimi procesami, poza wielkimi mechanizmami — czytamy — jest także miejsce w historii na zwykły przypadek, który sprawia, że nagle w danym miejscu pojawia się ten, a nie inny człowiek ze swoimi cechami osobowymi, zaletami i ułomnościami. Oczywiście nie zmienia on generalnego kierunku procesu historycznego, ale potrafi zmienić jego przebieg".*

Wielkimi mechanizmami i procesami społecznymi zajmują się przede wszystkich socjologowie. Ale nie wszyscy uznają socjologię za naukę. Kiedyś dyskutowano, czy jest to

KRÓLOWA NAUK CZY SZARLATANERIA?

Obecnie z gwałtownym atakiem, pamfletem na socjologię wystąpił w krakowskim „ZDANIU" (nr 12 z 1986 r.) Włodzimierz Pawluczuk. Twierdzi on, że socjologia empiryczna — jest bezradna wobec biegu życia społecznego. Nie może wyjaśniać, prognozować ani doradzać. Często decydenci-praktycy lepiej znają zjawiska społeczne niż socjologowie-doradcy. *„Wiedza socjologów o życiu, którego mają być inżynierami, jest żenująco uboga nawet w porównaniu z wiedzą artystów, prezentowaną niekiedy w literaturze czy filmie".*

Włodzimierz Pawluczuk pyta i odpowiada: *„Jak to się dzieje, iż nieraz naiwni młodzi działacze trafiają w swej ocenie rzeczywistości bardziej w sedno niż starzy profesorowie znający wszystkie możliwe teorie, dysponujący sztabem ankieterów, baterią komputerów, biur statystycznych, których zawodem jest szukanie najbardziej poprawnych dróg dotarcia do obiektywnej prawdy? Dzieje się tak dlatego, że owa Obiektywna Prawda jest fikcją myśli pozytywistycznej. Rzeczywistość sama w sobie jest wielowarstwowa, wielopostaciowa..."* Możliwe więc są różne płaszczyzny analizy, różne interpretacje, różne teorie.

Na zakończenie przeglądu sygnalizuję, że ukazał się pierwszy w tym roku numer „KALEJDOSKOPU" — Łódzkiego Przewodnika Kulturalnego. Otwierają go wspomnienia Konstantego Mackiewicza, nagrane i spisane przez Zofię Turowską. Oto krótki fragment: *„Grodno zamieszkiwali Polacy, Żydzi, Rosjanie i Białorusini. I była wielka zgoda. W klubie oficerskim, w zamku Batorego, to proszę pani bal otwierał się zawsze mazurem albo polonezem. A mój kolega, Szetman, Żyd, tańczył z córką policmajstra. (...) No a ja wciąż malowałem. Nie chodziłem do szkoły, miałem prywatne lekcje i bardzo dużo czytałem. Do lektur zachęcała mnie matka, która w większości czytała rosyjską literaturę. Dlaczego rosyjską? Bo w Grodnie bardzo trudno było o polską książkę. Wielu naszych klasyków, m.in. Mickiewicza, Przybyszewskiego, wydawano w tłumaczeniu rosyjskim".*

E. L.

NA WŁASNY RACHUNEK

Obowiązek pamięci

Im dalej (i coraz szybciej!) posuwam się w latach, tym chętniej poddaję się smętnym urokom wspomnień, w czym, niestety, nie jestem oryginalny. Zresztą, czy to zasługa długo pożyć i dorobić się wspomnień? Wystarczy tylko cierpliwie czekać, unikając postępków lekkomyślnych, które mogłyby wystawić cenne zdrowie na szwank.

Niektóre fakty z naszej przeszłości stają się przedmiotem pamięci zbiorowej i całkiem to normalne, że w takiej sytuacji jeden pamięta inne szczegóły niż drugi, ale nie można łatwo pogodzić się z kłamliwym przedstawianiem przez kogoś swojego udziału w historycznych wydarzeniach i przypisywania sobie innych przeżyć i stanu świadomości niż to było naprawdę, a zwłaszcza z fałszowaniem obrazu historii.

Co roku, przeważnie w miesiącach zimowych miasta i miasteczka centralnej Polski święcą uroczyście rocznice wyzwolenia spod okupacji hitlerowskich Niemiec. Nie tylko z akademijnej okazji, ale często pod prywatnym dachem snują sobie coraz odleglejsze wspominki ludzie co rok starsi, a młódź niekiedy słucha, jeśli nie ma nic lepszego do roboty. Jakież to ludzkie, że każdy wspomina przeszłość przez pryzmat swojego obecnego do niej stosunku. Kto więc z czasem zaakceptował wewnętrznie zmiany ustrojowe, które niosła z sobą Polska „lubelska", temu niemiło przyznać, jak wówczas odrzucał społeczny program Polski Ludowej i polityczne perspektywy zawarte w nowym układzie sojuszów. Kto do dziś pozostał nieprzejednanym przeciwnikiem socjalistycznej Polski, ten znów najchętniej wydobywa z pamięci sprawy bolesne i tragiczne, błędy i pomyłki władzy, jak gdyby dla uświetnienia swojego patriotyzmu i politycznej dalekowzroczności. Bo każdy lubi od czasu do czasu wykrzyknąć z tryumfem: „A nie mówiłem!". Na czym często cierpi jednak prawda historyczna.

Nie ma powodu zatajać, że zanim na ulicach naszych miejscowości pojawiły się pierwsze oddziały wyzwolicieli i zanim zaczęły się formować zalążki jawnie i legalnie działającej władzy, ogromna większość mieszkańców polskich miast i wsi niczego bliższego nie wiedziała o przeobrażeniach ustrojowych zapoczątkowanych czy też sformułowanych już w wyzwolonym Lublinie, nie znała też zupełnie z wyglądu i z imienia reprezentantów nowej władzy partyjno-państwowej, jak Bierut, Gomułka, Zawadzki, Osóbka-Morawski, Cyrankiwicz, czy też o wojskowych dowódcach: Roli-Żymierskim, Świerczewskim czy Berlingu. Toteż łatwo dawano posłuch plotkom, kolportowanym przez „podziemie", że nie są oni rodowitymi Polakami, lecz „agentami nasłanymi przez Moskwę".

Ale niezależnie od tego znaczna część robotników, kierując się po prostu rozsądkiem i zdrowym odruchem moralnym zaczęła dniami i nocami, nie pytając o zarobki i otrzymując tylko symboliczne wynagrodzenie, uruchamiać fabryki i kopalnie, koleje i tramwaje, elektrownie i wodociągi, a ogół nauczycielstwa przystąpił do pracy w najtrudniejszych warunkach, w zdewastowanych i nie ogrzanych budynkach, bez podręczników i pomocy szkolnych. I nie oznaczało to całkowitego i świadomego akcesu tych wielotysięcznych rzesz ludzi pracy do obozu lewicy, lecz dokonywało się z motywacji patriotycznej, w kategoriach obywatelskiego obowiązku, oczywiście w poczuciu, że jest się na swoim i robi się dla siebie i swoich dzieci. Ale jednocześnie radość z pozbycia się okupanta i z ratunku przed zagładą mieszała się u wielu z uczuciem pewnego zawodu, iż kształt wolności i układ sojuszów nie pokrywają się z dążeniami i pragnieniami. Ale pomimo tego Polska, jaka powstała, jest jedyną Polską realną.

Przypomnijmy też, iż spore, choć stale topniejące odłamy inteligencji przyjęły postawę niechętną nowej rzeczywistości, że niejeden fachowiec uchylał się od przystąpienia do pracy „u nich" (znacznie bardziej prosocjalistycznie zareagowało środowisko intelektualistów), że wreszcie część ludzi nastawionych opozycyjnie przystąpiła do nielegalnych działań propagandowych, sabotażowych czy zbrojnego terroru.

Słowem, w niezupełnie „klasycznych" warunkach, gdyż pod potencjalną osłoną wojsk sojuszniczych, rozegrała się najprawdziwsza, bezwzględna i zarazem wielce skomplikowana walka klasowa, która zresztą w świadomości ludzkiej mistyfikowała się nieraz jako walka o „prawdziwą" wolność narodu.

Ale co z tych nauk przeszłości wydaje mi się dziś najważniejsze? Ciągle jeszcze uważałbym za najpilniejsze, żeby wszyscy, bez względu na swoje wyobrażenia o Polsce doskonałej pod każdym względem, nawet ludzie nie całkiem akceptujący zasady ustroju socjalistycznego, zrozumieli, że istnieje tylko jedna realna Polska, dla której nie ma przecież alternatywy, chyba tylko w chorobliwych rojeniach ludzi stawiających na globalny konflikt jądrowy.

Nie może więc być dzisiaj żadnej patriotycznej, obywatelskiej motywacji dla uchylania się od zawodowej i społecznej aktywności.

JERZY KWIECIŃSKI

W najbliższych numerach „Odgłosów"

Polecamy naszym Czytelnikom między innymi:
— nadzwyczajny zwiad naszych reporterów informujący o straszliwych skutkach zimy;
— dalszy ciąg artykułu LUCJUSZA WŁODKOWSKIEGO o marszałku Związku Radzieckiego i Polski, Konstantym Rokossowskim, oparty na mało znanych materiałach;
— reportaż RYSZARDA BINKOWSKIEGO pt. „Enklawa ubogich milionerów", w którym autor pisze o najdziwniejszej wsi w Polsce;
— rozdział z nowej powieści JÓZEFA SYCHALSKIEGO pt. „Czerwone goździki", traktujący o marcu 1968 roku;
— artykuł MARIANA PODLASZEWSKIEGO o polityce społeczno-kulturalnej PPR;
— kolejny odcinek opowieści o Falconie obłąkanym cesarzu narkotyków;
— obszerny artykuł STANISŁAWA CHODUNAJA o różnych stronach życia dyktatora Trzeciej Rzeszy, Adolfa Hitlera;
— oraz — jak zwykle — listy, polemiki, recenzje, wiersze.

ze str. 1

Marszałek Konstanty Rokossowski w pierwszym swym rozkazie stwierdzał:

„W poczuciu obowiązków, jakie zostały na mnie nałożone przez Kraj i Prezydenta, w poczuciu odpowiedzialności, jaką ponoszę wobec narodu polskiego i polskiego ludu pracującego, z którego wyrosłem i z którym zawsze czułem się związany całym swym sercem, oraz bratniego nam narodu radzieckiego, który mię wychował jako żołnierza i dowódcę — obejmuję powierzony mi posterunek, aby wszystkie swe siły poświęcić dalszemu rozwojowi i umacnianiu naszego wojska i obronności Rzeczypospolitej".

8 listopada 1949 roku odbyła się sesja Sejmu Ustawodawczego, na której entuzjastycznie, hucznymi owacjami, przyjęto marszałka Konstantego Rokossowskiego. Spotkał się on też z dziennikarzami w Klubie Sprawozdawców Parlamentarnych. Do Ministerstwa Obrony Narodowej, redakcji gazet napływały liczne depesze gratulacyjne. „Trybuna Ludu" przez trzy dni drukowała omówienia tych depesz. Nadesłali je profesorowie i studenci Akademii Górniczo-Hutniczej w Krakowie, Uniwersytetu im. Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie, Politechniki Śląskiej, członkowie Wojewódzkiej Rady Narodowej w Olsztynie, załoga Cementowni „Pokój" w Rejowcu, Zakładów „Cegielskiego" w Poznaniu, uczestnicy licznych w tym czasie narad i spotkań, junacy „Służby Polsce", zarządy główne związków zawodowych. „Książka i Wiedza" opublikowała „Życiorys Konstantego Rokossowskiego", którego fragmenty drukowała „Trybuna Ludu".

Było to sensacyjne wydarzenie. Józef Winiewicz, który w tym czasie pełnił funkcję ambasadora Polski w Waszyngtonie zanotował w książce pt. „Co pamiętam z długiej drogi życia":

„Jedną z nielicznych i wyjątkowych instrukcji była depesza MSZ, informująca, że wkrótce nastąpi nominacja Konstantego Rokossowskiego na ministra obrony w rządzie polskim. Depesza zawierała również kilka wskazówek, jak ten polityczny krok uzasadniać w rozmowach. Był to rok 1949. Dziennikarze amerykańscy obudzili mnie w nocy. Dzięki instrukcji nie byłem zaskoczony. Oczywiście atakowali nas za to posunięcie, oddając — jak zarzucali — polskie wojsko pod obcą komendę. Stracili argumenty, gdy przypomniałem im Kościuszkę i Pułaskiego, Francuza — La Fayette'a, czy Niemca — Steubena, którzy dowodzili, organizowali i rozbudowywali siły zbrojne rewolucji amerykańskiej, nie posiadając zresztą w sobie ani kropli krwi amerykańskiej, podczas gdy Rokossowski był i pozostał rodowitym Polakiem. | — „To zupełnie co innego" — usłyszałem odpowiedź wtedy w nocy i wielekroć potem, ile razy temat wracał pod dyskusję. Jako że Amerykanie zbyt często budują swoje przekonania według tego, co im wygodne, a nie według zasad logiki i słuszności. Że im się to udaje? Wiadomo — przywilej możnych tego świata".

Jaka była droga życiowa Konstantego Rokossowskiego?

URODZIŁ SIĘ W WARSZAWIE, NA PRADZE

21 grudnia 1896 roku, w domu przy ulicy Stalowej 5. Jego ojcem był Ksawery Rokossowski — maszynista kolejowy. Matką Rosjanka Antonina Owsiannikowa — nauczycielka. Przyjechała do Warszawy z Pińska. Mieli troje dzieci: najstarszą córkę Marię, Konstanty był średni i najmłodszą Helenę. Ojciec Ksawerego — Wincenty Rokossowski był rządcą majątku w Stoku koło Ostrowii Mazowieckiej. Za pomoc udzielaną powstańcom w styczniu 1863 roku więziony był w Cytadeli Warszawskiej. Ojciec Wincentego, a pradziad Konstantego, był oficerem 2 pułku jazdy Księstwa Warszawskiego, a jego patent na porucznika podpisał książę Józef Poniatowski.

Ksawery Rokossowski zmarł w wieku 40 lat w roku 1902 i został pochowany na Bródnowskim cmentarzu. Konstanty miał wówczas 6 lat. Antonina Rokossowska została bez środków do życia z trojgiem dzieci. Chwytała się dorywczej pracy w fabryce dziewiarskiej przy ulicy Szerokiej. Pomagał jej młodszy brat Ksawerego — Aleksander Rokossowski, który miał gabinet dentystyczny przy ul. Marszałkowskiej 151, po przeciwnej stronie Ogrodu Saskiego. Zajął się nauką Konstantego, który zamieszkał u swojej babki przy ul. Marszałkowskiej 117. Stryj Aleksander zmarł jednak w 1906 roku. Dalszym losem Konstantego zajął się drugi stryj — Michał Rokossowski. W trzy lata później i on zmarł nagle. Nieco wcześniej zmarła matka Konstantego — Antonina Rokossowska. Sierotami zajęła się siostra Ksawerego Rokossowskiego — Zofia Wysocka.

Konstanty Rokossowski musiał teraz radzić sobie sam. Zaczął pracować najpierw w cukierni, później u dentysty, następnie w fabryce dziewiarskiej przy ulicy Szerokiej, w której przed kilku laty pracowała jego matka. Tam też zetknął się z ruchem rewolucyjnym. Za udział w fabrycznej demonstracji 1 maja 1912 roku i walkę z nacierającymi na demonstrantów żandarmami przesiedział sześć tygodni na Pawiaku. Po wyjściu z Pawiaka pracował u swego wuja w zakładzie kamieniarskim — Stefana Wysockiego przy ul. Strzeleckiej 2. Zakład ten zajmował się wyrabianiem płyt nagrobkowych, kamiennych ogrodzeń i podjął się też wykonania kamiennych figur na moście Mikołaja II — później most im. księcia Józefa Poniatowskiego. Wykonanie tej pracy nie przyniosło spodziewanego dochodu. Stefan Wysocki w wyniku tego uwikłał się w proces sądowy i przeniósł się wraz z rodziną i warsztatem kamieniarskim do Grójca. Tam zastała ich I wojna światowa.

Po długich dyskusjach i rozważaniach Konstanty Rokossowski

POSTANOWIŁ WSTĄPIĆ DO WOJSKA

jako ochotnik. Stało się to 16 sierpnia 1914 roku. Zgłosiło się ich czterech: Konstanty i jego stryjeczny brat Franciszek Rokossowscy, Wacław Stronkiewicz i Kazimierz Kierzkowski. Franciszka Rokossowskiego i Kazimierza Kierzkowskiego skierowano do 5 Aleksandryjskiego Pułku Huzarów, Konstantego Rokossowskiego i Wacława Stronkiewicza — do 5 Kargopolskiego Pułku Dragonów. Oba te pułki wraz z 5 Litewskim Pułkiem Ułanów i 5 Dońskim Pułkiem Kozaków wchodziły w skład 5 dywizji kawalerii. Ochotników przyjął osobiście dowódca 5 Kargopolskiego Pułku Dragonów płk Artur Schmidt, a przedstawił ich jego adiutant Sergiusz Łomnikowski.

Konstanty Rokossowski podjął wtedy dwie męskie decyzje: dodał sobie do daty urodzenia dwa lata i zmienił „imię ojczestwa" z Ksawieriewicz — takie było imię jego ojca, ale Rosjanie mieli trudności z jego wymawianiem — na Konstantynowicz.

5 dywizja kawalerii w roku 1914 i na początku roku 1915 walczyła w rejonie Warszawy, Skierniewic, Głowna, Sochaczewa, Radomia, Sandomierza, Wiślicy. Od stycznia 1915 roku uczestniczyła w walkach pozycyjnych nad Bzurą. W lipcu 1915 roku została przeniesiona w rejon Rygi. W czasie walk na ziemiach polskich z wojskami austriackimi i niemieckimi Konstanty Rokossowski i inni Polacy służący w wojsku carskim stwierdzili z niejakim zdziwieniem, że wśród jeńców i rannych są również Polacy, którzy walczą po drugiej stronie. W tym czasie Konstanty Rokossowski zetknął się też z żołnierzami 1 Pułku Legionów. Natomiast w drugiej połowie 1915 roku dowództwo 5 dywizji kawalerii objął książę Paweł Skoropadski, który w kwietniu 1918 roku został na zjeździe wielkich właścicieli ziemskich obwołany hetmanem Ukrainy. Tak wówczas dziwnie splatały się drogi różnych ludzi.

Po wybuchu rewolucji, w grudniu 1917 roku Franciszek Rokossowski, Wacław Stronkiewicz i inni Polacy służący w pułkach 5 dywizji kawalerii — jak i w innych formacjach armii rosyjskiej — odeszli do formujących się polskich jednostek wojskowych. Konstanty Rokossowski pozostał w 5 Kargopolskim Pułku Dragonów i wraz z nim przeniósł się w rejon Wołogdy, gdzie pułk zreformował się, a z ochotników powstał Kargopolski oddział jazdy Czerwonej Gwardii. Jego dowódcą został Adolf Juszkiewicz, zastępcą Konstanty Rokossowski. Oddział ten skierowany został w rejon Uralu, gdzie wszedł w skład 3 Uralskiej Dywizji 3 armii, jako 1 Uralski Pułk Kawalerii. W 1919 roku Konstanty Rokossowski został przyjęty w poczet członków RKP (b). Odznaczał się odwagą, śmiałością decyzji, dyscypliną. Kiedy 1 Uralski Pułk Kawalerii objął jako dowódca Rudolf Wigont, Konstanty Rokossowski został dowódcą dywizjonu.

Po walkach na Uralu przyszły walki o Syberię. Konstanty Rokossowski był ranny. Po powrocie ze szpitala, pod stacją Tajga jego żołnierze starli się z żołnierzami 5 Polskiej Dywizji Syberyjskiej. W styczniu 1920 roku dywizjon dowodzony przez Konstantego Rokossowskiego został przekształcony w 30 Pułk Kawalerii, jego zastępcą został Mikołaj Szabliński. Wkrótce mianowano K. Rokossowskiego dowódcą 35 Pułku Kawalerii w 35 Dywizji Kawalerii 5 armii, a następnie dowódcą samodzielnego dywizjonu kawalerii. Wraz z dywizjonem walczył wówczas z wojskami barona Ungera, zwanego „krwawym baronem", a do dziś owianego legendą jako posiadacza wielkiego skarbu ukrytego w stepach Mongolii.

Pod koniec 1921 roku Konstanty Rokossowski został dowódcą 3 brygady w 5 Kubańskiej Dywizji Kawalerii, a w połowie 1922 roku — dowódcą 27 pułku w tejże dywizji, która została przemianowana na 5 Kubańską Brygadę Kawalerii. Z tamtego okresu pochodzi opinia o Konstantym Rokossowskim. Miał wówczas 26 lat.

„...posiada twardą wolę, jest energiczny i zdecydowany, odznacza się męstwem i zimną krwią... Łatwo orientuje się w sytuacji i posiada wyobraźnię. W stosunku do podwładnych, jak i wobec siebie, wymagający. Troskliwy o podwładnych, cieszy się wśród nich miłością i popularnością. Lubi wojsko... Odznacza się nieprzeciętnymi zdolnościami umysłowymi. Jest przywiązany do swojej pracy... Nie posiada specjalnego wykształcenia wojskowego, lecz lubiąc służbę wojskową dużo uwagi poświęca samokształ-

Krzyżujące się drogi

cemu... Obowiązkom dowódcy pułku w pełni odpowiada".

Opinię tę cytuje w swojej książce „Konstanty Rokossowski" Tadeusz Konecki. Uzupełnia ją następująco:

„Dowódca 5 armii, Uborewicz, dopisał: „zasługuje na stanowisko dowódcy brygady kawalerii poza kolejnością".

Nadal pozostawał

NA DALEKIM WSCHODZIE

Tu w 1923 roku ożenił się. Jego żona Julia Pietrowna powiła mu córkę Adę. W tym czasie kawaleria Konstantego Rokossowskiego walczyła z bandami na granicy radziecko-chińskiej. W 1924 roku został skierowany na roczny kurs do Leningradu. W Leningradzie mieściła się Wyższa Szkoła Kawalerii, której dowódcą był Witalij Primakow, legendarny dowódca 8 Dywizji Kawalerii Czerwonych Kozaków. Po nim dowództwo Wyższej Szkoły Kawalerii objął Michaił Batorski, teoretyk sztuki kawaleryjskiej, a nieco później WSK przemianowano na Kawaleryjskie Kursy Doskonalenia Dowódców. Razem z Konstantym Rokossowskim studiowali między innymi: Gieorgij Żukow, Iwan Bagramian, Michaił Sawieljew, Andrej Jeremienko.

Gieorgij Żukow w swoim pamiętniku: „Wspomnienia i refleksje" wspomina okres studiów w Leningradzie.

„Dość często były u nas organizowane kawaleryjskie zawody sportowe, na które przybywało bardzo wielu leningradczyków. Szczególną popularnością cieszyły się pokazy woltyżerki, konkursy hippiczne oraz pokazy władania białą bronią, latem zaś biegi w terenie płaskim oraz biegi na przełaj w terenie pełnym naturalnych przeszkód, czyli tzw. steeplechase. We wszystkich tych zawodach byliśmy stałymi już uczestnikami razem z Rokossowskim, Sawieljewem, Bagramianem oraz innymi entuzjastami tego sportu".

Z Leningradu powraca Konstanty Rokossowski jako dowódca 5 Kubańskiej Brygady Kawalerii. Otrzymuje trudne zadanie utworzenia buriacko-mongolskich formacji kawaleryjskich. Trudność polegała na tym, że trzeba było Buriatów i Mongołów nauczyć korzystania z siodła, posługiwania się lancą i szablą, a także niezbędnej w wojsku dyscypliny.

W listopadzie 1926 roku zostaje skierowany do Mongolii. Zamieszkał wraz z rodziną w Urgi. Był instruktorem w 1 Kawaleryjskiej Dywizji Mongolskiej Armii Ludowo-Rewolucyjnej. Jesienią 1928 roku powrócił do 5 Kubańskiej Brygady Kawalerii jako jej dowódca, czyli na poprzednie stanowisko. Znów wyjechał uczyć się na wyższych kursach doskonalenia dowódców Armii Czerwonej. Powrócił na Daleki Wschód akurat w czasie, kiedy Chińczycy opanowali Wschodniochińską Kolej, aresztowali 2 tysiące radzieckich specjalistów, czym naruszyli układ radziecko-chiński z 1924 roku. Konstanty Rokossowski wraz ze swoimi kawalerzystami brał udział w trzeciej operacji znanej jako „Grupa Zabajkalska". Odznaczył się w niej i po raz trzeci otrzymał Order Czerwonego Sztandaru.

W życiu Konstantego Rokossowskiego zakończył się okres dalekowschodni. W 1930 roku został mianowany dowódcą 7 Samarskiej Dywizji Kawalerii im. Angielskiego Proletariatu, która stacjonowała

NA BIAŁORUSI

Dowódcą 2 brygady kawalerii mianowano w tym czasie Gieorgija Żukowa.

„Z Konstantym Rokossowskim — napisał we „Wspomnieniach i refleksjach" Gieorgij Żukow — *jak wspomniałem, uczyliśmy się w latach 1924—1925 w Leningradzie na KKUKS i stąd znaliśmy się dobrze. Odnosił się do mnie z dużym taktem. Wysoko ceniłem sobie jego erudycję wojskową oraz duże doświadczenia w kierowaniu szkoleniem bojowym i wychowaniem żołnierzy. Z zadowoleniem przyjąłem wiadomość o wyznaczeniu go na dowódcę naszej zasłużonej dywizji".*

Razem nie służyli długo, gdyż — jak dalej wspomina Gieorgij Żukow — pod koniec 1930 roku rozpatrywano jego kandydaturę na stanowisko pomocnika szefa Inspektoratu Kawalerii Robotniczo-Chłopskiej Armii Czerwonej. Sprawa została wkrótce postanowiona.

„Pewnego wieczoru — pisze Gieorgij Żukow — *zadzwonił do mnie Konstanty Rokossowski, zawiadamiając, iż nadszedł z Moskwy rozkaz o mianowaniu mnie na nowe stanowisko.*

— Ile potrzebujecie czasu na przygotowanie się? — zapytał.

— Dwie godziny wystarczy.

— Nie sądźcie, że was tak od razu puścimy — powiedział. — Jesteście przecież weteranem 7 dywizji i pożegnamy was jak należy: takie jest zresztą ogólne życzenie kadry dowódczej i politycznej drugiej brygady.

Byłem tym bardzo wzruszony.

W kilka dni później odbył się wspólny obiad kadry 29 i 30 pułku kawalerii z udziałem dowództwa dywizji. Usłyszałem wówczas pod swoim adresem wiele ciepłych, serdecznych słów. Na pewno były szczere, toteż zapamiętałem je na całe życie".

22 lutego 1932 roku powrócił jako dowódca do 5 Kubańskiej Brygady Kawalerii z zadaniem przekształcenia jej w dywizję. W tym czasie otrzymał Order Lenina i został mianowany komdiwem (komandir dywizji). Z początkiem 1936 roku został dowódcą 5 Korpusu Kawalerii stacjonującego w Pskowie.

W oficjalnych życiorysach marszałka Konstantego Rokossowskiego mówi się na ogół, że pełnił różne funkcje dowódcze w latach 1929—37 i w 1940 roku został powołany na stanowisko dowódcy 5 korpusu kawalerii. Co działo się w latach 1937—1940? Skąd ta

PRZERWA W ŻYCIORYSIE

W 1 numerze „Polityki" z 1987 roku ukazał się fragment wspomnień gen. Józefa Kuropieski „Ponownie w wojsku". Jest tam opis spotkania w czasie ćwiczeń kierowanych przez marszałka Konstantego Rokossowskiego. W Zgierzu, gdzie stacjonowało dowództwo ćwiczeń, po obiedzie miała odbyć się odprawa oficerów. Gen. Józef Kuropieska wyszedł niedawno z więzienia, gdzie był bezpodstawnie trzymany, i powrócił do czynnej służby. *„Większość ze spotykanych nawet na tym służbowym spędzie* — pisze *zachowała się w stosunku do mnie ostrożnie — choć prawie zawsze poprawnie".* Postanowił jednak udać się na odprawę, gdyż ciekaw był *„takiego zebrania z udziałem marszałka Rokossowskiego".*

„Udałem się zatem na salę odpraw — wspomina. — *Punktualnie o oznaczonej porze zjawił się minister obrony narodowej. Niewiele myśląc zameldowałem o swym udziale w ćwiczeniach. Marszałek przywitał się ze mną i powiedział coś przyjemnego o moim przedzierzgnięciu się w historyka. Po odprawie, gdy już wszyscy stali robiąc marszałkowi jakby szpaler do przejścia, nieoczekiwanie podszedł do mnie i powiedział: — Mam nadzieję, że się będziecie dobrze czuć i szybko przyjdziecie do właściwej formy. Wiem to dobrze, bo sam siedziałem. — Oświadczył to dość głośno, tak że wszyscy musieli słyszeć".*

Aleksander Niekricz w książce wydanej w Polsce przez „Książkę i Wiedzę" w 1967 roku, a noszącej tytuł: „1941 — 22 czerwca" przypomina potworną prowokację zorganizowaną przez kontrwywiad hitlerowski a przekazaną do Moskwy za pośrednictwem Pragi.

„W kwietniu i maju 1937 roku — pisze Aleksander Niekricz — *nastąpiły aresztowania wśród wyższych oficerów Armii Czerwonej. Wśród nich był również M. Tuchaczewski. Aresztowani zostali także: I. Jakir, I. Uborewicz, A. Kork, E. Eideman, B. Feldman, a jeszcze przedtem W. Primakow i W. Putna. Ci, którzy wydali rozkaz o ich aresztowaniu i skazaniu, powinni byli wiedzieć, że oskarżenia są bezpodstawne, a materiały sfałszowane. 12 czerwca 1937 r. Tuchaczewski i jego towarzysze zostali rozstrzelani. Samobójstwo popełnił szef Głównego Zarządu Politycznego J. Gamarnik. Aresztowania i likwidowanie kadr wojskowych trwały również po roku 1937. Tak np. na skutek fałszywego oskarżenia zginęli marszałek W. Blücher, bohater wojny domowej, przez wiele lat dowodzący armią na Dalekim Wschodzie, były szef Sztabu Generalnego i pierwszy zastępca ludowego komisarza marszałek A. Jegorow, dowódca armii G. Sztern, bohater walk w Hiszpanii i na Dalekim Wschodzie, i wielu innych. „Historia Wielkiej Wojny Narodowej" stwierdza, że „ofiarą represji padło około połowy dowódców pułków, prawie wszyscy dowódcy korpusów i dowodzący wojskami okręgów wojskowych, członkowie rad wojennych i szefowie zarządów politycznych okręgów, większość pracowników politycznych korpusów, dywizji i brygad, około jednej trzeciej komisarzy pułków, wielu wykładowców wyższych i średnich zakładów naukowych". Marszałek Związku Radzieckiego I. Bagramian w wywiadzie udzielonym korespondentowi pisma „Literaturnaja Gazieta" 17 kwietnia 1965 roku stwierdził, iż stracenie w przeddzień wojny jako „wrogów ludu" wybitnych radzieckich dowódców było w istocie rzeczy jedną z przyczyn poważnych niepowodzeń w pierwszym okresie wojny".*

Jak z cytowanego fragemntu książki Aleksandra Niekricza wynika wśród aresztowanych i represjonowanych byli dowódcy, z którymi razem Konstanty Rokossowski walczył na Dalekim Wschodzie. A on sam był utalentowanym dowódcą. Czyż mógł go ominąć los innych radzieckich utalentowanych dowódców?

„W sierpniu 1937 roku — pisze Tadeusz Konecki w książce „Konstanty Rokossowski" — *został on nieoczekiwanie aresztowany i bezpodstawnie oskarżony o współpracę z wywiadami: japońskim i polskim. W okresie spędzonym w odosobnieniu wykazał pełnię godności oraz odporności fizycznej i psychicznej, zachowując wiarę w przywrócenie mu słusznych praw. Stało się to w marcu 1940 roku".*

Wspomnienia Konstantego Rokossowskiego „Żołnierski obowiązek" rozpoczynają się od zdań:

„Wiosną roku 1940 bawiłem wraz z rodziną w Soczi. Po powrocie zostałem zaproszony do ludowego komisarza obrony. Marszałek Siemion Timoszenko przyjął mnie ciepło i serdecznie. (...)Siemion Konstantynowicz zaproponował mi ponowne objęcie dowództwa 5 korpusu kawalerii (zajmowałem to stanowisko w latach 1936—1937). Korpus przenoszono na Ukrainę, znajdował się jeszcze w drodze, wobec tego Timoszenko skierował mnie do dyspozycji dowódcy Kijowskiego Okręgu Wojskowego".

W tym czasie dowódcą tego okręgu był generał Gieorgij Żukow.

W 1967 roku ukazały się wspomnienia gen. Nikołaja Kalinina. Znaleźć tam można opis jego spotkania z gen. Konstantym Rokossowskim.

„Jesienią 1940 roku wezwano mnie nagle do okręgu. Wieczorem byłem już w Kijowie. Zatrzymałem się w hotelu „Continental". (..) W sali restauracyjnej podszedł do mnie nieznajomy wojskowy i zapytał:

— Czy pułkownik Kalinin? Prosi Was generał major Rokossowski...

Za stołem, do którego mnie zaproszono, siedział pułkowy komisarz i młody generał major o wesołych, jasnych oczach, z dołkami w policzkach. Dopasowany niebieskawy mundur uwydatniał jego zgrabną sylwetkę. Gdy przedstawiłem się Rokossowski wstał i podał mi rękę. Przyglądamy się sobie wzajem. Spojrzenie Konstantego Konstantynowicza jest łagodne, wzbudzające sympatię. Zaczynamy rozmowę. Rokossowski interesuje się celem mego przybycia do Kijowa.

— Zostałem wezwany na tę samą godzinę — zauważa.

Punktualnie o dziesiątej meldujemy się w sztabie okręgu. Żukow przyjmuje nas i przedstawia.

— My już się znamy — mówi Rokossowski.

— Tym lepiej. — Dowódca zwraca się do mnie i informuje, że w okręgu formuje się 9 korpus zmechanizowany.

— Wasza dywizja została włączona w jego skład. Dowódcą korpusu mianowano towarzysza Rokossowskiego...".

Tak więc krótko po dowodzeniu 5 korpusem kawalerii generał Konstanty Rokossowski został dowódcą 9 korpusu zmechanizowanego. W pamiętniku napisał krótko:

„Pożegnawszy więc kawalerię, zostałem czołgistą".

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

Pierwsze dni wolności w Łodzi

ze str. 1

żywienie. Podobno Rosjanie wkraczają do miasta. Rzeczywiście, u wylotu pokazali się żołnierze z automatami i czerwonymi gwiazdami na czapkach. Gdy tylko oswobodziciele zatrzymali się, powstał nieopisany tumult. Okrzyki, rzucanie się na szyję, w oczach łzy radości. Jakaś babinka oskubała w domu całą doniczkę i sypała przed żołnierzami ziele, jak dziewczynki przed procesją na Boże Ciało.

Nagle z Piotrkowskiej wyłoniły się na pełnym gazie dwie niemieckie ciężarówki. Żołnierze radzieccy walą z automatów. Pierwszy samochód uciekł, drugi jednak uderzył w słup przystanku tramwajowego. Trupy dwóch niemieckich podoficerów leżały na ulicy — wyciągnięte z szoferki. Tymczasem na środku placu stanęły dwie armatki przeciwczołgowe, skierowane lufami w Piotrkowską i Zgierską. Wróciłem do wylotu Pomorskiej i to w samą porę. Bo oto w towarzystwie kilku oficerów zbliżał się generał. Jąkając się ze wzruszenia, zacząłem swoją, improwizowaną mowę powitalną. Wszystko mi wyleciało z pamięci, mówiłem nieskładnie, witałem w imieniu wszystkich mieszkańców i organizacji podziemnych.

Generał słuchał cierpliwie, potem przedstawił się: — Skosyriew, a jego zastępca: — płk Szczepiłow. I od razu przystąpił do rzeczy. Poprosił o wskazanie pomieszczenia nadającego się na komendę miasta — niezbyt dużego, oddzielonego i niezaminowanego. Zaproponowałem budynek byłej Rady Miejskiej na Pomorskiej, w którym w czasie wojny mieścił się szpital. Propozycja odpadła — obiekt zdaniem generała zbyt duży. Drugą ofertę — gmach hipoteki — przyjmuje. W niespełna pięć minut „hipoteka" była już zagospodarowana. Generał ze swoimi pomocnikami ulokował się na parterze, na górze przygotowano gabinet dla komendanta miasta, gen. Siemionowa, który wkrótce nadjechał.

Zdejmujemy ze ściany niemiecki plan miasta, pomagam nanieść nań rozmieszczenie ważniejszych obiektów. Poruszyłem też zaraz problem aprowizacji. Poinformowałem, że w rzeźni jest w tej chwili około 500 świń. Dla zbadania sytuacji na miejscu zostaje wyznaczona grupa z płk. Szepiłowem na czele. Za moment mkniemy gazikiem po Piotrkowskiej pełnej już ludzi, wiwatujących na widok każdego samochodu z radzieckimi żołnierzami. W rzeźni istotnie zastaliśmy masę zagłodzonych świń. Z magazynu taniej jatki jakieś postacie dźwigają całe kawały mięsa. Zostawiamy na miejscu kilku żołnierzy, którym pułkownik daje instrukcje. Po drodze, na ul. Anny (dziś Mickiewicza) przy fabryce makaronów tłum ludzi groteskowo umączonych; w workach, czapkach i koszykach — wynoszą mąkę do domów. Pułkownik z jednym żołnierzem wszedł do środka, ja zostałem w samochodzie. Wtem z jakiegoś podwórka wysuwa się piątka niemieckich piechurów. Karabiny — lufami w dół, jeden macha jakąś chustą, biegną do samochodu. Proszą o wzięcie do niewoli. Zabraliśmy im broń i rozkazaliśmy zgłosić się do roboty. Teraz jedziemy do chłodni na Rokicińską. W portierni zatrzymują nas robotnicy z biało-czerwonymi przepaskami na rękawach. Pracownicy powołali tu samorząd. Wyjaśniamy kim jesteśmy, przekazujemy przed chwilą zdobyte karabiny i polecenie, by nikogo nie wpuszczano bez pisemnego zezwolenia Komendantury Miasta. Pułkownik przyrzekł przysłać następnego dnia ochronę wojskową.

Robi się już ciemno, gdy wracamy do Komendy. Częstują mnie tu kolacją. Zmęczony, ale i radosny, pełen wrażeń, wracam do domu.

Rankiem 20 stycznia w fabryce zapanował spokój, wszystko było w należytym porządku. Z bratem idziemy do Komendantury. Przy drzwiach tłum ludzi z przeróżnymi sprawami. W pewnym momencie złapał mnie ktoś za rękę. Patrzę — inżynier Wajnberg z elektrowni. Wraz z synem ukrył się w jednej z podstacji wysokiego napięcia na terenie getta i tak przeżył jego zagładę. Teraz chciałby rozmawiać z komendantem. Idziemy z inżynierem do gen. Siemionowa. Po krótkiej rozmowie Wajnberg udaje się do elektrowni, z poleceniem objęcia funkcji dyrektora.

Po południu wyruszam znowu do miasta. Na Wschodniej — w byłym komisariacie policji czy żandarmerii — organizuje się samoobrona. Na Piotrkowskiej gdzieniegdzie zaczyna się wybijanie szyb wystawowych. Podejrzane typy robią to bezkarnie, na ulicach nie ma żadnej służby porządkowej. Zgnębiony wracam do Komendantury i opowiadam o wszystkim co widziałem. Proszę o powołanie jakiejś ochrony przed nieodpowiedzialnymi elementami korzystającymi z sytuacji. Spokojnie wyjaśnia mi gen. Siemionow, że wojska radzieckie będą tu gospodarzyć tylko przez bardzo krótki czas, wkrótce polskie władze cywilne przejmą administrację w mieście. Przyrzeka jednak wydanie i wywieszenie obwieszczenia grożącego surowymi karami czasu wojennego za jakiekolwiek naruszenie porządku. Następnego dnia zarządzenie wisi na murach, ale w Komendanturze nikogo ze znajomych już nie ma. Pojechali dalej, a pierwszych polskich żołnierzy zobaczyłem przy Grand Hotelu. Stali w słońcu, porządnie umundurowani, wszyscy młodzi, pozwalali się całować i ściskać.

Znajomi związkowcy sprzed wojny — Witaszewski, Burski, Loga paradowali w mundurach z dużą ilością gwiazdek. Nasz TUR-owiec Zygmunt Nowicki też był porucznikiem i pracował w prasie. Zjawił się wkrótce Haneman, z którym przed laty stykałem się w „Wolnej Myśli". Nie rozstawał się w tym okresie ze swoją „obstawą" — żołnierzem z pepeszą przewieszoną na szyi i rękoma zajętymi jak nie walizką, to dwoma teczkami.

Czwartego lub piątego dnia dobrnął z Głuchowa Stasio Duniak. We dwójkę poczuliśmy się już organizacją, kontynuującą rozpoczętą w październiku 1939 r. działalność OKR PPS. Nie wiedzieliśmy, czy w ogóle PPS można wskrzeszać. Wydawało się nam, że należało skorzystać z nowej sytuacji politycznej i organizować od razu drugi etap jednolitego frontu — jedną partię klasy robotniczej. Sprawa wyjaśniła się na spotkaniu z pułkownikiem Borkowskim, późniejszym wojewodą szczecińskim. Powiedział, że właśnie sytuacja polityczna wymaga istnienia dwu partii. Konieczne jest, aby obok PPR działała, oczywiście w oparciu o ideologię lewicy, silna PPS. Następnie dowiedzieliśmy się, że albo gdzieś tu jest, albo zaraz przybędzie pełnomocnik CKW PPS, który ma dyrektywy od Osóbki-Morawskiego.

Teraz sprawa potoczyła się już wartko. Znaleźliśmy pusty lokal naprzeciw teatru na ul. Cegielnianej (dziś Jaracza), w którym mieściła się jakaś finansowa agenda Magistratu, bo odnalazłem tam niemiecki preliminarz budżetowy na rok 1944.(...)

Władza faktyczna w całości znajdowała się w rękach PPR, dysponującej dużym, wyrobionym zespołem kierowniczym, posiadającym bogate doświadczenia z działalności w KPP lub konspiracji. Zorganizowano błyskawicznie MO, aparat bezpieczeństwa, władze administracyjne, montowano aparat partyjny. W dzielnicach pepeerowskich było tłoczno od robotników, bo tam można było otrzymać pomoc we wszystkich sprawach. Nabór nowych członków w środowisku robotniczym był o wiele większy niż w PPS, chociaż miała ona liczniejszą bazę przedwojenną. Decydowała jednak prężność organizacyjna, wyraźnie określony program reform społecznych, z żelazną konsekwencją realizowanych w życiu.

Zbyt późno dowiedziałem się o pierwszym wiecu PPR w teatrze przy ul. 11 Listopada z udziałem właściwie całego ówczesnego kierownictwa partii i nie mogłem dostać się na salę. Za to w parę dni później, w początkach lutego, kiedy zorganizowano w Hali Sportowej wiec dla ludności Łodzi, zostałem wyznaczony na mówcę z ramienia PPS.

W okresie okupacji hala ta była miejscem masowych „kundgebungów". Gdy przyjeżdżał ktoś bardzo ważny z NSDAP, to ludzie nie mieszczący się w środku, w karnych szeregach słuchali przemówień w parku — z głośników. Nasz wiec nie najlepiej się udał. Po pierwsze był tęgi mróz, który ludzi zatrzymywał w domu, a po drugie propaganda, jak na taką imprezę, była niedostateczna. Gomułka mówił na aktualne tematy, uzasadniał tezy Manifestu Lipcowego, wskazywał, jak będziemy go realizować, ale byłoby to wszystko do słuchania, gdyby nie dokuczliwe zimno. Kiedy przyszła na mnie kolej, musiałem się ograniczyć do haseł, trzymając się tego, na co wszyscy czekali, a czekali na biało-czerwony sztandar na murach Berlina, na zwycięski pokój, silną socjalistyczną Polskę, szybką odbudowę kraju. Może dlatego, że mówiłem krótko i głośno, przyjęto mnie dobrze, nawet oklaskiwano. (...)

Godzi się przypomnieć także konferencję prasową, która odbyła się w ostatnich dniach stycznia z udziałem dziennikarzy zagranicznych akredytowanych przy dowództwie wojsk radzieckich. Rej wodzili dwaj korespondenci reprezentujący amerykańską agencję prasową — UPI. Silne, barczyste chłopy o niewzruszonych twarzach, wydawało się jakby zeszły z ilustracji książki o detektywach. Wśród pozostałych była barwna i ciekawa postać młodego dziennikarza, przedstawiciela zachodniej prasy komunistycznej; jak później opowiadano, syna premiera Nowej Zelandii.

Tematem konferencji miało być spotkanie z przedstawicielami ludności wczorajszego Litzmanstadtu. Organizowała spotkanie PPR, a więc Loga, Burski i in. Mnie powiadomiono o konferencji niemal tuż przed jej rozpoczęciem, a na Ogrodowej, w gmachu Województwa, znalazłem się w momencie, gdy sala była już dobrze wypełniona ludźmi. Zagaił Loga, a pierwszy zabrał głos Dąb-Kocioł, jako były przewodniczący konspiracyjnej Wojewódzkiej Rady Narodowej. Było sporo mitręgi z tłumaczeniami — najpierw na rosyjski, a potem na angielski. Po kilkunastu zdaniach Dąb-Kocioła jeden z amerykańskich dziennikarzy zapytał mówcę, gdzie przebywał bezpośrednio przed wyzwoleniem miasta, i gdy usłyszał, że działał w Radomszczańskiem — powiedział: — Wypowiedź pana nas nie interesuje. Okazało się, że w licznej grupie zebranych ja jeden przez całą wojnę przebywałem w Łodzi, tym samym „awansowałem" na głównego referenta tematu konferencji.

Orientowałem się, że dziennikarzy zagranicznych interesowała przede wszystkim sytuacja ludności polskiej na tym wcielonym do Rzeszy terenie. Nie szczędziłem więc szczegółów, ale bez afektacji, bo sądziłem, że naga prawda aż nadto wystarczała. Chociaż do kościoła nie chodzę, dość dużo rozwodziłem się nad losem kleru, zamknięciem kościołów (z wyjątkiem Widzewa), wykorzystaniem ich na magazyny. Czułem, że to najbardziej przemawia do zebranych dziennikarzy. Drugim tematem, który wzbudził ich zainteresowanie, ale już znacznie mniejsze, był los getta. Łódzkie getto było jeszcze niemal całe, chociaż opuszczone, więc nie mogło wywołać takiej grozy, jak warszawskie, które uczestnicy konferencji z pewnością mieli okazję zobaczyć.

Był i moment humorystyczny. Żeby skrócić łańcuszek tłumaczeń, w pewnym momencie przeszedłem na rosyjski, co nie przeszkadzało tłumaczowi powtarzać za mną słowo w słowo. Dopiero ogólny śmiech oprzytomnił tłumacza. Konferencja rozkręciła się. Zmieniła się i tematyka: program działania po wojnie, co robić, żeby ruszył przemysł, jak zorganizować zarządzanie miastem, w jaki sposób odrodzić kulturę i naukę. Z wielu mówców zapamiętałem interesującą sylwetkę prof. Wilamowskiego, byłego wykładowcę Uniwersytetu Wileńskiego. Z ogniem w oczach mówił o powstającym Uniwersytecie Łódzkim jako największej uczelni w Polsce — o 14 wydziałach — będącej połączeniem uniwersytetu z politechniką. A ponieważ na wstępie wspomniał o stratach kadrowych, jakie poniosła nauka polska, używając określenia „całkowite wytępienie", zarzucili mu sprzeczność między tym, co mówił przed chwilą, a dalekosiężnymi planami rozbudowy uczelni.

Ta konferencja zaczęła się około czwartej, a zakończyła późnym wieczorem, nie było więc mowy o dostaniu się do domów. Podstawiono parę samochodów, ale nie dla przewożenia osób, lecz dla... oświetlenia drogi kolumnie maszerującej środkiem ulicy. Poszliśmy do Grand Hotelu, gdzie czekała kolacja. Już bez pomocy tłumaczy kontynuowano obrady. Tę jedną noc przegadałem w „Grandzie", ale nie zapomnę specyficznej atmosfery żarliwej dyskusji o tym, jaka ma być Polska.

Około północy, siedząc w pokoju Logi, który gdzieś zniknął, wraz ze Stasiem Duniakiem zażarcie dyskutowaliśmy z jednym z obecnych o organizacjach młodzieżowych. Mimo związania uczuciowego z TUR-em uważaliśmy, że od razu — właśnie teraz — trzeba zacząć od jednej wspólnej dla całej młodzieży organizacji. Nasz rozmówca tłumaczył nam na czym, jego zdaniem, polegał błąd naszego rozumowania. Na tym etapie — mówił — byłby to raczej szkodliwy krok polityczny. Dyskusja toczona była z dużą żarliwością, pozostawiając każdą stronę przy własnym zdaniu. (...)

W Łodzi ani przez chwilę nie przestawała pracować elektrownia, szybko ruszyły tramwaje i najpilniejszym zadaniem było uruchomienie przemysłu włókienniczego. Wiele maszyn, albo ich części, w grudniu 1944 roku wywieziono do Niemiec; brakowało węgla, surowców, inżynierów, fachowców. Fabryki uruchamiali sami robotnicy. Jeszcze przed ukazaniem się dekretu o radach zakładowych powstawały one samorzutnie i przejmowały faktyczne kierownictwo. Nikomu do głowy nie przychodziła myśl, że mógłby wrócić dawny właściciel zakładu, chyba że był to mały warsztat rzemieślniczy. (...)

Żywiołowy proces upaństwawiania fabryk dokonywany przez robotników, przejmowanie zakładów przez przedstawicieli załogi, ludzi pełnych żarliwości politycznej, były zasadniczym czynnikiem szybkiej odbudowy naszego przemysłu. Dyrektorzy i kierownicy rekrutujący się z ludzi, którzy jeszcze wczoraj stali bezpośrednio przy warsztacie, nie mieli inteligenckich wahań i wątpliwości, decydowali szybko, czasem nie będąc w zgodzie z literą prawa, ale zawsze uczciwie i skutecznie. Popełniano sporo błędów i gaf, ale były to koszty rewolucji społecznej, koszty wielekroć niższe niż jakiejkolwiek innej koncepcji. Szczególnie PPR forsowała sprawę awansu ludzi wywodzących się z klasy robotniczej. Szkoła dyrektorów dostarczyła kadr dopiero później, ale i w 1945 r. na porządku dziennym było wysuwanie przewodniczących rad zakładowych na stanowiska kierownicze. (...)

Pierwszą w wyzwolonej Łodzi Radę Narodową powołano na początku marca 1945 r. Poszczególne stronnictwa i organizacje wyznaczyły swoich przedstawicieli. Radnych miało rzemiosło, a nawet kuria biskupia.

Szereg akcji przeprowadzono w Radzie z niebywałą jednomyślnością. Wzorem przedwojennym we wszystkich wagonach tramwajowych palono wówczas papierosy, tak że trudno było oddychać, popiół sypano za kołnierze, wypalano sobie dziury w ubraniach i paltach. Przygotowałem wniosek o wprowadzenie zakazu palenia we wnętrzu wagonów i zacząłem zbierać podpisy. Pierwszym, który się zgłosił, był przedstawiciel Kurii Biskupiej, a za nim zespół radnych bezpartyjnych. Trzeba powiedzieć, że wyraźnie im ciążyła rola milczących obserwatorów i szukali okazji do czynnego włączenia się chociażby w drobnych sprawach. Przy dyskutowaniu wniosku na plenum Rady został on rozszerzony na całe wagony, a więc i na pomosty oraz na tramwaje podmiejskie. W ten sposób Łódź była pierwszym miastem w Polsce, które wprowadziło ograniczenie palenia papierosów w tramwajach.

SERGIUSZ GRICUK

(„Gorące lata, gorące dni" — fragmenty)

Łódź — 19.I.1945 r. Pierwszy dzień wolności

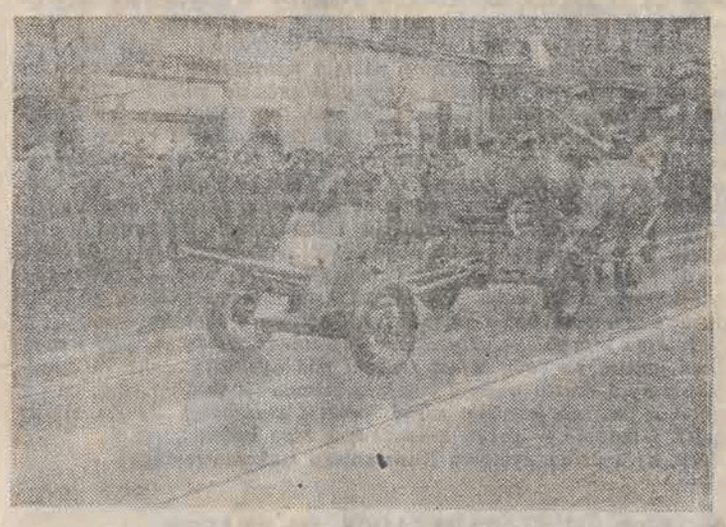

Łódź, defilada wojsk w styczniu 1946

1945 rok — produkcja już ruszyła. Tu produkuje się mundury dla wojska...

...a tu bieliznę

Łagiewniki pod Łodzią — masowe groby pomordowanych przez hitlerowców. Stan ciał uniemożliwiał identyfikację.

Foto: CAF—ODP ŁWP

Takim był...

(Janusz Górski 1929 – 1986)

Droga życiowa profesora Janusza Górskiego skończyła się w pięćdziesiątym siódmym roku jego życia. Ale czas trwania życia jest zjawiskiem biologicznym, natomiast aktywność bogata i zróżnicowana jest projekcją dużej i bogatej indywidualności. Z odejściem Profesora spośród nas pozostaje trwały ślad w wielu dziedzinach naszego życia naukowego i publicznego, ślad po kilkudziesięciu latach wielostronnej działalności. Wydaje mi się rzeczą ważną, ażeby utrwaliła się sylwetka Zmarłego uwzględniająca wielostronność jego dorobku i postawy.

Janusz Górski urodził się w Międzyrzeczu Podlaskim w rodzinie nauczycielskiej. W 1952 roku ukończył Uniwersytet Warszawski uzyskując tytuł magistra prawa. Stopień naukowy doktora nauk ekonomicznych otrzymał w Szkole Głównej Planowania i Statystyki w 1958 r. na podstawie pracy „Poglądy merkantylistyczne w polskiej myśli ekonomicznej XVI i XVII w.", a doktora habilitowanego w 1962 r. na podstawie pracy „Zagadnienia rozwoju gospodarczego w polskiej myśli ekonomicznej Księstwa Warszawskiego i Królestwa Kongresowego. Studia nad początkiem teorii zacofania gospodarczego". Tytuł profesora nadzwyczajnego Rada Państwa nadała w 1969 r., a profesora zwyczajnego w 1974 roku.

Bliższa moja znajomość z profesorem Januszem Górskim datuje się od 1959 r., kiedy to rozpoczął pracę w ówczesnej Wyższej Szkole Ekonomicznej w Łodzi, prowadząc wykłady z historii myśli ekonomicznej. Po włączeniu byłej WSE do Uniwersytetu Łódzkiego i utworzeniu w jego ramach Wydziału Ekonomicznego Profesor kontynuuje tę pracę. Od 1964 r. kieruje pracą Zakładu Ekonomii Politycznej Kapitalizmu w Katedrze Ekonomii Politycznej. Prowadzi wówczas pracę naukową z grupą ponad dwudziestu osób i kieruje działalnością dydaktyczną tego zespołu. Równolegle w warszawskiej SGPiS kieruje Katedrą Ekonomii Politycznej na Wydziale Ekonomiczno-Społecznym, pełniąc jednocześnie funkcję prodziekana Wydziału Handlu Zagranicznego tej uczelni w latach 1964—1968.

Na początku lat siedemdziesiątych podejmuje ważną w swoim życiu decyzję — przenosi się wraz z rodziną do Łodzi, by objąć funkcję rektora Uniwersytetu Łódzkiego. Ma wówczas 42 lata. Obejmując tę funkcję zdawał sobie sprawę z ogromu zadań, jakie przed nim stanęły:

— konieczności poprawy bazy materialnej uczelni, która rozlokowana w trzydziestu kilku punktach miasta utrudniała sprawne kierowanie jej zespołem,

— konieczności przyspieszenia tempa badań naukowych, które na przełomie lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych uległo pewnemu zwolnieniu.

Życzeniem rektora Uniwersytetu było, by można było mówić o łódzkiej szkole w takich dziedzinach jak w matematyce, fizyce, mikrobiologii, geografii, socjologii czy też ekonomii politycznej. Pragnął, aby te łódzkie szkoły liczyły się w nauce europejskiej, a może światowej. Pragnął wreszcie, aby nastąpiła aktywizacja młodzieży akademickiej, przełamanie jej minimalistycznych postaw poprzez realizowanie zasady współpartnerstwa.

Zdawał sobie sprawę z oczekujących go trudności w rozwiązywaniu tych wszystkich złożonych problemów. Niepokoiła go myśl czy potrafi sobie ułożyć dobre stosunki ze środowiskiem łódzkim. Dziś można powiedzieć, że obawy te były mało zasadne, a to głównie dzięki cechom jego charakteru — talentowi w stwarzaniu dobrych stosunków między ludźmi, opartych o szczerość, wzajemne zaufanie i życzliwość. Wysoka ocena jego działalności na stanowisku rektora Uniwersytetu Łódzkiego spowodowała powierzenie mu odpowiedzialnej funkcji podsekretarza stanu, a następnie ministra nauki, szkolnictwa wyższego i techniki. Pracy na tych stanowiskach państwowych poświęca kilka lat (1975—1981), utrzymując w tym czasie stałą więź z Uniwersytetem jako nauczyciel akademicki.

Pod koniec tego okresu przyjdzie mu stanąć na czele komisji rządowej prowadzącej rozmowy ze strajkującymi studentami uczelni łódzkich. Mieczysław F. Rakowski w swojej książce „Czasy nadziei i rozczarowań" napisze po kilku latach: — *„po raz pierwszy w życiu Janusz Górski spotkał się z tak wielką agresywnością, a nawet wręcz nienawiścią ze strony studentów. Jego rozmówcy ... upokarzali go na każdym kroku, ośmieszali, obrzucali inwektywami, słowem wytwarzali wokół niego klimat niechęci i wręcz wrogości"*. Mimo tych brutalnych i upokarzających ataków Janusz Górski nie ugiął się. I dalej Mieczysław F. Rakowski dodaje: — *„zachowałem z tego okresu wiele szacunku dla prof. Górskiego"*. Myślę, że większość ludzi, uczciwie oceniających ówczesną sytuację w środowisku akademickim Łodzi i Polski podziela zdanie Mieczysława F. Rakowskiego.

Lata osiemdziesiąte przynoszą dalszy wzrost aktywności Profesora na innych polach. Nie osłabiając aktywności naukowej i dydaktycznej włącza się w nurt najważniejszych spraw społecznych i ogólnopaństwowych. Kontynuuje pracę na stanowisku prezesa Zarządu Głównego Towarzystwa Wiedzy Powszechnej, włącza się w proces umacniania porozumienia narodowego w ramach Rady Krajowej PRON, Narodowej Rady Kultury, Rady Społeczno-Gospodarczej przy Sejmie PRL, Ogólnopolskiej Fundacji „Pomoc Szkole". Był więc profesor Janusz Górski autentycznym działaczem państwowym i społecznym, śmiało podejmującym najtrudniejsze kwestie życia społeczno-politycznego kraju i jednocześnie tak skutecznie łączącym z pracą naukową i działalnością dydaktyczno-wychowawczą.

Zainteresowania naukowe Profesora były rozległe. Można w nich wyodrębnić kilka nurtów. Po pierwsze: w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych zajmował się polską myślą ekonomiczną okresu XVII—XIX wieku. Na marginesie tych studiów powstały prace: doktorska i habilitacyjna oraz szereg studiów i artykułów. Niektóre z nich są aktualne do dziś i mogą przyczynić się do poznania procesu rozwoju rozumowania ekonomicznego w naszym kraju. Po drugie: w latach późniejszych podejmuje studia z historii powszechnej myśli ekonomicznej i poświęca je głównie autorom i nurtom, o których w Polsce stosunkowo mało pisano oraz studia mające znaczenie dla przedstawienia procesów przemian we współczesnej ekonomii burżuazyjnej. Włącza się również w nurt dyskusji naukowych odnoszących się do współczesnych zagadnień ekonomii politycznej socjalizmu, w tym problematyki polskiej we wszystkich kluczowych dla gospodarki polskiej kwestiach.

Plonem tych rozległych zainteresowań jest duży i znaczący dorobek naukowy, na który składa się ponad dwieście opublikowanych pozycji, z tego jedenaście książkowych (monografie, podręczniki) oraz kilkadziesiąt nie publikowanych (referaty na konferencje i sympozja, recenzje prac habilitacyjnych, doktorskich, opinie w „przewodach profesorskich"). Dorobek ten czeka na systematyzację i krytyczną analizę.

Był profesor Janusz Górski nie tylko uczonym o uznanym w kraju i za granicą autorytecie, ale także wspaniałym nauczycielem akademickim. Na jego przykładzie doskonale sprawdzała się zasada, iż wysoki poziom kształcenia w szkole wyższej można osiągnąć jedynie pod warunkiem uprawiania intensywnej pracy naukowej, której wyniki mogą być przekazywane młodzieży akademickiej oraz młodej kadrze naukowej. Profesor Górski znany jest więc w Polsce jako autor kilku podręczników z zakresu historii myśli ekonomicznej i ekonomii politycznej, które osiągnęły po kilka wydań w dziesiątkach tysięcy egzemplarzy i stanowiły oraz stanowią nadal ogromną pomoc w studiowaniu tych dyscyplin w polskim szkolnictwie wyższym oraz przyczyniły się do upowszechnienia marksistowskiej wiedzy ekonomicznej w szerokich kręgach społeczeństwa polskiego.

Jako dydaktyk był powszechnie lubiany przez młodzież. Jego wykłady kursowe, monograficzne, seminaria magisterskie cieszyły się ogromną popularnością ze względu na ich wysoki merytoryczny poziom, atrakcyjną formę, przystępność i jasność prowadzonych wywodów. W toku swojej działalności nauczyciela akademickiego wypromował około stu magistrów z zakresu obu uprawianych dyscyplin naukowych.

Zupełnie wyjątkową rolę w działalności naukowo-dydaktycznej Profesora spełniały prowadzone przez niego seminaria doktorskie w Łodzi i Warszawie. Uważał, jako opiekun naukowy, że zadaniem prowadzącego seminarium nie jest narzucanie swoich poglądów, narzucanie swojej doktryny, przeciwnie tolerowanie odmiennych zdań, poglądów by poprzez ścieranie się ich dochodzić do prawdy. Jako kierownik naukowy wielu prac doktorskich i opiekun szeregu prac habilitacyjnych, poświęcał ich autorom wiele czasu, był niezwykle konstruktywny w formułowaniu propozycji rozwiązań różnych zagadnień w dyskusjach i sporach naukowych, posiadał ogromne, rzadko spotykane, wyczucie spraw ważnych. Nie przyspieszał procesu pisania prac, czekał cierpliwie aż one dojrzeją do publicznej prezentacji. Ten liberalizm, jakże daleki od ciasnego dogmatyzmu, stanowił ważną cechę jego umysłowości i sprzyjał dobremu klimatowi pracy naukowej i jej wyników.

Ostatnią rozmowę z Profesorem odbyłem 15 grudnia 1986 roku. Przyjechał do Łodzi w związku z odbywającym się posiedzeniem Rady Wydziału Ekonomiczno-Socjologicznego UŁ. Uzgadnialiśmy wówczas szczegóły planowanego na styczeń 1987 r. warszawsko-łódzkiego seminarium dotyczącego dyskusji nad jednym z tematów realizowanych w ramach resortowego programu badań podstawowych: „Analiza i krytyka współczesnej ekonomii burżuazyjnej", poruszaliśmy niektóre kwestie mającej się odbyć w maju ogólnokrajowej konferencji naukowej.. w cztery dni później znalazł się w warszawskim szpitalu.

WITOLD LEJMAN

(2)

Dwa rozdziały życia

TADEUSZ GICGIER

Łódzkie dzieje Tadeusza Sarneckiego przedstawiłem w części pierwszej. Co działo się z nim po ucieczce w roku 1942 do Warszawy, czym się wtedy zajmował? Nawiązuje kontakt ze Stronnictwem Polskich Demokratów i wydaje konspiracyjny „Dziennik Polski", a potem „Dzień". Bierze też czynny udział w akcjach na rzecz ratowania polskich Żydów, zostaje działaczem referatu terenowego „Żegoty". W książce Teresy Prekerowej „Konspiracyjna Rada Pomocy Żydom w Warszawie — 1942—1945", wydanej przez PIW w roku 1982, czytamy:

„Terenem działania Sarneckiego i jego przyszłej żony, „Ewy", z którą ściśle współpracował, stały się od lipca 1943 do lipca 1944 miasta położone w Generalnej Gubernii po lewej stronie Wisły, a zwłaszcza Piotrków, Radom, Skarżysko-Kamienna i Pionki, a poza Generalną Gubernią — Łódź. Ze względu na niebezpieczeństwo dekonspiracji „Tadeusz" zastrzegł, że na Lubelszczyznę, a zwłaszcza do Zamościa, jeździć nie będzie.

...„Tadeusz" Sarnecki i jego późniejsza żona „Ewa" (nazwiska okupacyjne: Kazimierz Hutecki i Regina Cybulska) jeździli przeważnie razem, po uzgodnieniu szczegółów wyprawy ze Stefanem Sendlakiem „Tadeusz" zajmował się niełatwymi w tym czasie sprawami organizacyjnymi, (a po powrocie — sprawozdawczością), on też miał przy sobie pieniądze, przywiezione fałszywe dokumenty czy korespondencję. „Ewa", nie obciążona niczym, szła nawiązywać (lub odnawiać) kontakty z obozem i dopiero kiedy droga była przetarta, wracała po niebezpieczne materiały.

...Najbardziej kłopotliwym obozem był dla tychże wysłanników Rady obóz w Pionkach. Komplikacje zaczęły się już po drodze, zanim jeszcze dojechali do tej miejscowości.

Nocować mieli w Kielcach, do których przybyli wieczorem. „Tadeusz" jak zwykle załatwił kwaterę w sposób najbardziej oficjalny — przez Niemców. Zostali skierowani do miejscowego hotelu.

O drugiej w nocy obudziło ich łomotanie do drzwi. Kontrola! A pod poduszką grypsy i pieniądze w ilościach przekraczających zapotrzebowanie dwóch osób na czas podróży. Na szczęście kontrolującymi okazali się ci sami Niemcy, z którymi Sarnecki rozmawiał przed kilkoma godzinami. Powitali go jak starego znajomego i po paru „męskich" dowcipach nawiązujących do różnego brzmienia nazwisk „Tadeusza" i „Ewy" — dali im spokój.

Rano wyłoniła się nowa trudność: miejscowy działacz jednej z organizacji politycznych, który miał skontaktować emisariuszy z obozem, poczuł się widocznie w tym momencie specjalnie zagrożony, gdyż odmówił wszelkiego współdziałania. Nie pomogły perswazje — zostali pozostawieni sami sobie.

Mimo wszystko pojechali do Pionek, gdzie „Ewa" uparła się, że spróbuje wejść do obozu. (...)

Strażnik volksdeutsch nie był zbyt surowy i nie miał nic przeciwko temu, by pożartować z ładną dziewiętnastoletnią dziewczyną. Gdy coś na chwilę odwróciło jego uwagę, „Ewa" wśliznęła się szybko na zadrutowany teren. Lecz wtedy nagle za pobliskim zakrętem zawarczały motory i prawie natychmiast przed bramą pociemniało od mundurów SS. Znalazła się w pułapce.

Bez chwili zastanowienia „Ewa" dała nurka pod stojące na placu wozy, przywarła ciałem do śniegu. SS-mani rozpełzli się po obozie, dochodziły do niej głośne odgłosy komend, wymysłów, uderzeń. Trwało to prawie całe sześć godzin! „Tadeusz" śledzący z daleka wydarzenia w obozie stracił nadzieję, że „Ewę" kiedykolwiek jeszcze zobaczy.

A ona, wciąż leżąc na śniegu, bała się nawet poruszyć. Od mrozu i wilgoci zesztywniała tak, że gdy wreszcie odjechali, z trudem wyczołgała się spod wozu. Te sześć godzin miało wycisnąć na jej zdrowiu ślady nie do usunięcia.

...Całkiem inaczej przebiegały kontakty z Łodzią, już choćby dlatego, że znalazła się ona na terenie ziem przyłączonych do Rzeszy. Ponadto nie było tu obozu pracy dla Żydów, natomiast getto łódzkie liczące zimą 1943/1944 jeszcze ok. 70 tys. osób dotrwało do sierpnia 1944. Odmienną sytuację stwarzała wreszcie okoliczność, że Tadeusz Sarnecki mieszkał tu i pracował przez kilka lat, miał więc szerokie znajomości na terenie miasta i okolic.

...RPŻ współdziałała też... w wydaniu tomiku „Z otchłani". Był to zbiorek głęboko wstrząsających wierszy poetów żydowskich i polskich — Mieczysława Jastruna, Czesława Miłosza, Michała Maksymiliana Borwicza-Boruchowicza, Jana Kotta i Tadeusza Sarneckiego, wierszy poświęconych okupacyjnej martyrologii Żydów na ziemiach polskich. Redaktorem zbiorku był Sarnecki. Druk broszury (3 tys. egzemplarzy) wykonała drukarnia na Nowym Świecie. (...)

PRZYJEŻDŻAM DO ŚWIDRA.

Jest zima. Brnę od stacji przez łachy rozkisłego śniegu, potem idę na przełaj sosnowym laskiem i oglądam drewniane domki, bardzo podobne do tych, jakie stoją do dziś w podłódzkiej Kolumnie. A oto i ulica Różana, gdzie po wojnie zamieszkał z żoną Tadeusz Sarnecki.

Wita mnie pani Ewa wraz ze swą córką, Sylwią. Panie są uprzedzone o moim przyjeździe, przygotowały mi do wglądu pamiątki po mężu i ojcu, całe archiwum domowe, publikacje, rękopisy, listy, jego książki i wydawnictwa, w których jest mowa o nim. Jest tego karton pokaźnych rozmiarów, patrzę nań przez chwilę z przerażeniem, zanim zabiorę się do wertowania. Na razie jednak pytam o powojenne życie Tadeusza Sarneckiego.

— No cóż — mówi pani Ewa — *nie było to życie łatwe, wszystko zaczynaliśmy od początku. A praca męża — prawdziwa szamotanina. Nie mógł znaleźć stałego zajęcia, Warszawa przez długi czas nie była przyjazna dla niego...*

No tak, myślę sobie, takie są losy łódzkich emigrantów. Łódź w tym czasie oddała pisarzom warszawskim wszystko, czym dysponowała: mieszkania, lokale, wydawnictwa, prasę, etaty. A Tadeusz Sarnecki, notabene uczestnik powstania warszawskiego?

— *Mąż zatrudnił się najpierw w Stronnictwie Demokratycznym* — ciągnie pani Sarnecka — *ale wkrótce opuścił tę pracę, chciał wrócić do dziennikarstwa. Przez pewien czas był redaktorem działu kulturalnego w „Kurierze Codziennym", a potem w „Woli Ludu". Pracował później kolejno w Wytwórni Filmów Dokumentalnych, w Polskim Radiu, w tygodnikach „Świat" i „Dookoła Świata". Czegóż on nie robił, czego się nie chwytał? Był kierownikiem Domu Kultury i kierownikiem kina „Energetyk", prowadził klub Domu Mody „Astra". W roku 1951, po różnych perypetiach w Warszawie, zatrudnił się nawet w spółdzielni produkcyjnej w Jurowcach koło Sanoka, gdzie zbierał także materiały do powieści. Dużo pisał, chociaż nie wszystko mu drukowali. Tak na przykład jego powieść o powstaniu warszawskim nie została opublikowana, ponieważ wydawnictwo zażądało zmian, na które się nie zgodził. Powiedział, że nie będzie fałszował historii.*

— *Mama nie wspomniała jeszcze o tym* — dopowiada pani Sylwia — *że ojciec bardzo chętnie wiązał się z młodzieżą, w roku 1955 był członkiem Komitetu Organizacyjnego V Festiwalu Młodzieży i Studentów w Warszawie, pracował również w Pałacu Młodzieży jako kierownik działu czytelniczego. Młodzi ludzie zawsze garnęli się do ojca, przychodzili bardziej do niego, niż do mnie i brata, rozmawiali z nim godzinami o sztuce, o literaturze, o swych życiowych zainteresowaniach. W rozmowach tych często napomykał o Łodzi. (...)*

— *Dopiero ostatni okres życia miał spokojniejszy* — kończy pani Ewa. — *W roku 1969 został starszym radcą w Centralnej Poradni Amatorskiego Ruchu Artystycznego, a w rok później objął to samo stanowisko w Ministerstwie Kultury i Sztuki. Zajmował się prognozowaniem rozwoju kultury i analizami programów. Pracował tam aż do przejścia na emeryturę, to znaczy do roku 1976. Skończyły się codzienne dojazdy do Warszawy, szukał sobie zajęcia w domu. Zaczął parać się stolarką, miał to zamiłowanie po ojcu, przerobił sąsiadującą z domem komórkę na pokój do pracy, sam go umeblował. Rzucał się z jednego zajęcia w drugie, pisał, naprawiał tapczany, przeprowadzał elektryczne przewody, konstruował półki biblioteczne, których wciąż było mało dla jego pasji bibliofila i zbieracza. Muszę się panu przyznać, że to mnie nawet drażniło, bo mam usposobienie raczej leniwe, a w domu był wieczny remont. Ta jego pracowitość chwilami mnie irytowała, jeśli się zniechęcił, to na dwa-trzy dni, a potem zaczynał wszystko od nowa. Był przy tym bardzo pedantyczny, a nawet dyktatorski, cała rodzina musiała podporządkować się jemu i jego pasjom. Teraz, kiedy go już nie ma, tak sobie czasami myślę, że miał chyba poczucie winy, zdawał sobie sprawę z tego, że nakłada się na cudze życie, życie najbliższych, a nie potrafi przełamać swej natury. Wtedy zamykał się w swym pokoju, przeglądał i porządkował swą kolekcję slajdów, których miał ponad 10 tysięcy, były to barwne slajdy przedstawiające sztukę i architekturę, polską i światową, no i pisał, pracował nad obszernym traktatem „O sztuce inaczej", w którym chciał wyrazić, jak mi mówił, własne widzenie sztuki od czasów najdawniejszych po czasy współczesne, przybliżyć ją możliwie wszystkim. Pracował też przez wiele lat nad książką „Życie, kultura, wychowanie".*

Umarł 19 marca 1981 roku, a jego śmierć poprzedziło bardzo dramatyczne wydarzenie. Został zaproszony na naradę do Bielska-Białej, do wytwórni slajdów, w której był konsultantem. Ale tam nie dojechał. Sekretarka dzwoni, pyta, co z mężem się stało. Do domu też nie wrócił. Mocno zaniepokojona zaczęłam go szukać z córką po Warszawie, wreszcie Sylwia znajduje ojca w szpitalu. Okazało się, że miał w podmiejskim pociągu wylew i został częściowo sparaliżowany. Nikt tego nie zauważył, nikt nie przyszedł mu z pomocą. Nikt też nie sprawdził wagonu, w którym on się znajdował — i wagon ten z całym składem odstawiono na boczne tory. Znaleziono męża dopiero po siedemnastu godzinach, gdy pociąg miał ruszyć na inną trasę. Żył jeszcze przez kilka godzin w szpitalu. Może by go uratowano, gdyby nie te fatalne godziny w pustym pociągu na bocznicy. Złożyłam skargę w dyrekcji kolei, no i otrzymałam na pięknym kredowym papierze przeproszenie. To wszystko. Mąż został pochowany na cmentarzu w Otwocku.

NIE MIAŁ ŁATWEGO ŻYCIA.

Jego znaczna część, przed wojną i po wojnie, zeszła mu na poszukiwaniu pracy. A był to przecież człowiek ambitny i wrażliwy. Jednak nie kapitulował, nie zrażał się przeciwnościami. Podejmował wciąż nowe inicjatywy, nie tylko z myślą o sobie. Wiele pisał i drukował, zadziwiał pracowitością. Przejrzałem jego publikacje w „Wymiarach", przejrzałem teczki wycinków prasowych z lat powojennych: recenzje z książek, sylwetki pisarzy, zagadnienia literackie, recenzje teatralne, sprawy teatralne, ludzie teatru, balet, zagadnienia kulturalne, plastyka. Do tego rozprawy filozoficzne i społeczno-polityczne, powieści, scenariusze filmowe, bajki dla dzieci. Po wojnie został członkiem Związku Literatów, ale w kilka lat później uległ tzw. weryfikacji. Skreślono go z listy członków, bo nie wydał odpowiedniej ilości książek. Nie wzięto pod uwagę, że miał duże trudności z ich wydaniem. Rozprawiono się z nim prostacko, nie jedyny to przypadek w dziejach ZLP. Sądzę, że to go załamało — przestał zajmować się twórczością literacką.

Przetrwały jednak pasje społeczne i publicystyczne, choć dostarczały mu również wielu kłopotów i nadszarpywały zdrowie. Głośny był w swoim czasie jego artykuł w „Wymiarach", kwestionujący aneksję Zaolzia, głośne artykuły w brukselskiej „Kronice Polskiej", nawołujące do zmiany naszej narodowej mentalności i kierowania się emocjami, do politycznego rozsądku. Szedł pod prąd, często się narażał. O paradoksie: po powrocie do kraju oskarżono go o „prawicowe odchylenie" i przestano drukować, jego, który opowiadał się zawsze za postępem. Kokietowała go emigracja, chociaż uprzednio odwróciła się od niego. Jednakże nie wyjechał, wierny swej zasadzie, że *„Polskę można budować tylko w Polsce"*.

Co po nim zostało? Niewiele i zarazem dużo. Niewiele, bo mało ze swych prac wydał, większość jego dorobku to druki rozproszone. Dużo, bo cenne są jego rozważania i publikacje, świadczące o tym, że był to *„przypadek człowieka myślącego"*. Cenne i ciągle aktualne. Warto, aby ktoś zajął się jego spuścizną, poetycką i publicystyczną, ta bowiem zasługuje przede wszystkim na przypomnienie i utrwalenie.

Z rynku

POCZĄTEK STYCZNIA upływa w handlu pod znakiem remanentów, inwentaryzacji i spisów kontrolnych towarów. W sklepach spożywczych są one przeprowadzane sprawnie i szybko, natomiast w wielu placówkach handlujących artykułami przemysłowymi trwają po kilka dni — niekiedy nawet ponad tydzień. Pół biedy w centrum miasta, gdzie do następnego sklepu tej samej branży odległość niewielka, ale w odległych dzielnicach mieszkaniowych zamykanie sklepów pasmanteryjnych, chemicznych i innych, sprzedających często potrzebne towary jest bardzo uciążliwe dla mieszkańców.

OSTRA ZIMA w bardzo niekorzystny sposób wpływa na zaopatrzenie. Dostawy wielu towarów są mniejsze niż przewidywano, docierają do sklepów z opóźnieniem. Dotyczy to wszystkich towarów, ale szczególnie denerwują klientów zakłócenia w dostawach podstawowych artykułów spożywczych, zwłaszcza mleka. Kilka dni temu w jednym z największych sklepów teofilowskich — nad którym na dodatek sprawuje patronat Zrzeszenie Spółdzielni Mleczarskich — i który jest zobowiązany do utrzymywania ciągłości sprzedaży mleka, klienci wyczekiwali na dostawę do godzin popołudniowych. W końcu zostało przywiezione, jednak w ilości mniejszej niż zamawiana.

Nie był to przypadek odosobniony. Podobne kłopoty powtarzają się od nastania silniejszych mrozów w wielu sklepach.

Z OPÓŹNIENIEM i w mniejszych niż potrzebne ilościach docierają do wielu sklepów także jaja. Braki występują zwłaszcza w tych placówkach, które zaopatrują się w świeże jaja bezpośrednio u prywatnych właścicieli ferm. Podobno przyczyną nie są trudności z uruchomieniem samochodów dostawczych, ale specyfika tego dość kruchego towaru.

Jaja narażone na działanie mrozu pękają, co przyniosłoby duże straty producentom, a klienci i tak nie mieliby wiele pożytku.

NIE ZAMARZA natomiast chleb, a i w tej branży występują trudności zaopatrzeniowe. Generalnie, co prawda, pieczywa nie brakuje, ale zarówno klienci jak i kierownicy niektórych sklepów — zwłaszcza tych najbardziej oddalonych od piekarń — narzekają na opóźnienia w dostawach, zubożony asortyment i nie najlepszą (niższą nawet niż w okresie przedświątecznego szczytu) jakość pieczywa.

POGODA służy natomiast śmietanie, twarogom i serkom smakowym. Nie zdarza się — jak to bywa latem — że pojemniki z homogenizowanymi twarożkami „puchną" i fermentują już w transporcie. Docierają do sklepów w dobrej formie i w dostatecznych ilościach.

SŁOWA UZNANIA należą się producentom zaopatrującym w produkty mleczarskie Łódź za to, że nie skorzystali z okazji zlikwidowania cen urzędowych i nie podnieśli cen, jak miało to miejsce w niektórych województwach.

CICHE I PUSTE są minitargowiska w różnych punktach miasta, a także duże „zielone rynki" przy Bałuckim Rynku i Placu Niepodległości. Mróz odstrasza nie tylko tych rolników i ogrodników, którzy sami zajmowali się handlem detalicznym na straganach, lecz także dostawców hurtowych. W związku z tym w prywatnych kioskach coraz uboższy asortyment, gdzieniegdzie pojawiają się kartki „nieczynne z powodu braku towaru", występują kłopoty z zakupami marchwi czy ziemniaków. Bardzo często warzywa — nawet jeśli są — nie bardzo nadają się do użytku, są bowiem całkowicie zmarznięte, a więc potrawy z nich przygotowane są niesmaczne.

CYTRYNY staniały i w związku z tym wzrósł nieco popyt na nie. Nie we wszystkich sklepach handlujących cytrusami udaje się utrzymać ciągłość sprzedaży, ale przerwy są na ogół krótkie. Hurtownia nadal przyjmuje — i realizuje — zamówienia i przez kilka najbliższych tygodni będzie jeszcze można kupować te poszukiwane owoce, z czego cieszyć się powinni zwłaszcza kaszlący i zakatarzeni. Cytryny są bowiem obecnie jednym z podstawowych źródeł witaminy C. W aptekach ten popularny, antyprzeziębieniowy specyfik jest nieosiągalny.

CI, KTÓRZY dopiero po „odespaniu" Sylwestra postanowili zmienić kalendarz na ścianie, będą do końca roku liczyć dni na palcach. W sklepach i kioskach RUCH są jedynie kalendarzyki kieszonkowe w różnych rozmiarach, po barwnych kalendarzach ściennych nie został nawet ślad. I — jak informują sprzedawcy — raczej nie należy spodziewać się nowych dostaw. Wybór w grudniu 1986 r. też był niezbyt duży, a w popularne kalendarze z kartkami do zrywania, tzw. bloczki, zaopatrzyli się jedynie najbardziej przezorni, którzy o nowym roku myśleli już w sierpniu. Dobra rada na przyszłość — kupić kalendarz latem, oczywiście już na 1988 rok.

NIE TYLKO MŁODZIEŻ ma powód do radości. Po dłuższej przerwie ponownie pojawiły się na półkach taśmy i kasety do magnetofonów. Można je kupić nie tylko w sklepach z artykułami RTV, ale nawet w niektórych sklepikach RUCHU. Kaseta wystarczająca na 60 min. nagrywania kosztuje 650 zł, taśma do magnetofonu szpulowego — ponad 800 zł.

AGATA

Zbudowano w Łodzi dom, w którym dzieją się cuda: zewsząd leje się woda, po balkonach łażą ludzie — pająki...

Cacko się moczy

WŁODZIMIERZ KUPISZ

Z góry można przewidzieć reakcję. Czepiają się znów nie wiadomo czego. To pewne, że wykonawca Szpitala-Pomnika nie może być knociarzem. W samym epicentrum kryzysu brygady z Kombinatu Budownictwa Ogólnego „Jedynka" machnęły luksusowy, żeby nie rzec — reprezentacyjny akademik numer X dla Uniwersytetu Łódzkiego. Trzynastopiętrowe cacko za 390 mln zł, od ulicy faktycznie zapierające dech w piersiach, wymaga już w tej chwili kilkuset drobnych i poważniejszych napraw. Ale to oczywiście — jakby ktoś nie wiedział — wina złych materiałów, złośliwość przedmiotów martwych i odosobnione przypadki ludzkiej niedoskonałości.

Zabawne, że nie wykonawcy, ale właśnie naturalni — wydawałoby się — rzecznicy interesów studenckich, tj. pracownicy z działu technicznego uczelni oraz Zarządu Inwestycji Szkół Wyższych w Łodzi, zapytani o opinię na temat fuszerki, minimalizują jej rozmiary, twierdzą, że usterki są typowe, a za plecami pewnie

PUKAJĄ SIĘ W CZOŁO

Jak można podejrzewać specgrupy z tego kombinatu o brak dobrej woli?! Nie bez powodu Włodzimierz Mieczkowski z „Dziennika Łódzkiego" usiłując rozwikłać zagadkę nowej nazwy przedsiębiorstwa, sugerował swoim czytelnikom, iż chodzi w tym wszystkim o... znak jakości.

Studenci chętnie opowiadają o warunkach lokalowych w cacku. Choć wilgotne środowisko nie jest dla ludzi najodpowiedniejsze, to jednak nikt z mieszkańców nie zrezygnowałby z pokoju tylko dlatego, że w łazienkach leje się także już po wyłączeniu pryszniców. Ci, z kierunków ścisłych przekonują, że po wielokrotnych pomiarach czasu należy przyjąć za pewnik, iż uderzenie pierwszych kropel wody w brodziku oznacza zakończenie kąpieli przez sąsiadów z góry — dokładnie dwie godziny wcześniej. Nikt z nich nie życzy sobie, żeby budowlańcy przyszli od razu, rozebrali stropy, naprawili co trzeba, bo kucie młotów raczej nie sprzyja przyswajaniu wiedzy. Najlepiej, żeby sobie fachowcy dali na wstrzymanie do wakacji, co też mają uczynić.

Tylko kierowniczka X Domu Studenta nie dała się zwariować. Ma wyrobiony sąd o sknoconej instalacji, o grzybie na świeżutkich tynkach oraz o perspektywie poprawek w co drugim niemal pokoju i pomieszczeniu. W ramach gwarancji muszą je wykonać za „frajer" ci, co to myślą, że na ręce patrzy im się jedynie na Chojnach.

„Rejestr krzywd" datuje się od początku roku, kiedy komisje uczelniane wykrywały raz po raz ślady niedoróbek i braków podczas robót wykończeniowych. Plik protokołów rósł, a kredyt zaufania do kombinatu zdawał się być niewyczerpany, aż

SKANDAL ZACZĄŁ SIĘ OD POTOPU

12 czerwca 1986 r. podczas większej burzy, która dla potomności zachowała się w pamięci jako „oberwanie chmury".

Spece z profesjonalnego przecież biura projektów i firmy budowlanej nie mieli dość wyobraźni, żeby przystosować uzbrojenie terenu do potrzeb gmachu, jaki przebojem miał wejść w wiek XXI, ale po drodze, o włos, a byłby się utopił. W szybie jednej z wind do tej pory stoi woda, ale cieknie ze ściany i jest najprawdopodobniej pochodzenia podskórnego.

Jesienią, gdy do cacka przeprowadziło się 550 stałych lokatorów, przyszła wichura, co jest naturalne o tej porze roku, i zdmuchnęła kawałek dachu. Oczywiście, nieokiełznane siły przyrody zawzięły się na ten właśnie akademik, który nie wiedzieć czemu, nie nosi numeru trzynaście. To już musi być jakieś przekleństwo, kiedy nawet powściągliwe w ocenie usterek służby techniczne uczelni uznały, że trzy czwarte powierzchni dachu, a więc papa i blacharka nadają się do wymiany.

Nikt nie ściągnął brygady remontowej. Trudno się temu dziwić. Woda zaleje najpierw ostatnie, trzynaste piętro — nie zamieszkane, bo nie ma na nim pokojów. Nie będzie miał kto alarmować. Zanim zwilgotnieją niższe sufity, upłynie trochę czasu, a może zalewy da się wytłumaczyć tym, że na trzynastym duchy biorą natrysk. Do innych atrakcji tego domu studenckiego należą niewątpliwie

LUDZIE-PAJĄKI

odbywający spacery rzadziej uczęszczanymi drogami zewnętrznymi, to znaczy z balkonu na balkon. Popularności tego szlaku komunikacyjnego przysłużyły się zapewne specyficzne wycięcia w ściankach działowych między balkonami. W połączeniu z drewnianymi balustradami, stanowią one o szalenie estetycznym i ciekawym wyglądzie gmachu. Jeśli wybiec myślami w daleką przeszłość, tj. w połowę lat siedemdziesiątych, kiedy to rodziła się koncepcja tego akademika, spierano się wówczas, czy dać balkony, czy je skreślić w ramach, i wtedy dobrze widzianych, wariantów oszczędnościowych. Jako że w tym mieście nowe akademiki zdarzają się znacznie rzadziej od cudów, więc zwyciężyli wyznawcy balkonów, bo skoro już budować, to z fantazją! Nikt wtedy nie przypuszczał, że przyniosą one rozwój spontanicznej alpinistyki.

Do największych wyczynów należą spacery „po gzymsach" przedostatniego piętra. Amatorzy natomiast nie pogardzili nawet szlakiem na pierwszym, żeby tylko dostać się do znajomych dziewczyn. Dwóch ludzi-pająków, przypuszczalnie z Politechniki Łódzkiej, przybyłych na gościnne występy, zostało zakapowanych przez kogoś o nie dość wytrzymałych nerwach. Nie zostali pochwyceni, ale dwie studentki V roku polonistyki, działające z nimi w zmowie, na życzenie rektora przeprowadziły się do prywatnej stancji, podobno suchej i z kompletnym dachem.

Namnożenie się ludzi-pająków to nie tylko konsekwencja lekceważenia ustawy przeciwalkoholowej. To także problem waletów, którzy nie wyginęli jako gatunek pomimo pozyskania wielu nowych miejsc dla studenckiej braci. W obawie przed wykryciem, najchętniej przemieszczają się balkonami. Do budynku przenikają z łatwością, bo portierce trudno ich pochwycić, jako że jej

AKWARIUM

zaprojektowano z boku, podczas gdy powinno znajdować się w miejscu bufetu, a więc na wprost głównego wejścia.

Jak sama nazwa wskazuje, akwarium jest przeszklone, a szyby nie trzymają ciepła, zwłaszcza że drzwi otwierają się co chwila, a mroźne przeciągi odbierają ochotę do życia, ale również do prześwietlania wzrokiem każdego wchodzącego. W bufecie tymczasem można oszaleć z przegrzania, bo znajduje się on przy węźle cieplnym. O ile ludzie jakoś znoszą tropik, to nie można tego powiedzieć o żywności, której nie można przez okrągłą dobę przechowywać w lodówce.

Ulgi nie przyniesie bynajmniej okres wiosenno-letni. Okna przeszklone na całej wysokości bufetu, portierni, klubu i pokoju rady mieszkańców — nie posiadają łatwo dostępnych klamek. Trzeba rozstawiać za każdym razem drabinę, żeby je otwierać. Jest to wątpliwy atrybut nowoczesności. Podobnie jak drzwi wejściowe, które jakiś nieodpowiedzialny człowiek postanowił zamontować takie, jakie akurat były pod ręką: lekkie, aluminiowe, przeszklone, szybko się wypaczające, choć na pewno estetyczne. Do zimy szyby wypadały z nich ośmiokrotnie. Zdecydowano, że do czasu wymiany na nowe, w miejsce szkła wstawi się blachę hartowaną. Przynajmniej cięższe będą.

W cacku najmarniej wypadł hall wyłożony terakotą III gatunku, a więc najgorszą, bo lepsza była pono niedostępna. Terakota zawsze lepsza od gołych płytek PCV. Zresztą na domiar złego, podczas prac wykończeniowych, jacyś fachowcy niemiłosiernie porysowali posadzkę urządzeniem do wygładzania lastriko!

CUDZOZIEMCY

goszczący w hoteliku na III piętrze, gdzie jest 50 miejsc, nie natykają się więc na budujące widoki już na progu akademika. Są tu kierowani przez komisję zagraniczną w ramach wymiany naukowej między uczelniami. Na ogół Polacy bywający za granicą, mieszkają w komfortowych warunkach, oczywiście na miarę naszych wyobrażeń. Naszej uczelni nie stać na zafundowanie gościom miejsc w hotelach. Otwarcie tej placówki w „dziesiątce" pozwoli zaoszczędzić sporo grosza, choć odbije się to trochę na wrażeniach obcokrajowców z pobytu w Łodzi.

Standard numerów oddanych do dyspozycji obcojęzycznym studentom nieznacznie tylko odbiega od tego, spotykanego w pozostałych pokojach. Zasadnicza różnica to firanki i piękna wykładzina dywanowa w pokojach, a niedługo i na korytarzach — których nie ma gdzie indziej.

Pomimo tego III piętro jest solą w oku innych mieszkańców, którzy nie znając realiów, podejrzewają obecność niewyobrażalnych luksusów, w jakich nurzają się zagraniczni koledzy. Nawet sprowadzenie kolejnej partii środków czystości wywołało komentarz, że „to tylko dla tych z trzeciego".

Rodzima młódź dostarcza często dowodów braku poszanowania własnych dóbr. Jak rzadko gdzie, pokoje są tylko 2-osobowe. Ich lokatorzy mają własne brodziki, ubikacje, segmenty szafowe i kuchenne. Wydawałoby się, że w tych warunkach czystość będzie utrzymywana, bo o własne dba się w szczególności. W sąsiednich domach po kilkadziesiąt osób przypada na wc, natryski, kuchnie — trudno więc znaleźć brudasów. Mimo to pokojowe z „dziesiątki" skarżą się na niechlujstwo, kradzieże firanek z korytarzy, powykręcane kurki od kuchenek gazowych. Niektórych tak rozpiera energia, że dziurawią drzwi ciosami karate.

Przeciwnicy III piętra przedstawiają niezbity argument. Opłata za nocleg w typowym pokoju, w hoteliku i „bunkrze" jest jednakowa, a to niesprawiedliwe.

„BUNKIER"

zwany fachowo „pionem rektorskim" to kilkanaście pokojów zaprojektowanych do cichej nauki. Ze względu na dużą liczbę podań, zasiedlono je z puli rektorskiej bądź przygotowano w nich pokoje gościnne. Wyróżniają je wysoko umieszczone okna. Życie w nich ponure. Cały pion do 2000 r. zostanie przerobiony na łącznik, gdy bliźniaczy akademik powstanie w ramach jednej bryły.

Zanim jednak opracowywana obecnie dokumentacja techniczna znajdzie się u wykonawcy, a setki nowych pokojów, sale konferencyjne, klubokawiarnia, kioski „Pewexu" i „Cepelii" przybiorą realniejsze kształty, życie brutalnie ściąga na ziemię. W cacku funkcjonuje li tylko łączność kurierska. Jest co prawda zamontowana instalacja głośnikowa, ale głucha. Zanim ruszyła radiofonizacja, trzeba było przerobić przyciski w pulpitach wywoławczych. Ot, nie stało dewiz na wzmacniacz. Głośniki przemówią dopiero wtedy, gdy zostaną założone aparaty telefoniczne na piętrach. Dopóki Wojewódzki Urząd Telekomunikacji nie uwinie się z tym, przywoływanych na dół będą w dalszym ciągu zawiadamiać sąsiedzi, przypadkowo jadący na dane piętro. Rozmowy z miastem są kontrolowane, jako że ogólnie dostępny aparat jest jedynie w portierni. Bóg raczy wiedzieć, do kiedy się ten stan rzeczy przeciągnie. Dżentelmeni nie mówią o terminach.

Foto: Grzegorz Galasiński

Potrzeba wyobraźni, czyli zapasy z zaspami

Druga już tej zimy rozmowa z dyrektorem Miejskiego Przedsiębiorstwa Oczyszczania — STEFANEM SPRYSZYŃSKIM

— I cóż panie dyrektorze nowego w zimowej batalii? Pierwsze zaskoczenie minęło, a nietęgo wypada pańska firma w tych zapasach z zaspami...

— A to niby dlaczego?

— Dlaczego? Zasypane śniegiem ulice, śliskie praktycznie cały czas skrzyżowania i rejony przystanków. Chodniki i jezdnie oblodzone, a gdy przyszła raptowna odwilż — tonące w śnieżnym błocie. Już pan zapomniał, jak się chodziło i jeździło w święta i nieco później?

— Pamiętam doskonale, bo miałem dwa dyżury całodobowe...

— Ale trzeba było pojeździć po mieście!

— Jeździłem, swoim własnym fiatem, i nigdzie się nie zakopałem, nigdzie nie utknąłem w zaspie, choć jak obaj pamiętamy — sypało bez przerwy. A pan miał jakieś kłopoty?

— Też jeździłem i było jednak bardzo ślisko na ubitej warstwie śniegu i lodu, a prysznic śniegu zagradzały swobodny przejazd na wielu skrzyżowaniach. Nie sposób było wyjechać z osiedli...

— Zaraz, zaraz — nie wrzucajmy paru problemów do jednego worka. MPO ma zapewnić przejezdność głównych szlaków komunikacyjnych w mieście — i z tym dajemy sobie radę bez większych problemów. Nie ma i nie było nigdzie zasp...

— A te zawalone zwałami śniegu skrzyżowania?

— Już mówię, nasze pługi odrzucą śnieg na boki, a ze skrzyżowań, zwłaszcza w tych newralgicznych punktach miasta, powinien zostać usunięty przez odpowiedzialne ekipy z zakładów pracy usytuowanych w pobliżu.

— Szalenie wygodne rozwiązanie. Dla MPO...

— Taka koncepcja nie narodziła się przecież wczoraj. Wiadomo dla przykładu, że skrzyżowaniem ulic: Północna — Zachodnia opiekuje się „Marchlewski", za skrzyżowanie Kilińskiego — Północna odpowiada „Harnam", a Armii Czerwonej — Promińskiego — „Polmos". MPO nie jest w stanie swoimi siłami odgarnąć tam śniegu, niech pan napisze, że do ręcznych prac w czasie zimowej akcji mam 28 ludzi, słownie — dwudziestu ośmiu!

— Śmiesznie mało, niestety. Oczywiście, a poza tym oni odpowiadają za oczyszczanie ze śniegu i lodu przejść podziemnych, wiaduktów, schodów na nich.

— Zgoda, czyli to pańskie pługi jeżdżą sobie po wyznaczonych szlakach, śnieg na bok odrzucając i — koniec? A nie można by go, przy pomocy ładowarek, od razu zapakować na samochody i wywieźć. Choćby w tych newralgicznych punktach miasta?

— Sporadycznie wywozimy, owszem, ale dopiero gdy uporamy się z zapewnieniem przejezdności ulic. Ale redaktorze: przy dużych, takie jak ostatnio notujemy, opadach jest to akcja praktycznie nierealna. Proszę policzyć. Odśnieżamy ponad 4,2 miliona metrów kwadratowych ulic, jeśli to przemnożyć przez 40 centymetrów śniegu — a tyle napadało choćby przez dwa dni wspomnianych świąt — to mamy już 1.680 tysięcy metrów sześciennych śniegu do odrzucenia. Wywieźć? Gdyby próbować to uczynić przy pomocy ciężarówek o pojemności skrzyni 8 metrów sześciennych — to musielibyśmy ich mieć, bagatelka — 210 tysięcy sztuk! Aktualnie swoich na ten cel mogę przeznaczyć 4, no i wypożyczyć do akcji zimowej, maksymalnie — do 60 samochodów. Więc nie mamy o czym mówić...

— No dobrze, ale nawet jak odgarniecie, to jezdnie są nadal bardzo śliskie, nie tylko zresztą w rejonach przystanków i skrzyżowań, bo tam tworzy się zwykle lodowisko. Za mało może sypiecie?

— To właściwie o co wam, redaktorom, chodzi? Zimą wszyscy: „Syp, Spryszyński, syp tej soli ile wiezie", a z wiosną równie liczną ekipą skoczycie mi do gardła, że niszczę środowisko, nie mówiąc o butach i samochodach?! My sypiemy jej naprawdę sporo, tyle że w temperaturach poniżej 10 stopni Celsjusza skuteczność działania tych środków chemicznych wyraźnie się zmniejsza, dłużej trwa rozpuszczenie lodu, mówię — lodu, bo sypanie w śnieg mija się w ogóle z celem. I przy takich intensywnych opadach, aby ograniczyć śliskość na przykład na skrzyżowaniach, trzeba by sypać 3—4-krotnie większą dawkę i to nie soli, a samego chlorku wapnia. A nie mamy — pomijam już sprawę ochrony środowiska — ani wystarczającej jego ilości (na 6—7 tysięcy ton środków chemicznych na sezon, zaledwie 200—300 ton to ów chlorek wapnia), ani pieniędzy na prowadzenie tego typu akcji.

— Od początku roku już wam brakuje pieniędzy?

— Na akcję zimową 1987 mamy zaplanowane 200 milionów złotych, ale ile dostaniemy? Jeszcze nie wiem.

— Czyli najbezpieczniej z domu nie wychodzić, bo wszędzie ślisko, samochodem nie wyjeżdżać, na piechotę siedzieć i o odwilży marzyć?

— Przepraszam, ale czy nam się trochę w głowach nie poprzewracało? Czy nie za dużo wymagamy od jednej firmy? Ludzie! Przecież to styczeń, środek zimy! I nie ma co porównywać naszej do tej rosyjskiej, fińskiej czy szwedzkiej; tam „trzyma" równo przez cztery miesiące, a u nas bezustanne skoki temperatury, w dzień odwilż, w nocy — mróz. Po prostu trzeba nam wszystkim więcej kultury na drodze, ostrożności, rozwagi, więcej wyobraźni, nie trzeba czekać na odwilż, bo i ona przynosi zwykle określone kłopoty...

— Ano właśnie, mieliśmy już pierwsze doświadczenia, gdy wszyscy tonęli w błocie, na chodnikach tworzyły się istne śnieżne bagna...

— Wiem, też przez nie brnąłem, ale i ja mogę się zapytać: gdzie byli dozorcy, administracje, gospodarze poszczególnych posesji? Przecież istnieje przepis konkretnie rozporządzenie Rady Ministrów z 30 września 1980 roku, które mówi wyraźnie, iż „zarządca nieruchomości MUSI oczyszczać ze śniegu, lodu, błota oraz innych zanieczyszczeń chodnik i połowę szerokości jezdni"!!!

— To arcyciekawy przepis, ale zapewne obu rąk wystarczy by wymienić wszystkich, którzy go przestrzegają...

— Oczywiście, MPO odrzuca śnieg pod krawężnik, a dozorcy...

— Zrzucają „swoją" porcję z chodnika na jezdnię, jeśli w ogóle się ockną z zimowego snu. Ale są przecież mandaty, kolegia, potrącenia premii za niewywiązywanie się z obowiązków.

— To już nie do nas należy. Wspomniał pan wcześniej o zasypanych osiedlach. Znam przypadki, gdzie nie mogło dojechać pogotowie czy straż, w zaspach utknęły wielokrotnie również nasze „bębny", wywożące śmieci. Ci, przydałyby się dziesiątki takich jak w serialu telewizyjnym Aniołów, może wówczas na osiedlu mniej byłoby powodów do narzekań.

— Ten styl pracy Anioła tak panu przypadł do gustu?

— No, powiedzmy — skuteczność metod, swawolenia w przypadku oczyszczania najbliższego otoczenia błotu. Nawiasem mówiąc, jeszcze długo zapewne nadrabiać będziemy opóźnienia w wywozie śmieci w wielu osiedlach, spowodowane ogromnymi trudnościami w dotarciu do pojemników.

— Przymarzły?

— Nie tylko. Chociaż to też kłopot, gdy ten na kółkach waży średnio 600—700 kilogramów, a napełniony popiołem — i tonę. Ale nawet jeśli dozorca daje przykład świetlany i odśnieży dojazd do pergoli czy zsypu — często zmotoryzowani są szybsi od ekip MPO, parkując w tych miejscach swe wehikuły.

— Jakie jest pańskie największe zimowe marzenie?

— Stan klęski żywiołowej.

— Ejże, wiem, że pan lubi śnieg i nawet lodu się nie lęka, ale to już chyba lekka przesada...

— Skądże, a nawet zaserwuję panu uzasadnienie. Normalnie, na co dzień, wszystkie przedsiębiorstwa, które mają pomagać MPO w czasie akcji zimowej śmieją mi się w nos. Mówiliśmy choćby o tych skrzyżowaniach... Ale oni mają swoje plany, produkcję, trzy „S". W czasie klęski co innego! Muszą dać ludzi, muszą dać sprzęt i nikt nikomu nie robi łaski.

— Wszystko na dobrej drodze, zapowiadane są dalsze opady...

— Uznajmy więc, że to był żart. Bo tak naprawdę to wystarczy, jeśli wszyscy mieć będziemy nieco więcej rozwagi i zimowej wyobraźni. Plus łyk zrozumienia dla kogoś, kto jak może tak walczy z zaspami i gołoledzią.

Rozmawiał: DARIUSZ DOROŻYŃSKI

Foto: Grzegorz Galasiński

Mówi: Stanisław Niedzielski

— Będąc małym chłopcem czy nie myślałeś, że w przyszłości zostaniesz dyrektorem?

— Nigdy.

— A czym chciałeś zostać?

— Wychowany byłem w rodzinie, gdzie istniały różne, powiedziałbym, skrajne poglądy co do mojej przyszłości: część chciała abym się poświęcił teologii, natomiast ojciec widział we mnie, jedynym swoim synu, kontynuatora jego zawodu, to znaczy pragnął, bym został wojskowym.

— Jesteś jedynakiem?

— Nie, ale byłem jedynym chłopcem w rodzinie, zarówno tej ze strony ojca, jak i tej ze strony matki. Pozostali potomkowie, to były dziewczynki.

— Czyli na tobie spoczywał niejako obowiązek kontynuowania rodu Niedzielskich...

— Tak, gdyby nie mój syn, ród Niedzielskich skończyłby się na mnie definitywnie i ostatecznie.

— Wróćmy do marzeń; każdy chłopiec o czymś marzy, planuje swoją przyszłość, jak to było z tobą?

— Przed wojną kończyło się szóstą klasę i pomijając klasę siódmą, szło się do gimnazjum i robiło się tzw. małą maturę. Kiedy jednak ukończyłem szóstą klasę — wybuchła wojna. Ale moje marzenie zostało jednak spełnione: oto otrzymałem wyśniony rower, tzw. półdentki, ślepak z dwoma hamulcami. Kto dziś jeszcze pamięta o takim rowerze?

— Niedługo nim się cieszyłeś, to prawda.

— Otrzymałem go za ukończenie szóstej klasy, ale już 1 września moja rodzina została ewakuowana i po ośmiu dniach znaleźliśmy się w Łucku. Tak więc w owych dniach i miesiącach bardziej skłaniałem się do kontynuowania tradycji zapoczątkowanej przez ojca, choć mi to szybko przeszło.

— Staram się wyobrazić sobie ciebie w sutannie...

— Och, nie, nie!

— Czyżby kult dla płci pięknej zadecydował o wyborze twojej drogi życiowej?

— W pewnym stopniu tak, ale ja jestem naturą niespokojną, bardzo czynną. Matka mówiła o mnie „żywe srebro". Więc jak można było pogodzić ową pasję czynu ze spokojem kościoła? Nie, w żadnym wypadku.

— Jesteś dyrektorem wielkiego kombinatu, największej drukarni w Łodzi. Jak tu trafiłeś?

— Swoją karierę drukarską rozpocząłem w 1940 r. od gońca. Było to w Sieradzu, bo od 1935 przenieśliśmy się wraz z pułkiem ojca do tego miasta. Tam też chodziłem do szkoły, tam zastała mnie wojna. I dlatego z Łucka powróciliśmy, już w czasie okupacji, do Sieradza, a ja chcąc uchronić się od wywiezienia na roboty do Niemiec, podjąłem pracę w drukarni. I tak to się zaczęło. Byłem gońcem, ale wkrótce koledzy — byli to naprawdę wspaniali ludzie — zaczęli mnie uczyć zawodu.

— A po wojnie?

— W styczniu 1945 r. Sieradz został wyzwolony, a ja wstąpiłem do milicji. Trwało to krótko, bo już w rok później wróciliśmy do Łodzi, a ja szybko zostałem zatrudniony w drukarni na ulicy Gdańskiej 40. Zapisałem się od razu do Państwowej Średniej Szkoły Poligraficznej i w 1948 r. — to pamiętny dla mnie rok, bo przed zjednoczeniem, wstąpiłem do PPR — jako pierwszy maszynista po wyzwoleniu otrzymałem dyplom maszynisty typograficznego. Tak oto przedstawia się mój rodowód drukarski.

— A ja sądziłem, że to twoja miłość do książek sprawiła, iż poświęciłeś życie tak ciężkiej, a jednocześnie wspaniałej pracy.

— Mógłbym odpowiedzieć, że tak było istotnie, ale byłaby to zaledwie część prawdy. Wychowałem się w domu, gdzie ważne miejsce zajmowała książka. Moja matka kochała książki, czytała je do końca swojego życia. Tę miłość wpoiła także i mnie. Pamiętam, że z matką zawsze czytaliśmy: przed wojną, potem w schronach, w Łucku przy świecach, następnie już w wolnej Polsce... Kocham książki, dużo czytam. Moje dzieci są także zżyte ze słowem drukowanym, gromadzą księgozbiory, kontynuują tradycje rodzinne.

— A czy nie boli cię serce, gdy otrzymujesz rękopis pięknej i wspaniałej książki, ale niestety, nie możesz jej pięknie wydać?

— Lat temu dwa, trzy, zgodziłbym się z tak postawionym pytaniem. Wówczas pracowaliśmy na starych maszynach. Dziś po nich nic nie pozostało. Przeszliśmy na nową technologię, offsetową, fotoskład. Zlikwidowaliśmy gorący ołów, antymon, z którego składa się czcionka drukarska, nie ma maszyn typograficznych. Do tego mam wspaniałą załogę. Dziś możemy wydać książkę pięknie, jak tylko to jest możliwe. Ale by to osiągnąć, muszę oprócz wspomnianych już maszyn, mieć coś więcej, mianowicie dobry papier, dobry karton. A ja tego nie mam.

— O czym jeszcze marzysz?

— Trudno mówić o marzeniach, kiedy się ukończyło 60 lat życia. Chociaż nie, mam coś takiego. Otóż marzę, żeby w domu było wszystko w porządku — mam na myśli sprawy zdrowotne — żebym wreszcie otrzymał upragniony przydział na samochód, bo od pół roku jestem go pozbawiony, a przecież jestem po wypadku i noga nadal nie jest zupełnie sprawna. Co jeszcze? Aha, działka, leśna działka, którą otrzymała żona i ja jestem takim robotnikiem na tej działce. Jest tam cicho, pełno ptaków, zieleni, przeto można całkowicie oderwać się od codzienności, zrelaksować się. Myślę, że wspólnymi siłami uda nam się zrealizować nasze zamierzenie i postawimy wreszcie tam domek.

— Co jest twym hobby: znaczki, ryby, domowe zwierzęta?

— Nie, nic z tych rzeczy. Ale jeśli mogę w tym przypadku użyć tego określenia, to moim hobby była i jest książka.

— Książka w ogóle, czy książka, która została pięknie wydana?

— Pasjonuję się książką traktującą o II wojnie światowej.

— A kiedy ostatni raz byłeś w księgarni i czy dyrektor Drukarni Dziełowej kupuje książki?

— W księgarni jestem bardzo często, a nie tak dawno kupiłem „Cienką, czerwoną nić" wydrukowaną w Prasowych Zakładach Graficznych w Łodzi. Jak więc widzisz nie poprosiłem o nią dyrektora tamtejszej drukarni, a po prostu ją kupiłem, bo zobaczyłem ją w księgarni. Owszem, można czasem zwrócić się do dyrektora drukarni, która akurat wypuściła na rynek czytelniczy książkę ciekawą, ale ja robię to rzadko, bowiem lubię zachodzić do księgarń, kartkować książki, zwyczajnie przebywać wśród książek.

— I nic cię w księgarniach nie dziwi?

— Ależ tak! Od dwóch lat, mimo że przeżywamy ogromne kłopoty z papierem, ukazują się książki, które nie powinny były się ukazać.

— Zgadzam się z tobą. A czy z twojej drukarni nie wychodzą tego typu pozycje wydawnicze?

— Jestem wykonawcą, a nie wydawcą. Drukuję to, co mi zostaje zlecone. Ale jestem także czytelnikiem i zastanawiam się, kto decyduje, że tyle jest bubli na ladach księgarskich.

— I tym nie optymistycznym akcentem kończymy naszą rozmowę.

Rozmawiał: EUGENIUSZ IWANICKI

Tadeusz Gicgier

Wiersze łódzkie

Amorki w parku Sienkiewicza

Kto wam przydał powagi przedwcześnie
dojrzałych
i kto wam zgasił uśmiech jak kapturem świecę?
Kto przewidział, że przyjdzie ów czas
spopielały,
co was obsypie próchnem na całe półwiecze?

Kto kazał najwyższemu fontanną się kraszać
jak strumykami smutku, gdy wkoło pogoda:
pies dopada gołębi, stado się rozprasza
ptakotryskiem dwuskrzydłym i srebrnym jak
woda.

Czy nie was nie porusza, gdy wasi rówieśni
wybiegają ze szkoły i za piłką gonią?
Ja też tak wybiegałem na początku września,
nieświadomy lat przyszłych pokalanych wojną.

Stałyście obojętne, gdy w jakiś czas potem
spotkałem tu dziewczynę jak poranek miodą:
w strugach letniego deszczu, pod płaszcza
namiotem
pocałunek wszedł we mnie jak kropelka miodu.

Tę kroplę jeszcze czuję, a wy półobecne
siedzicie wśród rencistów, co grają w warcaby.
O kamienne amorki zgrzybiałe przedwcześnie,
kto was zmienił w pokraczne, rachityczne
kraby?
1986

Ulica Krańcowa

Synowi Piotrowi

Ileś razy przekraczaliśmy
tę zieloną granicę
miasta i wsi,
gdzie w polach Starego Złotna
kasztanowce
patrzyły na nas półprzymkniętymi
oczyma swych owoców?

Na wojskowym poligonie
zabawiałeś się w wojnę,
wyłuskiwałeś z piachu łuski po pociskach,
nie mówiłem ci, bo po co,
o zielonych mundurach,
zieloni blaszani żołnierze
byli dla ciebie zwyczajnymi makietami.

Spójrz, jak tu bujnie krzewią się rozchodniki,
symbole rozchodzenia się dwóch żywiołów:
miejskiego i wiejskiego,
ale rosną też białe wełnianki,
to włókiennicze miasto
nie daje za wygraną.

Krwawniki nabiegają krwią,
jednakże tyle tylko, ile potrzeba,
płowa sierść traw
kryje przyjaźnie
skóry zające i pióra kuropatw,
na ostach — różach ugoru —
roi się od motyli i mechatych trzmieli,
nie płoszą ich myszy polne
przebiegające truchcikiem,
a miny kretowisk
są tylko niewinnymi rdzawymi wzgórkami.

Krajobraz prawie pustynny,
ożywiony wysepkami akacji i modrzewi,
ma swoją fatamorganę:
betonowe osiedle,
Retkinię.
Ociągając się, kłucząc,
musimy przecież do niego powrócić.
1986

Zdrowie

Jak to się działo,
pytam,
że widziałem tu tylko
zielone kule lip,
pierzaste strzały topól
i grzywy sosen wiatrowi poddane?

Dlaczego nie dostrzegałem
pni powalonych, gnijących,
spróchniałych gałęzi,
butwiejących konarów,
brudnych papierzysk i wszelkiego śmiecia?

Wtedy słońce
było kolorową piłką,
którą graliśmy między wyniosłymi sosnami,
a gdy piłka upadła
na śródleśną łąkę —
owady miały skrzydła barwne jak witraże.

Gdzie się zapodział
ten kościół dzieciństwa?

Tym lasem
przeszedłem z jednej strony życia na drugą,
przeleciałem nad nim łukiem półwiecza.
otworzyły się oczy zmącone
i zobaczyły
co zdziałał był czas.
A nazwa: Zdrowie
napełniła się treścią
jak probówka krwią.

Dwugłos o powieści T. Konwickiego „Nowy Świat i okolice"

Wydawca na okładce tej książki napisał, że jest to „gawęda pełna czaru i niezwykłego humoru, zaskakująca ciętą pointą i dobroduszną kpiną, z mnóstwem zabawnych anegdot, nieważne czy zawsze prawdziwych...".

Taka reklama zachęca do lektury. Po przeczytaniu stwierdziłem, że zostałem sromotnie oszukany. Humoru tu nie za wiele, dowcipu jak na lekarstwo, anegdoty zostały zastąpione nudnymi opowiastkami, zaś obiecana ironia pojawia się nieodmiennie w towarzystwie filuternego uśmieszku w momentach, kiedy autor zaczyna mówić o swoich kontaktach z władzą i cenzurą.

Kiedy w 1976 r. ukazał się „Kalendarz i klepsydra" było to swego rodzaju wydarzenie literackie. Czytało się ową książkę „jednym tchem" bo było w niej to wszystko, czego nie ma w ostatniej książce Tadeusza Konwickiego noszącej tytuł „Nowy Świat i okolice". Jeśli w „Kalendarzu i klepsydrze" Konwicki kreował siebie na pokornego prowincjusza, to czynił to z wdziękiem, z przymrużeniem oka, z pewną, powiedziałbym, galanterią. Zresztą była tam umowność, przejrzysta konwencja, artystyczny zamysł nadający książce swoisty klimat i urok. Nic z tych rzeczy w tej książce, która w zamyśle miała być kontynuacją świetnego „Kalendarza i klepsydry".

Na 232 stronicach Tadeusz Konwicki jawi się jako zagubiony człowieczek, niepozorny prostaczek, który okrutnym zrządzeniem losu i bezmyślnym splotem przypadków znalazł się wśród przerastających go okoliczności, wśród zawistnych i bezwzględnych ludzi, w trybach nieżyczliwej i strasznej władzy.

Od lat śledzę ewolucję jakiej ulegają ludzie w naszym skomplikowanym i niełatwym życiu. W młodości zazwyczaj garną się do materializmu i do władzy, bo ta ostatnia rozdaje ordery, zaszczyty i zapewnia egzystencję ponad przeciętną. Młodość lubi błyszczeć, zadawać szyku, zwracać na siebie uwagę. Kiedy lat przybywa, kiedy nadchodzi starość i kiedy od oficjalnej władzy nie można oczekiwać niczego czego się już nie dostało, następuje odwrót.

Drugie parzenie

Skończywszy lekturę czytający zaczyna się zastanawiać, czy aby naprawdę jest to ten sam Tadeusz Konwicki, który napisał „Sennik współczesny" i „Kalendarz i klepsydrę". „Nowy Świat i okolice" jest książką nudną mimo umizgów i kokietujących póz autora, mimo nienagannej stylistyki i podtekstów natury pozaliterackiej. Z kart tej książki widać coś jeszcze bardzo ważnego: starość autora. Nie tę fizyczną, ale tę psychiczną, zmęczenie intelektualne. Bardzo wyraźnie widać jak próbuje zręczną stylistyką ukryć miałkość tematyki, jak usiłuje odbyć pokutę za błędy młodości, kiedy wydeptywał korytarze i przedpokoje władzy. Teraz pracuje na zbawienie wiekuiste, na miejsce w poczcie męczenników narodowych. „Nowy Świat i okolice" jest książką nieudaną, pozycją wydawniczą, która mogłaby się wcale nie ukazać, a literatura polska przez ten fakt nie poniosłaby żadnego uszczerbku. Moda na wspominki ogarnęła ludzi piszących i dziś każdy jest przeświadczony, że jego życie było wyjątkowe, że trzeba tę wyjątkowość utrwalić drukiem. Więc sypią się, jak z rogu obfitości, różne dzienniki, pamiętniki, rejestry wspomnień, raptularze. Jednak rzadko kto zamieszcza w nich rzeczy i sprawy godne pamięci, najczęściej są to starcze ple ple.

Kokietowanie, udawanie pierwszego naiwnego, robienie z siebie dużego dziecka odkrywającego nieustannie Amerykę, prostaczka, którego wszystko dziwi, choć nic nie zachwyca — jest chwytem wyświechtanym i zgranym. Jeśli taki zabieg zaczyna być powtarzany po raz któryś, sama rzecz natychmiast traci wiarygodność i staje się co najmniej dwuznaczna.

Lapidarnie książkę „Nowy Świat i okolice" można byłoby scharakteryzować przy pomocy nomenklatury gastronomicznej. Jeśli założyć, że „Kalendarz i klepsydra" był wyśmienitym napojem, to „Nowy Świat i okolice" okazał się co najmniej drugim parzeniem. A drugie parzenie, jak wiadomo, jest zwyczajną lurą.

EUGENIUSZ IWANICKI

Tadeusz Konwicki: Nowy Świat i okolice. Czytelnik 1986. Str. 232., Cena 250 zł.

Cenzura jako doping

Z ciężkim sercem zabieram się do pisania tej nikomu niepotrzebnej recenzji. Zdarzyć się może, iż ten czy ów łaskawy czytelnik zaprotestuje, upewniając mnie — a może i siebie — że recenzje są potrzebne młodzieży, dorosłym, a nawet niedołężnym starcom. Ale ja wiem, co mówię, bo recenzje pozostają u nas nie doczytane, nie docenione, nie dopieszczone. Ale ja wiem, co mówię — bo nie bardzo wiem, jak o najnowszej książce Tadeusza Konwickiego napisać: z zachwytem? — ależ nie, boć z licznych stron zwyczajnie wieje nudą i podejrzaną gracją starzejącej się kokoty; ze złośliwym przekąsem? — nie można, jako że nie brak tu stron świetnych, a może i doskonałych. Mógłbym popróbować konwencji pastiszowej, jak w pierwszych trzech zdaniach, ale naśladować bądź parodiować wybitnego prozaika? Nie wypada.

Próbuję więc zerknąć na „Nowy Świat i okolice" sine ira et studio. To typowa literatura konfesyjna, kontynuacja „Kalendarza i klepsydry" oraz „Wschodów i zachodów księżyca", już nie tak drapieżna, zadzierzysta jak tomy poprzednie, ale co i rusz natrafiamy przecież na lwi pazur autora. Niekiedy — per procura — na pazur kota Iwana. Nie jest to ten sam Iwan, który siał wielkie spustoszenie wśród balkonowych wróbli w „Kalendarzu i klepsydrze". Postarzał się bardzo, biedaczysko. Posunął się w latach i Konwicki, i my — jego czytelnicy. Już nie tak łatwo nam wmówić, że wszystko, co jego sfatygowane pióro naniże na papier to tekst „szczerbaty, chuderlawy, bezjajski", bo pisany dla normalnego państwowego wydawnictwa. Szczerbaty — zgoda, chuderlawy — owszem, ale z nabiałem w okolicach Nowego Światu widać nie jest jeszcze najgorzej.

Konwicki — jak każdy rasowy pisarz — jest egocentrykiem i postawa ta przeziera z każdego zdania. To kliniczny wręcz przykład polskiego literata. Łatwo na nim prześledzić „wzloty, upadki, wdzięki, koślawości, bóle i olśnienia" naszej powojennej literatury. I nie tylko literatury. Pierwszym kluczem do współczesności dla autora „Nowego Światu i okolic" pozostaje niezmiennie druga wojna światowa, największa katastrofa moralna czasów nowożytnych. Kluczem drugim — poczucie schyłkowości, intensywnie odczuwany dwudziestowieczny „fin de siècle". To właściwie wszystko. Między tymi dwoma punktami widzenia — jak między okładkami — rozgrywa się nonszalancka staro-nowa gawęda o kompozycji swobodnej acz precyzyjnie zaprogramowanej, powstaje w przytomności czytelnika błyskawiczny jakiś raptularz, w którym zgromadzić można wszystko, co nadaje się na epicki budulec, byle tylko udało się upozorować przypadkowość, spontaniczność zapisu. I do końca wytrzymać czytelnika w niepewności, co prawdą jest, a co zmyśleniem.

Próbka stylu: „Żyję w rzeczywistości cienkiej jak pajęczyna. Za mną i przede mną pustka, próżnia, nicość. Żyję w rzeczywistości cienkiej jak nasza ziemska atmosfera. A gdzie poczucie humoru". Otóż z poczuciem humoru w zasadzie nie jest gorzej niż w książkach poprzednich. Tyle tylko, że humor ten stał się jakby monotonny — wisielczy zgoła. Wrażenie monotonii wynika zresztą ze znamion tej prozy: powtarzania sytuacji i ujęć, stałych nawrotów do kraju lat dziecięcych i młodzieńczych, rytmicznego wytwarzania nastroju niemożności pisania. W tym ostatnim Tadeusz Konwicki potrafi być nadzwyczaj kokieteryjny. Bo cóż to za niemożność pisania, skoro powstaje książka — jeśli nawet napisana jakby od niechcenia — która staje się literackim wydarzeniem. Daj nam, Panie Boże, taką niemożność.

Wątkiem przewodnim „Nowego Światu i okolic" staje się przewrotny, perwersyjny nawet, flirt pisarza z cenzorem. Może to i coś więcej: poszukiwanie w cenzurze narkotyku, dopingu do pisania, żeby ożywić „ledwo dychającą, słabowitą, zewsząd szykanowaną tę naszą biedną literaturę, jakże lękliwą, grzeczną i przymilną". Okazuje się jednak Konwicki małowiernym wielbicielem. Świadczyłaby o tym przynajmniej „Apostrofa do cenzora". Za to skierowany do cenzora monolog, gęsto inkrustujący tekst owego udawanego literackiego dziennika, należy do stronic najlepszych.

Skoro mowa o aktywach tej książki: główną jej zaletę upatruję w lirycznym, jednocześnie zaś ironiczno-satrycznym stylu. Często chodzi nie tyle o to, co Konwicki tu pisze, ale — jak pisze. Pisze on o błahostkach i duperelach, a jednak jest to literatura. Prawdziwa. Wysokiej próby. Oczywiście nie brak tu i dygresji ciężkich od znaczeń. Tadeusz Konwicki pisze ciągle tę samą — jedną jedyną — księgę o niestabilności ludzkiej egzystencji, zarówno w wymiarze jednostkowym jak i społecznym, o bezwładzie, o starzeniu się. Deformuje i wyjaskrawia, kpi i rozpacza. Zmienia nastroje: od obsesji katastroficznych przechodzi do małych radości dnia codziennego, by znów popaść w przeróżne lęki i szydercze poczucie wyobcowania. Owe wahania to niejako siła napędowa tej prozy: „Zdrowy rozsądek jest często szkodliwy, ale i obłęd nie przyniesie ratunku... Lecz przecież trzeba żyć, bo nie ma innego wyjścia". Cóż dodać, cóż ująć?

TADEUSZ BŁAŻEJEWSKI

Tadeusz Konwicki: „Nowy Świat i okolice", Czytelnik, Warszawa 1986, s. 232, nakład 30 320 egz., cena zł 250.—

Bigos hultajski

Mieszanka firmowa literacko — obyczajowa

WIERSZE MOGĄ BYĆ RÓŻNEJ MIARY

Przy pierwszej wizycie Adama (Mickiewicza) u pp. Ankwiczów hrabina przedstawiła poetę obecnym już u niej paniom.

— Czy to ten co wiersze pisze? — poszeptała jej do ucha jedna z modnych pań.

— Tak, to nasz wielki poeta — odszepnęła hrabina.

— Słyszałam jak chwalono wiersze pańskie — zagadnęła obracając się do Adama. — A czy pan wiele ich napisał?

— *Wiele i niewiele, jak dla kogo* — rzekł Adam.

— A czy one długie, te wiersze?

— *Są na wszystkie miary, i takie króciutkie, i takie, i takie, a nawet takie!* — Mówiąc to, dla lepszego określenia rzeczy, lewą ręką znaczył miarę na prawej, od palca do końca pięści, od łokcia aż po ramię.

„Biblioteka Warszawska" 1871 t. I

PRZEWROTNY WIERSZ

Wierszyk „Do Elżuni dziś w dniu jej imienin" pióra niejakiego L. (Ludwika Dmuszewskiego?) ogłosił „Kurier Warszawski" 19 XI 1826 r.:

Życzę, by wszystkie nasze kobiety
Miały zalety
Naszej Elżbiety!
Jej skromność, gościnność,
Jej talenta, dobroczynność.
Tych bowiem przymiotów jest ona obrazem.
Ale życzę razem,
Aby biorąc z cnót przykłady
Poznały Elżuni wady.
Bywają czasy,
Że miewa grymasy,
Nawet spazmy miewa
Niesprawiedliwie, gdy się rozgniewa.
Choć młoda, przecież jak stare dewotki
Lubi plotki,
I czego przy dobrym sercu poprawić się można,
Co daj Boże!

W dwa dni później dotknięta do żywego tym wierszykiem Elżunia, lub ktoś w jej imieniu (bo podpisał się literką B), zamieścił w „Kurierze" następującą „Odpowiedź na wiersz do Elżuni":

Mój panie autorze drogi,
Słuchaj, proszę, z mojej strony,
Gdym przyjęła twe przestrogi,
Kilka słów dla mej obrony:
Kto tak zdrowe daje rady,
Kto nikczemność plotek czuje,
Chcąc uleczyć mnie z tej wady,
Niechaj ich nie rozgaduje.

PŁUG PAROWY

Niedawno umarł na Podolu Jędrzej Szumiański, ostatni może w Polsce łgarz — poeta — tegoczesny Radziwiłł. Między innymi opowiadał, że ma ogromny proces z powodu pługa parowego, który sam z Anglii przywiózł.

— *Doskonały* — mówił — *w jednym dniu zorał mi trzysta morgów, ale na noc zamknięto go w wozowni. Cóż się stało? — pług wrota wyłamał, hejże w pole! Jak zacznie orać i siać, aż wpadł na grunta sąsiedzkie, a co gorzej, wszystkie kopce graniczne porozorywał. Stąd proces.*

Aleksander Fredro. Trzy po trzy. Warszawa 1957.

POMYŁKA

(Franz Maria Thugut, dyplomata austriacki) będąc posłem w Warszawie, gdy przybył na pierwszą audiencję do Stanisława Augusta, udał się wprost czy z umysłu, czy z pomyłki do Stackelberga, który będąc posłem tylko moskiewskim, nadużywał słabości króla i w każdym miejscu mu imponował. Szambelan, mistrz ceremonii, przerażony tym wypadkiem, wskazał Thugutowi króla i odbyła się audiencja.

Tego samego wieczora robił Thugut partię w karty z królem i Stackelbergiem. Wśród gry Thugut zadaje waleta i mówi: — Król! — Stanisław August przypatruje się karcie i robi Thuguta uważnym, że się myli, że to nie król, ale walet.

— *Ach, Najjaśniejszy Panie!* — odrzekł Thugut — *jakże ja dziś jestem niezręczny! Wszak to już dziś drugi raz biorę waleta za króla!*

Anegdotę tę zapisał gen. Józef Załuski w swoich „Wspomnieniach" (Kraków 1976). Antoni Magier w „Estetyce miasta stołecznego Warszawy" (Wrocław 1963) autorstwo jej przypisuje Huiltesowi (właściwie De Hailesowi), ministrowi pełnomocnemu Anglii w Polsce w latach 1789—1792, zaś bohaterem qui pro quo czyni gen. Ogińskiego „okrytego gęsto znakami honorowymi", którego mieszkaniec Albionu wziął za króla Stanisława Augusta.

HIC MULIER

Hetmanowa Ogińska (...) była nadzwyczaj silną i talerze srebrne w trąbkę zwijała. Mąż jej był niskiego wzrostu i kiedy w stronnictwach, jakie Polską miotały, będąc w Gdańsku opierał się woli swej małżonki (...), ta porwawszy go za pas w oknie drugiego piętra wywiesiła i trzymała tak zawieszonego póty, póki jej nie przysiągł, że się do jej woli zastosuje.

Opracował:
ANDRZEJ KEMPA

O zaletach pantomimy relacja z dygresjami

Kiedy zdążałem szparko do Teatru Miejskiego w Sieradzu na I Przegląd Amatorskich Teatrów Ruchu i Pantomimy „Vivariada" pod tym szacownym skądinąd gmachem (dawniej była tu ujeżdżalnia koni) trzy dziewczyny wykonywały z zapałem taniec ludowy w stylu słupsko-podhalańskim. Był to wygłup radosny i nie pozbawiony wdzięku. Jak się miałem wkrótce przekonać, była to także najautentyczniejsza, bo szczera i zupełnie bezinteresowna manifestacja artystyczna spośród wszystkich, jakie przez dwa dni dane mi było obejrzeć...

Dygresja I: Jest rzeczą kierownictwa redakcji posyłać dziennikarza gdzie się kierownictwu żywnie podoba — jednak zaznaczyć muszę, że człowieka o tak ograniczonej wrażliwości na sztukę w ogóle, a na jej formy nieliterackie szczególnie, jak niżej podpisany, nie powinno się posyłać na takie imprezy.

Jak się z niejakim smutkiem przekonałem ostatniego dnia Przeglądu, wszystkie nagrodzone spektakle pokazywane były przed moim przyjazdem. Jest to mankament niniejszego tekstu a jednocześnie jego walor: obejrzałem szarzyznę, codzienność i przeciętność pantomimy amatorskiej — nie poznałem jej wierzchołka i nie o nim ten tekst traktuje!

A przeciętność i szarość zespołów pantomimicznych daje się sklasyfikować w dwóch podgatunkach: pierwszy to pantomima narracyjna, fabularna. Powstaje według prostej recepty — bierze się tekst literacki, znany i uważany za bezsporne dzieło. Następnie odgrywa go się, ze skrótami oczywiście, najlepiej, jak się potrafi. A że potrafi się na ogół niewiele... Rodzaj drugi, jakby bardziej w cenie wśród amatorów-wykonawców, polega na takim operowaniu ciałami mimów, muzyką i kompozycją całości, żeby w umysłach odbiorców powstały jakieś, mgliste dosyć, skojarzenia estetyczne i (co najważniejsze!) filozoficzne. Najchętniej z gatunku eschatologicznych, ponurych lub wręcz masochistycznie cierpiętniczych.

Spośród spektakli, jakie dane mi było oglądać, podgatunek pierwszy uprawiały zespoły: Teatru Ruchu „Inazuma" ze Świebodzic i Scena Pantomimy „Eskimo" z Łodzi. Ambitniejszy (?) podgatunek drugi: Teatr Wizji i Ruchu z Tarnobrzega, Międzyszkolna Grupa Teatralna z Łomży i Teatr Prawdziwy z Bielawy.

Zatem po kolei. Teatr „Inazuma" — którego nazwa kojarzy się z wodzem Indian Montezumą albo np. z Matuzalemem, a co naprawdę znaczy — Bóg raczy wiedzieć, dał spektakl pt. „Droga" według „Małego Księcia" Saint-Exupéry'ego.

Dygresja II: Spośród trzech „czołowych" dzieł literatury dziecięcej, które zdobyły sobie markę wspaniałych książek dla dorosłych, tylko „Kubuś Puchatek" jest rzeczywiście do czytania. „Małego Księcia" przeczytałem przed laty, ale jakoś nigdy nie przyszło mi do głowy sięgnąć po niego powtórnie. „Alicję w krainie czarów" uważam za rzecz straszliwie nudną... A znam mnóstwo ludzi, którzy dosłownie żyć nie mogą bez okresowego odświeżania w pamięci wymienionych dzieł. Ich sprawa.

„Mały Książę" robi za klasyka, rzecz powszechnie lubianą i wysoce artystyczną. Wybór tego pierwowzoru literackiego miał zespołowi załatwić sukces. Do tego doszła niezła muzyka i cały cyrk kostiumowo-rekwizytorniany. Młodzi mimowie niewiele już mieli do zrobienia. I też niewiele zrobili. Odegrali kilka scenek, zmuszając widza (tj. mnie) do zastanowienia się nad następującym problemem: Czy warto było angażować tylu ludzi, sprzęt itp. do tego tylko, żeby opowiedzieć historię, którą najwygodniej i z takim samym pożytkiem można było po prostu głośno przeczytać? A może — wbrew pozorom — łatwiej było to „odegrać"?

Dygresja III: Opinia, mówiąca o tym, że mim to taki aktor, który ma kłopoty z zapamiętaniem roli i dykcją, jest — w odniesieniu do profesjonalistów — złośliwym uproszczeniem i krzywdzącym pomówieniem. Czy jednak jest równie niesłuszna w stosunku do amatora?

W podgatunku „narracyjnym" wystąpił także łódzki zespół pod patronatem „Eskimo". Patronatem organizacyjno-finansowym, bo patronat artystyczny był nieporównanie wyższej rangi: scenariusz spektaklu „Cyrograf" powstał na podstawie „Boskiej Komedii" Dantego!

W odróżnieniu od swych młodszych kolegów ze Świebodzic, łodzianie dali spektakl o klasę wyższy, jeśli idzie o warsztatową sprawność wykonawców, zborną reżyserię, przejrzystą narrację i tzw. „ogólny wydźwięk". Jako jedyni spośród obejrzanych przeze mnie zespołów nie bali się scenek humorystycznych, które przecież o niebo trudniej odegrać niż czarną rozpacz i ból istnienia... No, ale z Dantem miało to niewiele wspólnego, co z całą otwartością realizatorom trzeba powiedzieć!

W celach najprawdopodobniej oszczędnościowych scenografię zamówiono u zakładowego plastyka, na co dzień parającego się produkcją plansz propagandowych, reklamowych: plansza z napisem „Ziemia" żywo przypominała reklamę PSS „Społem" (tęcza!) a znów plansza „Czyściec" mogłaby być ozdobiona jakimś uniwersalnym hasłem politycznym typu „Silni, zwarci, gotowi".

Przejdźmy do następnego podgatunku. Reprezentował go z dobrym skutkiem spektakl pt. „Kroki w czasie" w wykonaniu zespołu z Tarnobrzega. Co się działo na scenie, tego zrelacjonować nie potrafię: był to może obrzęd pogańskiej religii, a może tylko spotkanie paru sympatycznych młodych ludzi, którzy prowadzili ze sobą pantomimiczne dialogi. W sumie było to ciepłe, zwłaszcza w finale, kiedy młodzi aktorzy rozdawali wśród widzów zapalone świeczki. Znak pojednania czy zbliżenia międzyludzkiego...

Równie oszczędny był spektakl uczniów z Łomży, ale wymykał się z rąk reżyserowi, robił się na scenie bałagan. Nie będę pisał o tym spektaklu, podobnie jak o występie harcerzy z Barda Śląskiego — dzieciaków z pierwszych klas podstawówki. Nie mam bowiem zwyczaju znęcać się nad dziećmi, zwłaszcza nad takimi, które chcą dobrze...

Dygresja IV: W ocenie amatorskiej sztuki nie można używać innych kryteriów, niż w ocenie produkcji profesjonalistów. Wiem, że jest to krzywdzące dla amatorów. Ale jakież mogą być dla nich inne kryteria? Że chcą dobrze, ale im nie wychodzi. Że wprawdzie nie umieją, ale przecież nie muszą umieć? Publiczność jest bezlitosna. Czy krytyk, który też jest publicznością i ją reprezentuje, ma być bardziej wyrozumiały?

Najwięcej złośliwej radości dostarczyli mi mimowie z Bielawy i ich spektakl pod tytułem „Przenikanie". W ponurej scenerii — głównie czerń — dwaj półnadzy aktorzy cierpieli straszliwie. Jak Prometeusz, a ściślej dwóch Prometeuszy. Potem zjawiła się jeszcze dziewczyna (też w czerni) i mim w białej koszuli. Cierpieli strasznie nadal we czworo, w międzyczasie jeszcze bijąc się między sobą i dość obcesowo traktując dziewczynę. Kiedy już umęczyli doszczętnie siebie i widownię padło ze sceny kilka słów. Taki, pseudopoetycki i pseudofilozoficzny „myśl". Eschatologia, weltschmertz, „mgła i galareta". Spora część spektaklu toczyła się w zupełnych ciemnościach, trochę także w ciemnościach ledwo rozświetlonych...

Dygresja V: Ciemność jest w teatrze taką samą kategorią estetyczną jak światło. Jednak, w odróżnieniu od światła, nie wolno nią szafować zbyt szczodrze. Chyba, że w konwencji zabawnej „Czarnej komedii", przed laty bardzo w Polsce „frekwentowanej". Nadmiar ciemności w pantomimie prowadzi do absurdu: teatr głuchoniemych staje się jeszcze teatrem ociemniałych...

Do podgatunku drugiego zaliczam (choć niechętnie) również występ warszawskiej „Stodoły". Tytuł spektaklu „Struktury przestrzenne" jest adekwatny do tego, co młodzi artyści pokazali: żadnej fabuły, żadnych filozoficznych podtekstów, żadnych szalbierczych numerów, prezentowanych przez „Teatr Prawdziwy" z Bielawy, w rodzaju brzozowych krzyży wokół sceny. Jeśli to jest „teatr prawdziwy", to ja wolę nieprawdziwy...

„Stodoła" winna uprzytomnić innym zespołom i realizatorom, że pantomima jest sztuką par excellence plastyczną: film ze spektaklu warszawskich studentów można oglądać kadr po kadrze. Każdy będzie co najmniej interesujący. Nadrzędną zasadą tego spektaklu był pewien porządek estetyczny na scenie, kompozycja plastyczna z ciał aktorów. Tylko tyle. Aż tyle...

Dygresja VI, ostatnia i najbardziej złośliwa: Im mniejszy, bardziej odległy od centrów kultury ośrodek reprezentują artyści amatorzy, tym „ambitniejszy" program. Nic po prostu, nic zwyczajnie. Tylko patos, zadęcia i wszechświatowy szum. Żadna tam polska prowincja, skądże, wszystko na linii New York, London, Paris, Leningrad!

„Stodoła" nagrody nie dostała. Jury, pod przewodnictwem Ireny Małeckiej z Lublina przyznało pierwszą nagrodę zespołowi z Lublina, drugą gospodarzom („Vivarium" z Sieradza), trzecią amatorom ze Szczytna.

Publiczność „Vivariady" stanowili niemal wyłącznie uczestnicy przeglądu. Nawet notabli na otwarciu nie było. Sieradzanie mieli nieporównanie większą atrakcję: na rynku odbywał się kiermasz! Kramiki z wszelkim chłamem, muzyczka z głośnika, pan konferansjer mówiący po polsku jak stuprocentowy cudzoziemiec. A jednak pantomima ma swoje zalety!

ANDRZEJ KAROL

Kronika kulturalna

PREZYDENT Łodzi Jarosław Pietrzyk przyjął 8 stycznia br. członków rodziny **Artura Rubinsteina**, którzy przebywają w naszym mieście w związku ze stuleciem urodzin wielkiego pianisty.

John Rubinstein otrzymał z rąk prezydenta medal 550-lecia Łodzi.

W ROCZNICĘ wyzwolenia naszego miasta odbędzie się premiera filmu „Płyń moja Łodzi", zrealizowanego w łódzkiej Wytwórni Filmów Oświatowych.

Jest to pierwszy pełnometrażowy obraz przedstawiający dzieje grodu nad Łódką od czasów najdawniejszych, aż po dzień dzisiejszy.

Jego reżyser, **Edward Pałczyński**, wykorzystał w trakcie realizacji cenne i nieznane materiały archiwalne.

5 STYCZNIA br. w kinie „Tatry" odbył się pokaz filmów krótkometrażowych **Antoniego Orwińskiego.**

Ma on w swym 35-letnim dorobku twórczym, jako autor lub współautor, ponad 100 obrazów. Od roku 1952 pracuje w Wytwórni Filmów Oświatowych w Łodzi.

Ostatnio zrealizował między innymi film o budowie Szpitala Pomnika Centrum Zdrowia Matki Polki („Szpital sercem budowany").

JUBILEUSZ Teatru Wielkiego, który 19 stycznia obchodzić będzie 20-lecie działalności artystycznej, poprzedzony został w minioną sobotę premierą dramatu muzycznego Modesta Musorgskiego „Borys Godunow".

Przedstawienie, będące jednym z najambitniejszych przedsięwzięć repertuarowych łódzkiej sceny operowej, reżyserował **Eugeniusz Korin.** Od strony muzycznej przygotował **Tadeusz Kozłowski.** Oprawę scenograficzną zaprojektował **Wiesław Olko,** kostiumy — **Irena Biegańska.** Choreografia — **Ewy Wycichowskiej.**

Występuje plejada czołowych aktorów Teatru Wielkiego.

JERZY HUTEK, dotychczasowy reżyser Teatru im. Stefana Jaracza, objął z początkiem stycznia br. dyrekcję **Teatru Nowego w Łodzi.**

Jest on od długiego czasu związany z życiem kulturalnym naszego miasta.

Łódzcy widzowie mogli oglądać w inscenizacji i reżyserii J. Hutka między innymi tak głośne przedstawienia, jak „Cesarz" Ryszarda Kapuścińskiego i „Kamień na kamieniu" Wiesława Myśliwskiego.

Nowemu dyrektorowi życzymy wielu dalszych sukcesów artystycznych.

31 GRUDNIA 1986 r. w Dużej Sali **Teatru Nowego** odbyło się setne przedstawienie bajki **Kornela Makuszyńskiego** pt. „**Przyjaciel wesołego diabła**".

Spektakl ten cieszy się niezmiennym zainteresowaniem wśród najmłodszych widzów.

W GRUDNIU ubiegłego roku **Muzeum Sztuki w Łodzi** wraz z **Towarzystwem Livrest** zorganizowało wystawę „**Współczesna książka francuska z zakresu sztuki i estetyki**".

Dzięki życzliwości Towarzystwa Livrest — po jej zakończeniu — cenne eksponaty wzbogaciły zbiory łódzkiego muzeum.

Odmiany miłości

To prawda, że wątek miłosny przewija się przez literaturę piękną tak często, iż chyba każdy z rodzajów miłości i każde z miłosnych napięć znalazły swoje odbicie w dziesiątkach i setkach utworów poetyckich, prozatorskich, scenicznych we wszystkich bodajże epokach i kulturach aż po dzień dzisiejszy. O miłości można bowiem nieskończenie.

Ale prawda też, że nie tak mów często owo niekiedy wzniosłe (a nie każdemu dostępne) uczucie wypełnia sobą całe ludzkie życie czy też całą materię literackiego dzieła. Tak właśnie dzieje się w sztuce radzieckiego dramaturga średniego pokolenia, Semena Złotnikowa, której sam tytuł już sugeruje bezwzględną dominację spraw Erosa, a jednocześnie pewną jakby „zwyczajność" tematu, jakby jeszcze jeden wariant sytuacji typowej.

Przychodzi bowiem w odwiedziny do samotnie mieszkającej kobiety, w wieku trochę nieokreślonym, zapowiedziany i rekomendowany przez wspólnych znajomych mężczyzna „do wzięcia". Wstępne, „zdalnie sterowane" swaty już się odbyły, a teraz oboje muszą się poznać i wziąć swój los w swoje ręce. Ludzie, jakich wielu, o których dowiadujemy się w toku akcji tylko tyle, ile niezbędne dla rozwoju dramatycznej intrygi.

Na istotę dramatycznego napięcia pomiędzy tymi dwojgiem samotnych wpływa decydująco całkowita odmienność postaw obojga postaci. Wprawdzie oboje są świadomi sztuczności sytuacji i psychicznych barier, jakie ona między nimi wznosi, gdyż (jak się domyślamy) oczekiwali tego poznania się z nadzieją, że partner okaże się wart dalszych zachodów, a także z obawą — czy nie wypadnie się wobec niego niekorzystnie, poniżej swoich możliwości, każde jednak z nich, zanim się dziś spotkali, zaczerpnęło inne życiowe wskazówki z zaznanych dotychczas niepowodzeń miłosnych, z rozbicia poprzednich związków.

Ona zdaje sobie sprawę, że do tej nowej szansy (może już ostatniej) nie wolno jej odnosić się biernie, że jedno niepatrzne słowo, błędny gest może zniechęcić partnera, spłoszyć go, zniweczyć rodzące się zainteresowanie, toteż Dina przejmuje od początku postawę aktywną, próbuje sterować sytuacją za siebie i za niego. On bowiem, po męsku wygodny i asekurancki, niesklonny jest brać na siebie ciężaru odpowiedzialności za rozwój sytuacji i ewentualne decyzje, gotów jest w każdej chwili do rejterady. Owszem, coraz silniej pragnie dać się wciągnąć w ten związek, ale inicjatywę pozostawia raczej partnerce, żeby w razie czego móc powiedzieć: „Jestem jaki jestem, sama mnie takiego chciałaś".

I myślę, że to, co w tej sztuce stanowi otoczkę komediową bierze się przede wszystkim z tych męskich wybiegów i zagrywek, a za sukces autora tej sztuki, obfitującej w zabawne momenty i dowcipne utarczki słowne, uznałbym właśnie umiejętność przedstawienia niebagatelnej problematyki z dużą psychologiczną wnikliwością przy żywej akcji i wartkim dialogu. Zdarzały się wprawdzie zbędne powtórzenia tych samych kwestii, ale można je było nieco przykrócić.

Przedstawienie premierowe podobało się publiczności i można sądzić, iż sztuka utrzyma się dłużej na scenie, jako że miłosne perypetie (potraktowane z ironicznym dystansem) mogą zwykle liczyć na oddźwięk. Oboje wykonawcy zresztą MIROSŁAWA MARCHELUK i PIOTR KRUKOWSKI trafiali z reguły we właściwy ton, co, wydaje mi się, było trudniejsze w bardziej skomplikowanej roli kobiecej.

Ostatecznie, proszę państwa, sytuacja rozwinie się po myśli Diny, której chyba bardziej zależy na życiu we dwoje, ale nie zazdrośćmy jej tego sukcesu. To raczej Wiktor, niby taki prostoduszny, potrafi zdyskontować swoją pozycję i na pewno wyjdzie na swoje.

JERZY KWIECIŃSKI

Semen Złotnikow: „Przyszedł mężczyzna do kobiety". Sztuka w dwóch częściach, w przekładzie Andrzeja Wanata. Reżyseria — Jan Bratkowski, scenografia — Krzysztof Pankiewicz. Prapremiera polska 4 grudnia 1986 roku w Teatrze Nowym w Łodzi.

Foto: Andrzej Brustman

Na zdjęciu: Mirosława Marcheluk i Piotr Krukowski

Pozostały po nim książki

W środę, 31 grudnia zmarł OLGIERD TERLECKI, wiadomość o jego śmierci wzbudziła we mnie żal, nagle, zwyczajnie, po prostu zrobiło mi się smutno i jakby trochę głupio. Oto odszedł ten, który zawsze uderzał z przytupem, jak szermierz rozdzierającym krzykiem omajmiający celne trafienie.

Kilkakrotnie byłem zmuszony z nim polemizować i równie jak On, żarliwie i bezceremonialnie broniłem swego, kilka moich replik utonęło jednak w redakcyjnych szufladach i teraz odczuwam z tego powodu niedosyt i żal, bo nagle zabrakło tego, do którego były skierowane, stały się jak list bez adresu.

„Życie Literackie" zaczynam czytać rutynowo od Olgierda Terleckiego i Grenia, o ile jednak Greń jest mi bliski przez to, co pisze o teatrze, o tyle Olgierda Terleckiego czytałem ze zgoła innych powodów. Podziwiałem Go za sposób, w jaki swoją wiedzę o najnowszej historii Polski upowszechniał, jakże często idąc pod prąd.

Ale nie tylko Go podziwiałem, byłem mu przede wszystkim wdzięczny za recenzję, którą powitał mój prozatorski debiut, książkę „Jak zostać generałem". Parę lat potem, po ukończeniu pracy nad „Ostatnim lotem Rudolfa Hessa" zwróciłem się właśnie do Niego z prośbą o krytyczną ocenę mojej sztuki. Na wyznaczone spotkanie w klubie dziennikarzy w Krakowie szedłem pełen wewnętrznego niepokoju. Czekał już na mnie, siedział przy małym stoliku, na uboczu, jakby odgrodzony ścianą ciszy od gwaru, który panował w lokalu. Przywitał mnie bez specjalnego zaciekawienia, ja natomiast nie mogłem ukryć zdziwienia, taki bowiem wydał mi się kruchy, niepozorny, taki niepodobny do tego, którego znałem z czytania. Mówił mało, uwagi o sztuce miał spisane na karteczce, odczytał je przy mnie i tylko nieznacznie rozwinął. Pożegnał mnie słowami „będzie pan miał kłopoty, nie boi się pan", a widząc moje zdziwienie szybko dodał: „życzę powodzenia".

Kiedy po ośmiu latach od tamtego spotkania sztuka ukazała się drukiem, z wyrazami wdzięczności przesłałem mu autorski egzemplarz, bez cienia urazy za ostrą wymianę zdań.

Nie zgadzam się z wieloma jego ocenami, ale z głębokim szacunkiem odnoszę się do dzieła jego życia, do dwóch pozycji sztandarowych: do „Generała Sikorskiego" i „Pułkownika Becka", książek które są ukoronowaniem jego wieloletnich badań, dociekań żmudnej pracy, godnej najwyższego uznania wytrwałości.

Podziwiam Go jeszcze i za upór, konsekwencję z jaką zmierzał do celu, żarliwość z jaką bronił swego zdania, swoich ocen. Wytrwać przy Sikorskim przez tyle lat, pobielić Becka, przy tak niesprzyjającej aurze, oddać czytelnikom dorobek swego życia prawie bez skreśleń, oto zwycięstwo, godne zazdrości zwycięstwo pisarza i publicysty.

Jaka szkoda, że już Go nie ma wśród nas.

KAROL OBIDNIAK

Polemiki • Listy • Opinie

Na kolumnie „Polemiki, listy, opinie" publikujemy tylko listy podpisane imieniem i nazwiskiem, z podaniem adresu. Adres i nazwisko na życzenie zainteresowanego zatrzymujemy do wiadomości redakcji. Zastrzegamy sobie możliwość skrótów.

PRZYKRA SPRAWA Z REPORTAŻEM „INNI..."

W numerze 1500 z 1986 roku ukazał się na stronie 5. reportaż Dariusza Dorożyńskiego „Inni...", w którym — z przyczyn dziś trudnych do ustalenia — wypadł kawałek tekstu, co całkowicie zmieniło nie tylko zakończenie reportażu, ale bez czyjejkolwiek woli słowa doktora Krzysztofa Kuli zostały przypisane doktorowi Cezaremu Peszyńskiemu. Aby uniknąć dalszych nieporozumień, jak też bezzasadnych podejrzeń, że było to celowym zamierzeniem kogokolwiek, zdecydowaliśmy się opublikować odtworzony pełny tekst zakończenia reportażu Dariusza Dorożyńskiego „Inni...".

Przepraszamy niniejszym bohaterów reportażu, doktorów Cezarego Peszyńskiego-Drewsa i Krzysztofa Kulę oraz Czytelników za błąd wynikły z winy redakcji.

Poniżej publikujemy zakończenie wspomnianego reportażu w takiej wersji, w jakiej powinien był się ukazać.

REDAKCJA

Ile można dowiedzieć się od rozmówcy, który pędzi korytarzem na kilkadziesiąt metrów długim w kierunku sali operacyjnej, czasu ma tyle, ile na ten spacer potrzeba, a myśli krążą już między lancetem a polem operacyjnym? Doktor Cezary Peszyński-Drews jako jeden z pierwszych operował transseksualistów. Dziś kolejna porcja zabiegów. Drzwi sali zbliżają się nieuchronnie, dalej już dla mnie wstęp wzbroniony, więc próbuję choć kilka zdań „wycisnąć" z młodego chirurga. Pytam o pierwsze operacje, pierwsze wrażenia; chcę się dowiedzieć, czy nie miał żadnych wewnętrznych obiekcji przystępując do tak niecodziennych i skomplikowanych zabiegów.

— Obiekcje? Jakiego typu? Faktem jest, że pierwsze zetknięcie z tymi problemami dla mnie, chirurga z dwudziestoletnią bez mała praktyką było jednak pewnym zaskoczeniem. Ale wszelkie wątpliwości rozstrzygnął jednoznacznie doktor Krzysztof Kula, androlog, którego wieloletnie dokonania predestynują do zaliczenia w poczet specjalistów klasy światowej. Transseksualizm jest taką samą wadą rozwojową jak każda inna, choćby rozszczep wargi, czy wrodzony brak małżowiny usznej. I trzeba tę wadę naprawić, usunąć, by przywrócić pacjentowi równowagę psychiczną.

— Chirurgia plastyczna to bardzo wszechstronna, a jednocześnie — takie odnoszę wrażenie — chyba mało znana „dyscyplina" medyczna?

— Prawda, a jest to przecież jedyna specjalność zajmująca się całym człowiekiem, bez dzielenia go na narządy i organy, bez wyróżniania granicy wieku pacjenta, operujemy także niemowlęta. Ale chirurgia plastyczna, wyrastająca na pograniczu wszystkich specjalności zabiegowych ma jednocześnie najpełniejszy związek z psychiatrią, ponieważ cierpienia psychiczne są zawsze wynikiem fizycznych przypadłości naszych pacjentów. Ale niestety, musimy się już rozstać, czekają tam na mnie...

Urywa niemal w połowie zdania, pospiesznie ściska mi dłoń i — znika za białymi drzwiami. Zaraz też zapala się nad nimi czerwona lampka — znak, że wejście wzbronione, że trwają przygotowania do kolejnej operacji. Ja zaś wiem, że dla możliwie najpełniejszego spojrzenia brakuje mi jeszcze jednej rozmowy. Rozmowy w Instytucie Endokrynologii Akademii Medycznej w Łodzi.

— Wywiad? Ze mną? — doktor **Krzysztof Kula**, szef pracowni andrologii minę ma szczerze zdziwioną i ubawioną jednocześnie. *— A właściwie dlaczego nie? To będzie już mój drugi wywiad w życiu...*

— A gdzie ukazał się ten pierwszy?

— Gdzie? W „Quicku", ponad dwa lata temu....

Rozmawiamy najpierw o sprawach tylko marginalnie związanych z tak zwanym meritum, ale już wiem, że mógłbym tu z przyjemnością przesiedzieć i parę dni. Temat fascynujący, a mój rozmówca jest bez wątpienia wybitnym specjalistą, o rozległych horyzontach, wspaniałym erudytą i gawędziarzem, człowiekiem o dużej kulturze osobistej.

— Nie takie to proste, jak się być może panu wydaje, temat na kilka jeśli nie kilkanaście książek i to dość opasłych. Ale skoro już pan zabrnął tak daleko, to spróbujmy choć kilka podstawowych spraw usystematyzować.

Rodzaj zaburzeń cielesno-płciowych, o których, jak słyszę, chce pan napisać, w tym przypadku oznacza niezgodność między gonadą (inaczej — gruczoł rozrodczy) a budową ciała; na przykład gonada — męska, a budowa ciała — żeńska. Znany problem od wieków, ale strasznie skomplikowany. Jednym z inicjatorów tego leczenia był nieżyjący już profesor Tadeusz Pawlikowski. Proces, o którym mówimy, ma miejsce już we wczesnych fazach życia zarodka i polega — najogólniej rzecz ujmując — na tym, że nie następuje „umężczyźnienie" pierwotnie żeńskiego płodu. Ale musiało minąć wiele lat, nim przyczyniliśmy się do znalezienia wspólnych zaburzeń hormonalnych u ludzi niewłaściwie uformowanych pod względem budowy płciowej i ludzi niewłaściwie uformowanych pod względem psychoorientacji płciowej.

Często wystarcza zmiana metryki i już ludzie ci będą się lepiej czuli w swojej roli płciowej. Dotyczy to choćby pacjentów starszych wiekiem, którzy już się w życiu zaadaptowali a zaburzenie nie jest bardzo głębokie. Wykluczyć trzeba także przypadki transwestycyzmu, który należy do grupy zaburzeń seksualnych, a nie zaburzeń różnicowania płciowego mózgu. Transwestyci akceptują swoją płeć, a charakterystyczne przebieranie się jedynie wzmaga radość związaną z aktem płciowym...

Oprócz wizyt u psychologa, seksuologa, wszyscy potencjalni pacjenci przechodzą skomplikowane badania. Niezbędna jest między innymi wizyta u lekarza zajmującego się relacjami między czynnością hormonalną a czynnością centralnego układu nerwowego. Ale czeka nas jeszcze szalona praca, przed nami wiele niewiadomych. Jak wcześnie można rozpoznać zaburzenia psychoorientacji płciowej? Czy lekarz pediatra byłby uprawniony do takiego rozpoznania? Czy rzeczywiście ta psychoorientacja kształtuje się do trzeciego roku życia i później jest nieodwracalna?

Pytania można by mnożyć, wiele z nich ma zresztą znacznie głębszą treść, to już są problemy egzystencjalne.

Jak ujawnia się nasza ekspresja płciowa, do jakiego stopnia możemy nią kierować? Kiedy na przykład nadmierna agresja jest wynikiem jedynie nadmiernego „masculinity"?

Dlaczego ja jestem dziewczyną? Dlaczego ja jestem chłopakiem?...

DARIUSZ DOROŻYŃSKI

„PROCHY I MARMURY"

W numerze 49 z 6.12.1986 r. wydrukowano list ks. Mieczysława J. Cieślara z parafii ewangelickiej w Pabianicach mający stanowić odpowiedź na mój artykuł pt. „Prochy i marmury", który traktował o tamtejszym cmentarzu tego wyznania. Z pewnym opóźnieniem, wynikłym z przyczyn niezależnych ode mnie, chciałbym się ustosunkować do treści listu.

Przede wszystkim ks. M. J. Cieślar odżegnuje się od autorstwa cytowanej przeze mnie krytycznej wypowiedzi o skuteczności pracy organów ścigania w odniesieniu do ochrony cmentarza. Niemniej chciałbym zwrócić uwagę na wymowę faktów. Po pierwsze — faktem jest, że cmentarz został w dużej mierze zdewastowany. Po drugie — nikt nigdy nie był z tego powodu niepokojony, jak zgodnie twierdzą przedstawiciele pabianickiej prokuratury i sądu. Albo więc księża kolejno kierujący parafią ewangelicką, wliczając z M. J. Cieślarem, nie zgłaszali aktów wandalizmu i złodziejstwa właściwym organom, albo zgłoszenia te nie odniosły należytego skutku. „Uratowanie przed wywiezieniem" jednej z figur nagrobnych jest niestety wyjątkiem w dziejach cmentarza a nie regułą. Nie wiadomo zresztą skąd ta pewność, że ktokolwiek chciał figurę wywozić — została ona po prostu zrzucona z postumentu, co mogło być zarówno dziełem potencjalnego złodzieja, jak również zwyczajnego chuligana.

W dalszej części listu ks. M. J. Cieślar pisze: „Nie wiem kto zasugerował autorowi artykułu myśl, że cmentarz ewangelicki w Pabianicach był rozkradany i niszczony przez mieszkańców naszego miasta." Myśl taka nie może pochodzić od księdza, gdyż czuje się on związany z pabianiczanami, a jego celem jest „integracja i budowanie pozytywnych postaw społecznych." Ja z kolei nie wiem, dlaczego ktoś musiałby mi sugerować rzeczy oczywiste — przecież to nie przybysze z Marsa urządzali libacje w grobowcach i nie na latających spodkach opuszczały cmentarz marmurowe płyty nagrobne. Być może nawet wśród wandali i złodziei był także ktoś z mieszkańców okolicznych miejscowości, ale nie zmienia to postaci rzeczy.

W moim artykule poruszyłem sprawę handlu starymi grobami. Pół biedy, jeśli sprzedaje się wolne miejsca — chociaż wciskanie lastrykowych grobowców między zabytkowe pomniki porównać można do próby wybudowania typowych bloków z wielkiej płyty między secesyjnymi kamienicami ul. Piotrkowskiej, gorzej kiedy planuje się sprzedaż cmentarnych pomników, usuwanie starych napisów i zastępowanie ich nowymi. Ks. M. J. Cieślar pisze, że jest to działalność zgodna z ustawą i wewnętrznymi przepisami. Można i tak.

Artykuł pt. „Prochy i marmury" pisałem z myślą o ratowaniu tego zabytkowego — przynajmniej w moim odczuciu — obiektu, jakim jest cmentarz ewangelicki, co powinno leżeć na sercu również księdzu kierującemu parafią. Być może jednak wymagam zbyt wiele.

MAREK KWIATKOWSKI

PS. Ks. M. J. Cieślar dostrzegł pomyłkę drukarską w nazwisku Ludwika Schweikerta. Cieszyłbym się, gdyby dostrzegł także brak dwóch nagrobków, które jeszcze całkiem niedawno znajdowały się po lewej stronie od wejścia na cmentarz i spowodował ich powrót na swoje miejsce.

M.K.

REGULAMIN KONKURSU LITERACKIEGO DLA MŁODZIEŻY

Ośrodek Sztuki Młodych Łódzkiego Domu Kultury i Kuratorium Okręgu Szkolnego miasta Łodzi ogłaszają otwarty konkurs literacki dla uczniów szkół średnich. Celem konkursu jest pobudzenie wrażliwości artystyczne, młodzieży, kształtowanie jej aktywnego, współtwórczego stosunku do sztuki i rzeczywistości oraz ocena uzdolnień literackich.

Konkurs obejmuje prace z dziedziny poezji, prozy i krytyki literackiej. Tematyka prac — dowolna.

Warunkiem uczestnictwa jest nadesłanie zestawu trzech wierszy lub jednego opowiadania bądź jednej recenzji z ostatnio przeczytanej książki, nie będącej w wykazie lektur szkolnych.

Oceny prac dokona jury złożone z pisarzy i krytyków literackich, które przyzna nagrody w każdej z dziedzin.

Objętość prac nie powinna przekraczać:
w dziedzinie poezji — 3 stron maszynopisu; prozy — 7 stron; krytyki — 5 stron.

Rozpatrywane będą również czytelne rękopisy.

Prace opatrzone imieniem i nazwiskiem, adresem autora oraz nazwą szkoły należy składać w sekretariacie Łódzkiego Domu Kultury, ul. Traugutta 18, w nieprzekraczalnym terminie do 28 lutego 1987 r. W przypadku przesyłki pocztowej decyduje data nadania.

Organizatorzy zastrzegają sobie prawo pierwszeństwa publikacji nagrodzonych prac w wydawnictwach Ośrodka Sztuki Młodych ŁDK.

W IWANOWIE O ŁÓDZKICH PISARZACH

Wychodzący w Iwanowie „Raboczij Kraj" opublikował kolejną kolumnę poetów łódzkich: Tadeusza Chróścielewskiego („Pan Twardowski", „Wyznanie miłości" i „W Wyszkowie po wojnie"), Henryka Hartenberga („Trzy drzewa"), Andrzeja Wiktora Mikołajewskiego („Lew Tołstoj") oraz Mariana Piechala („Chciałoby się...") w przekładach M. Dudina, W. Arsentiewa i W. Kocznowa. Wierszom towarzyszy (publikowany w „Odgłosach" w październiku 1986 r.) artykuł Władysława Strzeleckiego zatytułowany „Kronika literackiej przyjaźni" w tłumaczeniu L. Zorina, w którym autor przedstawia literackie kontakty pisarzy Łodzi i Iwanowa.

ST.

TRZYDZIESTOLECIE LUDZKICH UPADKÓW

W 1956 roku powstały pierwsze w kraju izby wytrzeźwień w Warszawie i Łodzi. Pierwsze przyjęcia do prowizorycznych pomieszczeń przy ul. Deotymy nastąpiły z początkiem 1957 roku. Po pewnym czasie Izba została przeniesiona do adaptowanych budynków pofabrycznych przy ul. Jana Kilińskiego nr 232, gdzie znajduje się obecnie.

Pod względem ilości miejsc (łóżek) izba łódzka zajmuje drugie miejsce w kraju. Posiada 14 sal usytuowanych na parterze i piętrze z 84 łóżkami, w tym: 65 dla mężczyzn, 15 dla kobiet i 4 dla niepełnoletnich.

Nie każdy nietrzeźwy „ma tytuł" na dostarczenie do Izby. Obowiązek izolowania osób nietrzeźwych obejmuje tylko tych, którzy zakłócają spokój w miejscu publicznym lub w zakładzie pracy, wywołują zgorszenie, albo znajdują się w miejscu publicznym w okolicznościach zagrażających ich zdrowiu.

Przez długie lata liczba osób zatrzymanych w łódzkiej izbie wytrzeźwień utrzymywała się w granicach 15—16 tysięcy rocznie. Od paru lat zaznacza się jednak tendencja spadkowa: w ostatnich latach około 10.000 osób rocznie. W 1986 roku — jak wynika z szacunków — nie osiągnięto i tej liczby. Dziennie trafia do Izby Wytrzeźwień około 25 osób.

Opłaty za świadczenia związane z pobytem wynoszą zryczałtowane kwoty: za świadczenie (kąpiel, nocleg, opieka lekarska) — 2000 złotych i za transport — 500 zł. Kwoty pobrane za transport odprowadzane są przez Izbę do Komendy Milicji Obywatelskiej lub Pogotowia Ratunkowego. W celu zabezpieczenia tych należności, Izbie przysługuje prawo zastawu na przedmiotach wartościowych. Z połowy klientów nie można ściągnąć należności. Pomimo to Izba osiąga pewną nadwyżkę przychodów. Ludzie, od których nie można ściągnąć należności, to przeważnie pijący nałogowi, nigdzie niepracujący, często nie mający nawet stałego miejsca zamieszkania. Każdy wypadek niewypłacalności winien być udowodniony postępowaniem służb administracyjnych, co powiększa koszt pobytu w Izbie. Rozważa się projekt odpracowania za nie zapłacony pobyt w Izbie Wytrzeźwień.

W ciągu roku do Izby trafia około 30 nieletnich. Stosownie do rozporządzenia wykonawczego z 7 maja 1983 r. (Dz. Ustaw nr 25, pz. 109), osoby małoletnie po wytrzeźwieniu przekazuje się rodzicom lub prawnym opiekunom, a w razie ich braku Pogotowiu Opiekuńczemu.

Stosownie do ustawy z 26.X.82 r. o wychowaniu w trzeźwości i przeciwdziałaniu alkoholizmowi izby wytrzeźwień powołuje się w miastach liczących ponad 50.000 mieszkańców. Łódź liczy około 850 tysięcy mieszkańców. W każdej z pięciu dzielnic może być powołana Izba Wytrzeźwień. Jeśli jedną izbę uważa się za odpowiednią dla miasta rozmiaru Zgierza lub Pabianic, to jak może wystarczyć jedna izba dla Łodzi, Warszawy, Krakowa? Jednak zdaniem Józefa Borowskiego — dyrektora łódzkiej Izby Wytrzeźwień — nie ma takiej potrzeby. Nietrzeźwi są dowożeni z najodleglejszych okolic Łodzi, nawet z Pabianic, chociaż mieszkańcy Górnej, w której jest siedziba Izby, przeważają. Nie można też powiedzieć, by Izba łódzka nie pokrywała potrzeb miasta. Ma do dyspozycji 84 miejsca, z których wykorzystanych jest każdego dnia 25! Są więc znaczne rezerwy miejsc.

WITOLD KOTOWSKI

SPROSTOWANIE

Do powieści pt. „Pożar" W. Rasputina (odcinek 6, zamieszczony w numerze „Odgłosów" z dnia 3.I.1987 r.) wkradł się błąd, w sposób istotny zmieniający myśl autora i intencje tłumacza. Poprawnie zdanie powinno brzmieć: „Nie mówiono: zło jest to odwrotna strona dobra, o tym samym obliczu, tyle że nie spoglądającym w prawo, lecz w lewo, ale uważano, że zło jest jeszcze nie przemienioną, niczym pogaństwo, w wyższą moralnie religię, siłą, czyniącą zło z powodu swej zwierzęcej natury, nie rozumiejącej, że czyni zło".

EWA-KATARZYNA NOWAK

NAGRODA LITERACKA MIASTA ŁODZI

Już weszło w tradycję, iż każdego roku w rocznicę wyzwolenia Łodzi, Rada Narodowa Miasta Łodzi przyznaje nagrody za wybitne osiągnięcia w pracy zawodowej i społecznej. Z okazji tej warto poświęcić kilka zdań o pierwszych tego rodzaju nagrodach, przyznawanych przez władze miejskie miasta w latach międzywojennych.

Pierwsza nagroda literacka w Łodzi ufundowana została w październiku 1924 r. Łódź, jako jedno z pierwszych miast w Polsce, opracowało projekt statutu tej nagrody. Statut został przyjęty i uchwalony przez Radę Miejską miasta Łodzi 28 października 1926 r. Nagroda wynosiła 10 tysięcy złotych i była niepodzielna.

W skład Komitetu Nagrody Literackiej wchodziło 12 osób: prezes Rady Miejskiej miasta Łodzi, prezydent miasta, dwie osoby wybrane przez Radę Miejską, delegat Łódzkiego Kuratorium Okręgu Szkolnego, delegat Syndykatu Dziennikarzy Polskich w Łodzi, trzech profesorów lub docentów literatury polskiej, po jednym z uniwersytetów w Warszawie, Krakowie i Poznaniu, delegat Polskiej Akademii Umiejętności w Krakowie oraz dwóch delegatów zarządów polskich zrzeszeń autorskich w Warszawie.

Do 1931 r. przyznawano nagrody wyłącznie za twórczość literacką, a po 1931 r. zaczęto przyznawać nagrody również za wybitne osiągnięcia w dziedzinie nauki i sztuki.

Pierwszą nagrodę literacką w 1927 r. przyznano Aleksandrowi Świętochowskiemu, następnie w 1928 r. Julianowi Tuwimowi, w 1929 r. Zofii Nałkowskiej, w 1930 — profesorowi Aleksandrowi Brücknerowi, w 1933 — Andrzejowi Strugowi. Nagrodę artystyczną w 1932 r. otrzymał malarz i teoretyk sztuki Władysław Strzemiński.

Z nagrodzonych najbardziej byli związani twórczością literacką z Łodzią Andrzej Strug i Julian Tuwim.

Andrzej Strug poświęcił kilka utworów Łodzi. Między innymi w wydanej w 1910 r. w Krakowie powieści pt. „Dzieje jednego pociąku" przedstawił wydarzenia, jakie miały miejsce w Łodzi w latach 1906—1907.

Autor „Kwiatów polskich" był dzieckiem Łodzi. Tu się urodził i ukończył szkołę średnią i tu pisał pierwsze swe wiersze.

Przywiązanie do rodzinnego miasta szczególnie podkreślił w przemówieniu, wygłoszonym 3 maja 1928 r. z okazji otrzymania nagrody literackiej:

„...Rozumiem — mówił poeta — że przyznano mi nagrodę Łodzi nie w kolejności zasług dla literatury ojczystej, gdyż mi do nich jeszcze bardzo daleko. Rozumiem, że nagrodzono tu nie tylko poetę, ale i łodzianina. Niechaj więc mi wolno będzie jako dziecku Łodzi fabrycznej, Łodzi robotniczej, dać wyraz najczulszemu wzruszeniu z powodu tej decyzji. A jest to wzruszenie owiane tkliwą pamięcią tych dawnych dni, kiedy budziły się we mnie pierwsze melodie wierszy, albo w rytmie tego miasta, albo buntując się przeciwko temu rytmowi — lecz zawsze z łódzkich ulic wyniesione.

Nasze kominy były mi jak olbrzymie, czerwone wykrzykniki, jak wbite w Łódź znaki potwierdzenia, że to jest miasto nieustającej pracy. Turkot fabryk, gwizd syren, tłumy walczące o wolność — uczyniły mnie twórcą nowych rytmów poetyckich, przeniesionych na warsztat słów. Łódź fabryczna, jak kamerton, wystukiwała mi pierwsze twórcze nakazy. Zawsze o tym pamiętałem i zawsze za to kochać będę moje miasto rodzinne. A teraz, kiedy mnie Łódź tak szczodrobliwie ponad nikłe zasługi wynagrodziła — pamiętać będę, że to uznanie dla dotychczasowego mego dorobku jest jednocześnie radosnym moim obowiązkiem dalszej wytężonej pracy na działce roboczej młodej poezji polskiej..."

Na zakończenie zarecytował zwrotkę swego nowego wiersza:

„Tak się przyszłość buduje — muskularną, nową,
Tak się życie pcha naprzód — śpiewną robocizną,
Młodości podaj skrzydła. Boże, ześlij słowo,
W pęd sławy, w dzieje swoje porwij nas, Ojczyzno".

Po raz wtóry Julian Tuwim otrzymał nagrodę literacką Łodzi w 1946 roku.

FR. LEWANDOWSKI

W „BALATONIE"

Wielu mieszkańców Łodzi spożywa obiady w barach szybkiej obsługi. Jedni kupują je jako bony rozprowadzane przez zakłady pracy, inni korzystają z nich doraźnie, zmieniając w zależności od swojego pobytu lokal. Z „Balatonu" korzysta wiele osób, nawet z tego powodu, że lokal jest w śródmieściu, a więc można w nim bez zbytniego wysiłku i wyczekiwań zjeść spokojnie obiad, śniadanie czy kolację. Ale z tym spokojem bywa różnie.

Nagle drzwi wejściowe otwierają się i grupa Cyganów wtacza do środka instrumenty muzyczne. Krótki „koncert" i ponad talerzami jedzących ukazują się brudnawe łapy bezczelnie żądające datków pieniężnych. Sposób, z jakim to robią przedstawia wiele do życzenia.

Ciekawym w tym wszystkim jest jednak to, że ani wśród personelu, ani też wśród jedzących nie spotyka się żadnego odruchu buntu lub oporu.

Cygani nasyciwszy się wyżebranymi datkami opuszczają „Balaton" udając się do pobliskiego baru mlecznego, aby tam od początku kontynuować swój proceder. W okolicach „Balatonu" są dwa bary mleczne, a także kawiarnie i restauracje. Nie przeszkadza to „artystom" w uprawianiu swojej „pracy", a raczej jej „pomaga", gdyż nie tracą czasu na pokonywanie odległości. A że przynosi ona niezłe dochody, nietrudno dociec i przekonać innych.

Pisząc o „Balatonie" nie sposób nie zwrócić uwagi na inne mankamenty tego baru. Będąc barem szybkiej obsługi (jak sama nazwa wskazuje) winien on obsługiwać jak najwięcej klientów w możliwie jak najkrótszym terminie. Służą temu dwie kasy (w zasadzie powinny), z których jedna jest bardzo często nieczynna. Konsumenci gromadzą się więc przed jedną czynną, tworząc niepotrzebne ogonki i marnując czas. Również tace, na które klienci wybierają sobie porcje nie są dostarczane na czas. Wydaje się, że usunięcie tego rodzaju mankamentów nie jest znowu tak bardzo niemożliwym przedsięwzięciem.

MIECZYSŁAW KOZAK

Polemiki • Listy • Opinie

DAWNE HOTELE ŁÓDZKIE

Z zainteresowaniem przeczytałem w „Odgłosach" artykuł Adama Ochockiego pt. „Dawne hotele łódzkie". Nasunęło mi się przy tym kilka uwag, które pragnę przekazać autorowi i czytelnikom.

Adam Ochocki pisze, że „pierwszy skromniutki hotel w Łodzi znalazł swą siedzibę w czynszowej kamienicy przy ul. Piotrkowskiej 91, zajął bodaj tylko jedno piętro z frontu". Coś tu autor pomylił, gdyż w wymienionym miejscu znajduje się parterowy domek (obecnie znacznie przebudowany), wzniesiony w połowie XIX wieku. Według urzędowego zapisu w 1863 roku mieścił się tu szynk.

Co zaś tyczy się najstarszych hoteli łódzkich, jeśli zaliczymy do nich również zajazdy, to najstarszą metryką wykazać się może zajazd Paradyz, wielokrotnie opisany w książkach i czasopismach. Zbudowany został w 1829 roku przy ul. Piotrkowskiej 175 przez Jana Adamowskiego. Nieco młodszy był zajazd na Starym Mieście, usytuowany w narożniku pl. Kościelnego i ul. Zgierskiej. W 1844 roku w wozowni tego zajazdu odbywały się pierwsze przedstawienia teatralne w Łodzi.

Najstarszym hotelem łódzkim z prawdziwego zdarzenia był wszakże Hotel Polski, o którym Adam Ochocki zaledwie wspomniał. Hotel ten zbudował w 1853 roku Antoni Engel przy ul. Piotrkowskiej 3. Był to budynek murowany, jednopiętrowy, posiadający 60 miejsc noclegowych. W głębi posesji hotelowej znajdowały się pomieszczenia dla koni i powozów. Mury Hotelu Polskiego związane są z okresem wydarzeń powstania styczniowego. Przebywali w nim w czasie swego pobytu w Łodzi emisariusze Rządu Narodowego.

Około 1860 roku powstał na Starym Mieście Hotel Krakowski, założony przez Augusta Dresslera. Mieścił się w murowanej, piętrowej kamienicy na rogu ul. Łagiewnickiej i Starego Rynku. Posiadał tylko pięć pokoi gościnnych.

Wreszcie ostatnia uwaga. Adam Ochocki zastanawia się, z jakiego pisma zaczerpnął wierszowany tekst, którego fragmenty włączył do swego artykułu. Wszystko wskazuje na to, że twórcą tego tekstu jest popularny w swoim czasie poeta i publicysta warszawski, Kazimierz Laskowski, sygnujący swoje utwory kryptonimem El. Był on stałym współpracownikiem „Tygodnika Ilustrowanego". W 1911 roku pismo to delegowało kilku swoich pracowników, m.in. Laskowskiego, do Łodzi, w celu opisania miasta. Wydaje się jednak, że nie dotarł on do celu, a wierszowany reportaż o naszym mieście, zamieszczony w „Tygodniku Ilustrowanym", napisał na podstawie zapamiętanych wrażeń hotelarsko-knajpiarskich, jakich doznał w czasie uprzednich pobytów w Łodzi. Nie ukrywał źródła swych informacji o mieście, pisząc w zakończeniu wierszowanej relacji:

I każdemu radzę
W turystycznym celu,
By miasto Łódź zwiedzał
W „Victorii" hotelu.

Dla pełniejszej charakterystyki tej postaci warto dodać, że Kazimierz Laskowski, pisujący również do „Kuriera Warszawskiego", podsunął kierownictwu tej gazety projekt objazdu miasteczek i wsi w celu opisania życia prowincji. Kupiono mu więc konia z uprzężą i wyekwipowano na drogę. Wkrótce do redakcji poczęły napływać pierwsze korespondencje. Po pewnym czasie okazało się jednak, że Laskowski nie wytknął nosa poza Warszawę. Sprzedał bowiem na targu praskim wierzchowca z uprzężą, a uzyskaną gotówkę przepijał w knajpie „Pod świateł kami". Tutaj też fabrykował dla „Kuriera" obrazki z prowincji korespondenta konnego.

WACŁAW PAWLAK

W SPRAWIE MYCIA OKIEN

Jestem stałym czytelnikiem „Odgłosów", od wielu lat. Szczególnie interesująca jest dla mnie rubryka „Polemiki — Listy — Opinie" oraz sportowe felietony Bogdy Madej. Ale piszę z innej okazji. Z powodu wywiadu, którego Bogdzie Madej udzieliła Dorota Chróścielewska.

Tak się składa, że od pewnego czasu coraz częściej i głośniej mówi się o stanie czystości naszego kraju. Telewizja i prasa pokazuje brud i bałagan w osiedlach, zakładach pracy, dworcach kolejowych, w całych nawet miastach. Piętnuje się w środkach masowego przekazu śmieci na ulicach, brud w publicznych toaletach (duże brawa Markowi Kotańskiemu za poruszenie tej sprawy), brudne tramwaje, autobusy, ich szyby, zza których nie widać, w której części miasta aktualnie jesteśmy.

Muszę stwierdzić, że przyznanie się do niechęci związanej z myciem okien zaważyło na całym bądź co bądź, nie ukrywam, ciekawym, powiedziałbym nawet dalekim od schematów, wywiadzie. Należą się pani Dorocie duże słowa uznania, że odsłoniła rąbek swego prywatnego życia. Ale w moim mniemaniu to wyznanie zabrzmiało dla mnie (abstrahując od tego co autorka tych słów chciała nam dać do zrozumienia) mało poważnie. Dlaczego?

Po pierwsze — to naprawdę już skandaliczny stan sanitarny naszego miasta i kraju. Po drugie — to społeczny odbiór słów pani Doroty. Ktoś powie, że to, czy pani Dorota myje okna czy nie, to jej prywatna sprawa. Ale nie zapominajmy o tym, że postawy, poglądy i wypowiedzi znanych w mieście, czy też w kraju ludzi bardzo często kształtują postawy i poglądy tysięcy innych. Jak wobec takiego podejścia do spraw czystości (choćby tylko własnego mieszkania) wypowiadanego publicznie w prasie przez literatkę, będą kształtować się postawy maluczkich. W bardzo wielu przypadkach będzie jedna: ludzie, „literaty" nie myją okien, to my też nie. Nie trzeba chyba być wielkim odkrywcą, żeby stwierdzić, że gdyby w ten sam sposób postępowali dyrektor MPK czy kierownicy sklepów, restauracji, posilkując się w tym względzie postawą ich kolegów po fachu np. z Poznania czy Warszawy, to stan sanitarny naszego kraju zszedłby do poziomu niektórych szaletów pokazywanych nam przez M. Kotańskiego.

Ktoś mógłby powiedzieć, że dyrektor, kierownik muszą dbać z urzędu o czystość i porządek. Zgoda. Tak samo jak gospodarze domów. A czy wszyscy dbają? Tak, ale ci z nich, którzy lubią czystość, którzy dbałość o czystość wynieśli ze swych domów. Jeszcze do dziś pamiętam, mieszkając kilkanaście lat temu w starej kamienicy na Bałutach, ile było w moim i sąsiadów mieszkaniach starań, przygotowań, sprzątania przed świętami. Tak jest do dzisiaj w wielu milionach rodzin. Zarówno w robotniczych jak i inteligenckich. Tych ludzi chyba najtrudniej będzie zaliczyć do tych, którzy wszędzie za sobą zostawiają brud i nieporządek. Natomiast wydaje mi się (może naiwnie), że to wyznanie pani Doroty zabrzmiało zachęcająco dla tych, którzy czystości nie lubią; wszystkim zaś, których denerwuje brud chodzi chyba tylko o to, by każdy obywatel, czy to będzie dozorca naszego domu, czy dyrektor wielkiego przedsiębiorstwa — czystość, ład i porządek polubili. Nie sprzyjać temu będą na pewno takie wypowiedzi, jakie mieliśmy możność przeczytać w ostatnim wywiadzie Doroty Chróścielewskiej.

Takie jest zdanie 30-letniego waszego czytelnika, którego zdziwiło i troszkę zdezorientowało te kilka zdań wypowiedzianych przez panią Dorotę, co jednak nie zmienia mojego zdania, że wywiad podobał mi się i mimo tych moich kilku wątpliwości wyrażonych w tym liście czuję sympatię do autorki wywiadu za jej szczery ton. Z poważaniem —

JAN CACAJ

List Jana Cacaja jest dobrą okazją do tego, aby wyjaśnić pewne nieporozumienia. Nasz pomysł „intymnych rozmów" ma na celu pokazywanie ludzi takimi, jakimi są. Chcemy w naszej „rubryce" MÓWI: tu imię i nazwisko — pokazywać naszych rozmówców od strony ich życia prywatnego, gdyż ludzi tych na ogół znamy z ich pracy zawodowej. A każdego z nas interesuje to, jakimi są poza swoją funkcją, stanowiskiem, pozycją. Ot, tak — po prostu — w domu. Nic to nowego. Dziennikarze, filmowcy, telewizja od dawna podpatrują ludzi w różnych sytuacjach.

Cieszy nas to, że ta forma rozmowy znalazła uznanie Czytelników, że różne już były opinie na temat przeprowadzonych rozmów. Podobnie ma się też sprawa rozmowy Bogdy Madej z Dorotą Chróścielewską. Obie panie pogadały sobie, jak baba z babą i Jan Cacaj przyznaje, że to było nawet ciekawe. Przy okazji Dorota Chróścielewska przyznała się, że nie lubi myć okien. Boję się, że większość pań tego nie lubi, tylko nie ma odwagi przyznać się do tego publicznie. Przyznania Doroty Chróścielewskiej nie wolno jednak traktować w sposób taki, w jaki to zrobił autor listu, który swobodnie wszystko pomieszał i wyciągnął z tego fałszywe wnioski.

Chcę zapewnić Jana Cacaja i innych Czytelników, którzy być może pomyśleli podobnie, że również jesteśmy przeciw bałaganowi, brudom, bezmyślności i wszelkim innym wadom naszym powszednim. I będziemy je zwalczać, tak jak to robimy do tej pory, choćby w licznych felietonach, jakie się na ten temat ukazały. Natomiast jeśli chodzi o okna, to trzeba je myć wtedy, gdy tylko robią się brudne, a nie czekać z tym do świąt Bożego Narodzenia i Wielkanocy. Bo to nie jest najlepszy zwyczaj.

REDAKTOR DYŻURNY

NIE WIEM, DLACZEGO PISZĘ O SEKSIE...

Na angielskim rynku prasowym jesienią tego roku pojawił się nowy dziennik „The INDEPENDENT", który chce konkurować z takimi prestiżowymi tytułami jak „The Times" czy „The Guardian". Towarzyszyła mu początkowo ogromna kampania reklamowa, a pismo, aby pozyskać czytelników stara się o najatrakcyjniejsze materiały.

W jednym z początkowych numerów ukazał się interesujący wywiad, który przeprowadziła Kathy Stephen z amerykańskim pisarzem Johnem Updikem. Jego nazwisko kojarzy się z pewnością polskiemu czytelnikowi z powieścią wydaną przez Państwowy Instytut Wydawniczy w serii KIK w 1983 r. pod tytułem „Wyjdź za mnie". Książka ta spopularyzowana też przez radio, zrobiła chyba największą karierę wśród jego utworów przetłumaczonych na język polski.

Updike ma obecnie 54 lata, urodził się w 1932 roku w Shillington w stanie Pensylwania. Był jedynakiem. Matka poświęcała mu sporo czasu i to właśnie ona wszczepiła synowi zainteresowania artystyczne. Młody Updike dużo czasu spędzał nad książkami, szczególnie w okresie gdy rodzina przeniosła się z miasta na wieś, bo czuł się tam bardzo osamotniony.

Studiował na Uniwersytecie Harvarda i w Wyższej Szkole Rysunku i Sztuk Pięknych w Oxfordzie. Jest autorem około trzydziestu książek, pisze poezje, powieści i opowiadania. Obecnie stale współpracuje z „New Yorker Magazin", w którym drukuje swoje opowiadania. W Polsce ukazało się kilka zbiorów jego opowiadań: „Gołębie pióra" (PIW 1965 r.), „Szkoła muzyczna" (PIW 1969 r.), „Muzea i kobiety" (PIW 1978 r.). Ponadto na język polski były przetłumaczone jego powieści: „Centaur" (Czytelnik 1966 r.), „Farma" (PIW 1967 r.), „Jarmark domu ubogich" (Wydawnictwo Literackie Kraków 1981 r.) oraz „Wyjdź za mnie" (PIW 1983 r.).

Updike przedstawia życie klasy średniej, zamożnych mieszkańców Nowej Anglii lub wraca do czasów swej młodości i opisuje Pensylwanię. Dużo uwagi poświęca życiu seksualnemu swoich bohaterów. We wspomnianym wywiadzie Updike powiedział:

— *„Nie wiem dlaczego piszę o seksie, jest to rodzaj słabości". „Zawsze wydaje mi się, że mam coś więcej do powiedzenia o seksie, ale jeśli poczuję, że nie powiem już nic nowego, to przestanę o nim pisać. Czułem, że byłbym nędznym pisarzem, gdybym unikał tego tematu".*

Niedawno ukazała się najnowsza powieść Updike'a pod tytułem „Roger's Version", która różni się nieco od jego poprzednich książek. Pisarz skomentował ją następująco:

„Mówiono o mnie, że moje prace nie posiadają żadnej idei, więc postanowiłem zawrzeć w tej książce kilka myśli".

Główna postać „Roger's Version", profesor teologii Robert Lambert przemyśliwa nad niepoznawalnością Boga, a jednocześnie drugi bohater, uwikłany w romans z żoną profesora postanawia wykazać istnienie Boga przy pomocy komputera. Autor usiłuje dociec jaki jest związek między nowymi teoriami naukowymi na temat struktury kosmosu i chrześcijańskim widzeniem wszechświata.

Updike opowiedział dziennikarce jaka była geneza powstania książki:

— *Któregoś dnia siedziałem przy moim procesorze słów i wyczułem wśród ukazujących się znaków magiczną tajemnicę, jakby działanie jakiejś istoty".*

Spośród współczesnych pisarzy amerykańskich Updike najczęściej chodzi do kościoła, choć kilkakrotnie zmieniał wyznania.

John Updike niewątpliwie zrobił karierę w Stanach Zjednoczonych jako pisarz. Zdobył uznanie, sławę, jest chwalony przez krytyków. Ma również pieniądze. Mieszka obecnie w pięknym, białym domu z widokiem na Atlantyk w Nowej Anglii, na północ od Bostonu.

Pisarz zdradził dziennikarce swoje plany na przyszłość, bo już zaplanował, jakie będą jego dwie następne książki. Chce napisać jakby drugą wersję czy uzupełnienie swojej książki „Scarlett Letter", przedstawić wydarzenia z innego punktu widzenia. Ma również zamiar napisać ostatnią książkę w serii o byłej gwieździe koszykówki Harrym „Rabbit" Angstrom (nie przetłumaczona na język polski trylogia „Rabbit, Run", „Rabbit Redux" oraz „Rabbit is Rich" oceniana jest przez krytyków jako jego największe osiągnięcie). Poza tym myśli o współpracy z filmem, będzie nakręcony film na podstawie jego powieści.

Gdy zrealizuje te plany, będzie już miał 60 lat, ma zamiar przerwać wtedy pracę na rok i odpocząć.

ZOFIA KĘDZIORA

ALEGORIA

Z polskich poetów można utworzyć pułk, a rezerwuar ludzki wystarcza na kilka następnych.

Ale i w czasach pokojowych wyłania się coś na kształt wojskowej hierarchii. Zakres praw i obowiązków jest ściśle określony. Oddawanie honorów mile widziane.

Młodzież, która nieodparcie pragnie zaciągnąć się do tej niezbyt już elitarnej formacji i służyć ku chwale Poezji, grupuje się w poetyckich plutonach. Plutony gniją na pierwszych liniach i braki w zaopatrzeniu rodzą frustrację. Stąd plaga dezercji.

Najtwardsi, po kilkunastoletnim nieraz zdychaniu w okopach, otrzymują stopnie podoficerskie, i ich wpływ na rozdział konserw jest większy. A jeśli oficer polityczny spojrzy pobłażliwym okiem na poetyckie pijaństwo i przypalanie papierosa słońcem — awans pewny.

Niżsi oficerowie, obok tych z awansu, rekrutują się przeważnie ze szkół polonistycznych. Oprócz gramatycznego drylu i niezbyt przytomnych myśli nie mają wiele do powiedzenia. Zazwyczaj nie wychodzą z punktu wyjścia i alkoholizują swoje morale.

W powojennej historii poezji polskiej miał miejsce jedyny jak dotąd udany spisek młodszych oficerów, którzy jednak nie przedstawili rewolucyjnego programu, a podstawowym ich celem było dostanie się do żłobu. Uczestnicy spisku gros wysiłku poświęcili na wzajemne ubezpieczanie się i poetycko orientowali się jak hybrydzi.

Starszy stopień oficerski jest wynikiem zasiedzenia i większej niż przeciętna zręczności zakulisowej. Komitywa starszyzny z oficerami politycznymi jest dość zażyła, a rutynowe animozje nie są w stanie zakłócić obrazu sielanki.

Żołd jest głównym celem i jeśli zostanie on osiągnięty, nie ma już celu.

Z kilkunastu doraźnych wieszczy, którzy obrzydzają życie licealistom, tylko Miłosz, Baczyński, Różewicz, Gajcy i Herbert mają cokolwiek do powiedzenia i są w stanie zainteresować nie tylko znawców.

Zjawiska takie jak Bursa, Stachura czy Wojaczek oddziaływały bądź oddziałują na emocje i jeśli nie pokryje ich czas — pogratulować.

Z tych kilkunastu insynuacji wynika, iż mimo obfitości mięsa armatniego, pokazów siły oraz innych demonstracji, coraz trudniej ukryć nieudolność i śmieszność dokonań. Możliwości hochsztaplerstw są nieograniczone i szarlatanerią kwitnie.

Być może poezja umiera, a wszelkiej maści grafomaństwo przyspiesza agonię. Dokonania dywizji amerykańskiej („Literatura na świecie" nr 7 z 1986 roku) zdają się również potwierdzać tę diagnozę.

Na byle jakim wieczorze autorskim byle jakiego poety byle jaki poeta czyta byle jakie wiersze i ubolewa nad brakiem oddźwięku u garstki słuchaczy. Zaiste, pusta to rozpacz.

Objaśnienia:
1 — grupa poetycka
2 — członek zarządu KKMP
3 — folder, publikacja w czasopiśmie lub gazecie
4 — krytyk
5 — termin wieloznaczny
6 — osoba po wydaniu książki i przed przyjęciem do ZLP
7 — członek ZLP
8 — np. „Poezja" nr 11—12 z 1982 roku.

TOMASZ KUBIK

POPIERAĆ, NIE WYBRZYDZAĆ!

W „Polityce" nr 49 z 6 grudnia 1986 r. niemal na jednej stronie zostały opublikowane trzy wypowiedzi: Anny Tatarkiewicz, KTT i Wandy Strążewskiej dotyczące tego samego tematu i tej samej osoby, a mianowicie powstałej z inicjatywy Marka Kotańskiego akcji, jak nazwała to Anna Tatarkiewicz, „wielkiego szturmu na rodzinne niechlujstwo w szczególności na brud w ubikacjach publicznych". O moim osobistym rozczarowaniu do dwu pierwszych autorów zadecydował dodatkowo pokazany w TV 12 grudnia 1986 r. film angielski „Nie moje dziecko" — ponieważ treść tego filmu wiąże się ściśle z „Monarem", co również jest życiową pasją Marka Kotańskiego.

Ale do rzeczy.

Przede wszystkim nie mogę się zgodzić z szanownymi żurnalistami, że jeśli znajdzie się ktoś, kto pragnie walczyć ze złem, które w naszym młodym społeczeństwie stało się problemem i patologią społeczną bardzo dużej wagi — myślę tu o narkomanii, jako problemie zasadniczym i ten sam człowiek usiłuje również publicznie walczyć z innym patologicznym zjawiskiem, jakim jest brud i niechlujstwo w naszym społeczeństwie, a do tego pragnie ludzi dobrej woli połączyć „łańcuchem czystych serc" — obwołuje się go „nawiedzonym idolem", a Wilhelminę Skulską, która przeprowadziła wywiad z M. Kotańskim „nierzetelną dziennikarką".

Krzysztof Teodor Toeplitz został boleśnie raniony w swoją niezachwianą opinię i autorytet publicysty i tylko Jego osobista nietajona litość do „nawiedzonego idola i nierzetelnej dziennikarki" pozwala nie występować na drogę sądową. A cóż by się stało, gdyby tak znany i ceniony publicysta nie tylko wypowiadał się autorytatywnie w sprawie „Powrotu do Edenu", ale również swoim własnym autorytetem popierał i krzewił idee „Monaru", bo na razie nikt u nas lepszej metody nie wymyślił.

Anna Tatarkiewicz, jako wyjątkowa znawczyni mycia ubikacji, lepiej by zrobiła popierając apel Marka Kotańskiego i podbudowała akcję własnym autorytetem, zamiast stwierdzać: „sprzątanie to umiejętność, której szczerze mówiąc Marek Kotański raczej nie posiadł".

„O tempora o mores", jakiego zwyrodnienia żeśmy się doczekali, że ludzie, którzy walczą z narkomanią, brudem, niechlujstwem i pragną połączyć „łańcuchem czystych serc" całą ludzkość — Marek Kotański — i ci, którzy pragną rozwiać nieprzychylność, arogancję i wrogość wobec własnych sąsiadów — w akcji „bądź mi sąsiadem" — Wilhelminy Skulskiej — uważani są za niekompetentnych, nierzetelnych i nawiedzonych.

Nie pragnę moją wypowiedzią nikogo obrazić, ale uważam, że działalność „Monaru", akcję „łańcucha czystych serc", „bądź mi sąsiadem", czy „kupą mości panowie" należy popierać, a nie wybrzydzać i gnoić".

JAN PRUSKI

Łódź, 15 grudnia 1986 r.

List ten autor powinien przesłać w zasadzie do „Polityki", skoro jednak skierował go do nas, drukujemy. Przyznaję jednak, że „z mieszanymi uczuciami". Autor listu, bardzo zafascynowany działalnością Marka Kotańskiego, zarzuca wszystkim, którzy nie popierają twórcy „Monaru" i autora wielu popularnych i głośnych akcji, że są nietolerancyjni. Sam jednak spoza tej fascynacji nie dostrzega, że również stał się... nietolerancyjny.

Gdybyśmy wszyscy jednakowo myśleli i robili, nie potrzeba byłoby ani „Monaru", ani żadnych akcji, ani nie byłoby czego zwalczać. Świat byłby zaludniony aniołami. Na szczęście dla postępu i rozwoju ludzkości tak nie jest. Postęp i dobro muszą wyzwalać się w walce. A w tej walce nie wszyscy mają jednakowe zdania, poglądy i działania.

Jeśli poza tym podejmuje się polemikę z innymi poglądami i postawami, to trzeba używać argumentów, a nie wykrzykiwać, że ktoś odważył się inaczej myśleć. Tak się składa, że akurat podzielam zdanie Anny Tatarkiewicz o umiejętności mycia, jaką posiadł Marek Kotański. I co z tego? Czy przez to stracił na autorytecie?

A w ogóle byłoby najlepiej, gdyby każdy dobrze robił to, do czego się zobowiązał umową o pracę.

REDAKTOR DYŻURNY

Na południe od Czernobyla (4)

Czekając na powrót

ROMAN KUBIAK

Z pokładu śmigłowca wyraźnie widać granice trzydziestokilometrowej strefy wokół Czernobyla. Skażony obszar ma kształt eliptyczny, wydłużony w kierunku północnym, dokąd przemieszczała się radioaktywna chmura! Na szczegółowych stale uaktualnianych mapach terenu, czerwona graniczna linia przecina drogi i pola, odgradza od normalnego życia wyludnione miasteczka, wsie i osady zamykając je w niedostępnym kręgu. Jeszcze bardziej na północ, już na ziemi białoruskiej i poza czernobylską strefą bezpośredniego zagrożenia, również utrzymuje się podwyższona radioaktywność — zwłaszcza w obwodzie homelskim. Wykryto tam kilka „wysepek", na których osiadła warstwa promieniotwórczego pyłu. Spowodowały to warunki atmosferyczne i charakterystyczna rzeźba terenu. Z tych rejonów także ewakuowano ludzi i zwierzęta.

GRANICA STREFY

przypomina granicę państwa. Na zablokowanych drogach ustawione są zapory i punkty kontrolne. Sieć punktów kontrolnych spełnia dwojaką rolę: czuwa, by na skażony obszar wchodzili tylko odpowiednio zabezpieczeni ratownicy oraz prowadzi dezymetryczne badania pojazdów. Po obu stronach zapór panuje wzmożony ruch. Szosami biegnącymi po „czystej" ziemi ciągną konwoje wyładowanych ciężarówek. Wiozą urządzenia i środki do dezaktywacji. Drogami na „brudnej" ziemi inne pojazdy rozwożą ów sprzęt w rejony gruntownego odkażania gleby, domów, ulic, placów i drzew. W kilku przygranicznych punktach oraz we wsiach Nowyje Sokoły, Oranie i Dibrowa zbudowano składy tego wszystkiego, czego potrzebuje ukraińska i białoruska ziemia, aby znowu mógł na niej bezpiecznie zamieszkać człowiek.

Ze skażonej strefy ewakuowano ponad sto trzydzieści tysięcy ludzi. Wszyscy oni porzucali swe domostwa nie wiedząc kiedy i czy w ogóle do nich powrócą. Wyludniło się blisko trzydziestotysięczne miasto Prypeć, w którym wraz z rodzinami mieszkali pracownicy elektrowni atomowej. Opustoszał Czernobyl i okoliczne wioski. Na Białorusi, w południowo-wschodniej części republiki ewakuowano ludność z pięćdziesięciu wsi i osad leżących w pobliżu miast Chojniki, Bragin i Narowlia.

Pospiesznie i zaledwie z garstką dobytku opuszczały swe domy tysiące zlęknionych ludzi. Był to dramat, którego nie sposób wiernie odtworzyć. Tym bardziej, że człowiekowi przyszło uciekać przed wrogiem niedostrzegalnym — lecz śmiertelnie groźnym. Tu była niezbędna wyobraźnia i odrobina wiedzy, której nigdy dotąd nie dostarczało codzienne życie ani historia. Prości ludzie z zagrożonych wiosek często nie chcieli uwierzyć, że czający się w powietrzu niedostrzegalny wróg ma aż tak potworną moc niszczenia, że trzeba przed nim uciekać jak przed frontem okrutnej wojny — przed widzialnymi czołgami i zabójczym ogniem dział. Więc starzy ludzie, którym nieobce jest oblicze odzianego w mundur najeźdźcy, nie dawali wiary złowieszczym słowom i chowali się w zakamarkach domowych piwnic. Dla nich jedynym zwiastunem nadciągającego dramatu była „żywa" łuna pożaru w atomowej elektrowni. Sądzili, że ten pożar można przeczekać, zaś jego żniwem będą tylko wypalone zgliszcza i ulotne dymy. A potem będzie można wyjść z bezpiecznych piwnic i żyć po dawnemu, radując się plonami tłustej ukraińskiej ziemi...

W Kijowie wielokrotnie słyszałem opowieści o sędziwych ludziach spod Czernobyla, których nie udało się przekonać do ewakuacji. O pewnej starej kobiecie, która w kilka dni po jądrowym wypadku opuściła swą piwniczną kryjówkę, by zdobyć kawałek chleba. O tym jak poczłapała pustą drogą przez opustoszałą mieścinę, gdzie nie zapiał kur i milczały porzucone zegary. Gdzie na skraju osady dostrzegła przedziwny nieziemski pojazd i człekokształtne istoty w białych skafandrach, które na widok samotnej kobiety zastygły w osłupieniu...

Nie zabrakło w tych opowiadaniach zawsze z otuchą wygłaszanego finału. Mówił on, że staruszkę wyprowadzono ze skażonej strefy i umieszczono w szpitalu. Tam po skrupulatnych badaniach lekarze z niekłamanym zdziwieniem orzekli, iż kobieta jest zdrowa, a jej organizm wykazał szczególną odporność na radiację.

Nie dociekałem, ile w tej historyjce jest prawdy, a ile tak bardzo potrzebnego optymizmu. Bo w obliczu atomowej tragedii człowiek najbardziej łaknie odrobiny nadziei. Człowiek, który nagle czuje swą bolesną bezradność i paraliżującą niemoc. Jest mały, słaby i bezbronny wobec wszechobecnej niewidzialnej śmierci. Dlatego uparcie poszukuje najdrobniejszych zdarzeń, najodleglejszych nawet przypadków litościwego losu, które dadzą mu choć szczyptę nadziei. Odrobinę nadziei, że jądrowa katastrofa zostawia człowiekowi jednak cień szansy.

Profesor Robert Gale, amerykański lekarz, który przeszczepami szpiku kostnego ratował życie ofiar czernobylskiej tragedii, surowo ocenił, iż w wyniku opadu radioaktywnego pyłu ponad stu tysiącom ludzi zagraża straszliwa choroba — rak.

Inni lekarze dają więcej nadziei.

Doktor Anatolij Pozmogow, dyrektor Ukraińskiego Instytutu Radiologicznego uważa za ryzykowne wypowiadanie tak jednoznacznie brzmiących sądów, gdyż

NAUKA NIE ZNA DOKŁADNEJ ODPOWIEDZI

na pytanie, jaka dawka promieniowania wywołuje raka.

Ludność ewakuowana z okolic uszkodzonej elektrowni poddawana jest okresowym badaniom w klinikach i szpitalach. Te badania będą prowadzone przez kilkadziesiąt lat, by możliwie szybko wykryć każdy objaw choroby popromiennej i przystąpić do jej leczenia. Dla dziesiątków tysięcy świadków czernobylskiej awarii będą to na pewno długie lata ciągłej niepewności. Lata życia naznaczonego piętnem przyczajonej choroby. I ciągłej nadziei, że może jednak nie...

Ewakuowani znaleźli tymczasowe schronienie w pobliskich miastach, wsiach i ośrodkach wypoczynkowych oddalonych o setki kilometrów od porzuconych rodzinnych domów. Ich sytuacja jest bardzo trudna. Większość nie zdążyła nawet spakować i zabrać najpotrzebniejszych rzeczy: bielizny, ciepłej odzieży, butów, pieniędzy. W tę kwietniową noc wielkiej ucieczki wielu przebudzonych ze snu, kompletnie zaskoczonych ludzi ocknęło się na obcej ziemi często w jednej tylko pospiesznie narzuconej koszuli. A tam, w Czernobylu i Prypeci zostały ich otwarte mieszkania z całym dobytkiem, do których jeszcze nie mają dostępu.

Czekając na dzień powrotu do domów, ewakuowani pracują w gościnnych fabrykach i kołchozach; dzieci uczą się w zastępczych szkołach. W Prypeci personel uruchamiający pierwszy i drugi blok elektrowni mieszka na pokładach zacumowanych w porcie statków. Ponad stu tysiącom ludzi wypłacono zasiłki, których łączna suma przekroczyła osiemset milionów rubli. Z tej kwoty, pięćset dwadzieścia milionów rubli pochodziło od imiennych i anonimowych ofiarodawców.

Z pomocą poszkodowanym spieszą mieszkańcy najodleglejszych stron kraju. Ślą paczki z odzieżą i artykułami gospodarstwa domowego, na urlop i wakacje zapraszają pod swój dach. Lecz obok przejawów szlachetności, ponurym cieniem kładą się przypadki najzwyklejszej podłości. Pewna mieszkanka obwodu kijowskiego tak napisała w liście do „Prawdy":

„Moi bliscy — matka i ojczym, ewakuowani z rejonu czernobylskiego nie wzięli ze sobą niczego. Wszystko zostało w opuszczonym domu. Rzeczy pozostawiono tak, jakby gospodarze wyszli gdzieś tylko na minutę. Minął pewien czas i ojczym mógł odwiedzić dom. Mieszkanie wyglądało już zupełnie inaczej. Zamki były wyrwane, a wszystkie drzwi szeroko otwarte. Ktoś znalazł słoiki z kompotami i zapewne pomyślał, że jest w nich nalewka. Słoiki zostały otwarte. Ojczym dokładnie zamknął mieszkanie, ale po upływie dwóch tygodni historia znowu się powtórzyła — zamki ponownie wyrwano, wybito okno, połamano szafę, a wszystkie w niej rzeczy przetrząśnięto. Na podobne przypadki skarży się wielu innych, może więc nasza wieś została porzucona na pastwę losu?".

Mimo rozlicznych barier i punktów kontrolnych, mimo odgrodzenia skażonej strefy od terenów „czystych", bywa że w głąb wyludnionego obszaru przedostają się złodziejskie szajki. Docierają do opuszczonych domostw grabiąc drobne, co cenniejsze przedmioty, które łatwiej wynieść w drodze powrotnej. Z niskich pobudek żerują na ludzkim nieszczęściu ryzykując zdrowiem i życiem. Ale nie tylko własnym. Bo przecież skradzione przedmioty bardzo często pokrywa niewidoczna warstewka radioaktywnego pyłu, który bezmyślne ręce roznoszą tam, gdzie nikt nie spodziewa się zabójczego przybysza.

Strefy nie można otoczyć ciasnym kordonem strażników ani gigantycznej długości płotem. Zresztą pośród pól i lasów granica skażenia jest pojęciem umownym. Radioaktywny pył nie zważa na takie przeszkody. Granica jest także po to, by skażony teren zamknąć w jej obrębie na tak długo, aż połacie żyznej ziemi będą zdolne rodzić zdrowy chleb. Takie jest pierwsze zadanie pracujących tutaj ludzi. Dlatego nie

Wielu próbuje zagospodarować się w nowym otoczeniu. Urządzić się jakoś, ale nie zapuścić korzeni. Mieszkać w gościnnych domach i cierpliwie czekać dnia upragnionego powrotu, pilnie śledząc meldunki spod Czernobyla. A meldunki nie dla wszystkich są pomyślne. Dla niektórych oznaczają długie rozstanie z tamtym odległym domem. Bo mimo systematycznie prowadzonej dezaktywacji kolejnych osad i miast w skażonej strefie, nie ma jeszcze dostatecznej gwarancji, że w pobliżu atomowej elektrowni bezpiecznie zamieszka człowiek.

Dlatego na Ukrainie i Białorusi wyrastają nowe miasteczka i osiedla z całkowicie wyposażonymi mieszkaniami. Z nowymi szkołami, przedszkolami i sklepami. Wiodą do nich świeże asfaltowe drogi, po których niebawem przejadą autokary z ewakuowanymi rodzinami. Dla nich te rodzące się dopiero, nie nazwane jeszcze osiedla mają stać się nową przystanią. Być może na zawsze.

Tymczasem w Czernobylu oddalonym o niespełna osiemnaście kilometrów od jądrowej elektrowni przebywają ratownicy oraz ekipy techniczne nadzorujące rozruch dwóch reaktorów. Ulicami miasta ciągle jeżdżą stada polewaczek spłukujących wszędobylski pył. Jak relacjonowali korespondenci, już w maju otwarto tu kino i zakład fryzjerski. Pojawiły się samochody dostawcze, z których prowadzono sprzedaż artykułów spożywczych. Ale ruch w mieście daleki jest od normalnego codziennego rytmu. Najlepiej świadczą o tym gromady od miesięcy unieruchomionych prywatnych aut i przygnębiająco ciche osiedla mieszkaniowe, gdzie na balkonach powiewa uprana w kwietniu bielizna....

W listopadzie spadł pierwszy śnieg. Śnieg jest sprzymierzeńcem człowieka żyjącego pod atomowym wulkanem. Biała puszysta czapa przykrywa każdy skrawek odsłoniętej ziemi, więżąc pod sobą drobinki promieniotwórczego pyłu. Tego pyłu, którego nie da się usunąć z naszej planety. Można go tylko zamknąć w szczelnych pojemnikach, zalać betonem i asfaltem, schować w ołowianych kapsułach, pogrzebać w kamiennych silosach. Tyle można. Ale pył na zawsze pozostanie gdzieś obok strasząc pokolenia swym zabójczym sąsiedztwem. Pył, który jest ceną atomowej epoki.

Kiszyniów

GRZEGORZ GAŁASIŃSKI

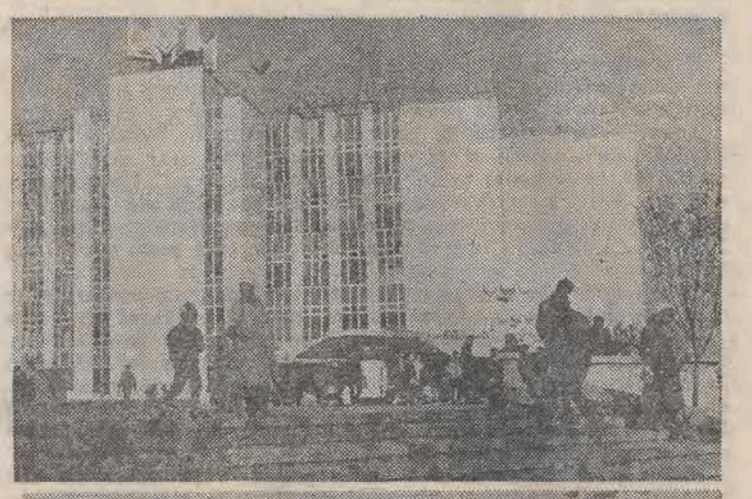

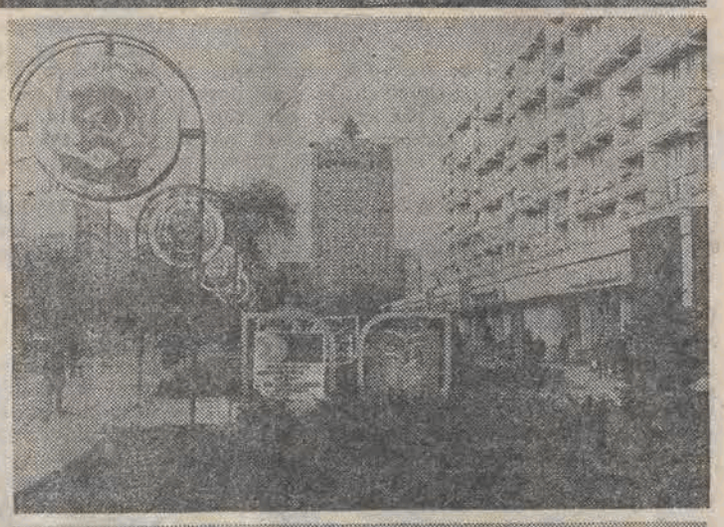

Wykradziony szpieg

ZOFIA KĘDZIORA

Czy Izrael ma bombę atomową? To pytanie wielokrotnie już powracało na łamy gazet. Ostatnio prasa światowa spore miejsca poświęciła tej kwestii w związku ze sprawą Mordechai Vanunu.

Wydarzenia tak się ułożyły, że mogą posłużyć za scenariusz filmu sensacyjnego. Główny bohater Mordechai Vanunu pracował do listopada 1985 roku w ośrodku atomowym Dimona w Izraelu. Rozejrzał się tam bardzo dokładnie i zrobił nawet „pamiątkowe" zdjęcia, kiedy zrozumiał, że w Dimona prowadzone są prace nad produkcją bomby wodorowej.

Później wyjechał do Australii, gdzie zetknął się z Oscarem Guerrero, podejrzanym osobnikiem, który namówił go, aby informacje i zdjęcia sprzedać „Sunday Times". Gazeta była zainteresowana transakcją i przysłała nawet do Australii we wrześniu 1986 roku swojego pracownika, aby zbadał sprawę i omówił warunki publikacji.

Następnie Mordechai Vanunu przeniósł się z Australii do Londynu, bo tam według Oscara Guerrero mieli podpisać z gazetą kontrakt na sumę 210 tysięcy funtów (300 tys. dolarów amerykańskich). „Sunday Times" zaprzeczył temu: Guerrero nigdy nie zdobył sobie zaufania gazety i nie był brany pod uwagę w całej tej sprawie, a Vanunu zwrócono tylko pieniądze za bilet lotniczy i opłacono koszty hotelu. (Potem okazało się, że Guerrero znany był w Interpolu jako oszust specjalizujący się w wyciąganiu pieniędzy od gazet.)

W Anglii Vanunu ogarnęła panika, bo zdał sobie sprawę, co może go spotkać za zdradzenie tajemnic kraju, gdy dostanie się w ręce Mossad — izraelskich służb bezpieczeństwa działających poza terenem państwa. Toteż, aby zwiększyć własne bezpieczeństwo zmieniał często hotele, a poza tym zobowiązał gazetę do trzymania w ścisłej tajemnicy miejsca jego pobytu. Tylko dwie osoby w redakcji znały nazwę hotelu, w którym aktualnie mieszkał.

Najprawdopodobniej jednak, Mossad był bardzo dobrze poinformowany o zamiarach Vanunu, o tym, że chce sprzedać izraelską tajemnicę oraz wiedział gdzie przebywa. Pozostało tylko wywabienie go z kryjówki, a nastąpiło to szybciej i łatwiej niż można się było tego spodziewać.

Jako przynęty Mossad użył kobiety. Była nią Amerykanka o imieniu Cindy. Reporter „Sunday Times" opisał ją w sposób następujący: dwadzieścia kilka lat, wysokość — 5 stóp i 5 cali, pulchna blondynka w brązowym tweedowym ubraniu, wyglądała na Żydówkę. Poznali się „przez przypadek" na ulicy na kilka dni przed zniknięciem Vanunu. Był nią bardzo zainteresowany. Zwierzył się reporterowi „Sunday Times", że dziewczyna mimo jego nalegań nie chce z nim sypiać, a nawet nie powiedziała, w którym hotelu mieszka.

Mordechaja Vanunu bardzo wyczerpała ciągła obawa przed Mossad, a poza tym był również zniecierpliwiony oczekiwaniem na publikację jego sprawozdania o tym, co naprawdę dzieje się w ośrodku atomowym Dimona. (Zwłoka spowodowana była tym, że reporterzy „Sunday Times" ciągle jeszcze sprawdzali w Izraelu jego wiarygodność i rzetelność informacji.) Tymczasem „Sunday Mirror" ubiegł „Sunday Times", bo 28 września 1986 roku opublikował materiały ujawniające izraelską tajemnicę.

Artykuł w „Sunday Mirror" zaszokował i jednocześnie bardzo zdenerwował Vanunu. Zaraz po przeczytaniu go wyszedł z hotelu, aby spotkać się z Cindy (sam, bo nie chciał, żeby ktokolwiek mu towarzyszył). Zadzwonił później do redakcji i oświadczył, że ma zamiar wyjechać z miasta. Powiedział: — „Muszę zniknąć, nie chcę by ktokolwiek wiedział gdzie jestem". Jeszcze tylko obiecał na zakończenie, że będzie dzwonić dwa razy dziennie i nie opuści Anglii. Był to ostatni z nim kontakt. Potem okazało się, że jest w Izraelu i przebywa w więzieniu.

Przypuszczalnie Vanunu wraz z Cindy wyjechali w rejs wynajętym jachtem, a gdy znaleźli się na międzynarodowych wodach agenci Mossad podpłynęli do nich i zaaresztowali byłego pracownika ośrodka atomowego Dimona. W tej operacji ważne było, aby porwanie nie odbyło się na terytorium angielskim. Shimon Peres, według „Sunday Times" poinstruował szefa Mossad, że w żadnym wypadku przeprowadzona akcja nie może spowodować naruszenia angielskiego prawa. Shimon Peres nie chciałby sprawiać kłopotów Margaret Thatcher, jego zdaniem, najbardziej proizraelskiemu premierowi, jaki kiedykolwiek rządził.

Nie wiadomo jak potoczyły się wydarzenia i nie wiadomo, czy kiedykolwiek będzie to ujawnione. Izraelczycy nie przyznają się do porwania, twierdzą, że Mordechai Vanunu wrócił z własnej woli. Nie jest to jednak prawdopodobne. Zdawał on sobie dobrze sprawę, jakie podjął ryzyko podając prasie angielskiej informacje o tak dużej wadze państwowej.

Obecnie toczy się przeciw niemu w Izraelu rozprawa sądowa, jest oskarżony o szpiegostwo. Nie ma pewności, czy wszystkie te wydarzenia nie były sfingowane, bo jak sądzą niektórzy komentatorzy, Izrael chce, aby dla zastraszenia świata arabskiego uważano go za potentata atomowego. Jeśli jednak tak nie jest, to przyszłość tego byłego pracownika izraelskiego ośrodka atomowego rysuje się w bardzo ciemnych kolorach.

Falcon, obłąkany cesarz narkotyków (1)

„Tajemne imperium" („L'Empire clandestin"), Jamesa Millsa — obecny bestseller amerykański — jest owocem reportażu obejmującego cztery lata pośród największych potentatów światowego handlu narkotykami. Autor mógł go zrealizować dzięki stosunkom, jakie udało mu się nawiązać z niektórymi przestępcami (oraz dzięki poparciu FBI). Dochodzenie to dowodzi, że istnieje prawdziwe światowe imperium narkotyków, które opiera się na ukrytych powiązaniach między przestępcami i handlarzami wielu krajów. To tajne imperium miałoby kilkakroć większe wpływy niż mafia. Autor rozmawiał z jego szefami: zabójcami, siepaczami, chińskimi generałami tajnych armii opium. James Mills maluje nieprawdopodobny portret jednego z tych wielkich bossów zbrodni, Alberto Sicilii -Falcona, który zorganizował przemyt narkotyków ze swego zamku w Tijuana w Meksyku do Stanów Zjednoczonych. Z książki Jamesa Millsa, która ukazała się na przełomie listopada i grudnia, wybraliśmy właśnie portret tego potwora.

Aby zrozumieć jak głęboko może sięgać w wielkich krajach międzynarodowa zbrodnia — kontrolując partie polityczne, policję, służby wywiadowcze, wymiar sprawiedliwości — należy zacząć od Alberto Sicilii-Falcona.

Czterdziestoletni przystojny brunet, homoseksualista, Alberto Sicilia-Falcon należy do świata strzeżonych domów — fortec, samochodów na zamówienie, wyścigowych łodzi, szampana marki Don Perignon, cygar Montecristo, liczącej się na kilogramy kokainy. Organizowane przezeń nocne przyjęcia — na transatlantyckich jachtach, w hotelowych salach balowych czy mieszkaniach prywatnych na trzech kontynentach — bawiły przywódców politycznych, przemysłowców, gwiazdy kina, międzynarodowych przestępców, oficerów wywiadu. Łapówkami i prezentami bywały włoskie samochody sportowe i klejnoty wartości milionów dolarów.

Falcon, Kubańczyk osiadły w Meksyku, zamieszkiwał wraz ze swym młodym przyjacielem wiele domów, spośród których „Okrągły Dom" to prawdziwa forteca w kształcie okręgu. Jego służba ochrony osobistej prowadziła bitwy, porywała statki, zabijała, kradła — za wiedzą władz meksykańskich i pod jej osłoną.

Pieniądze Falcona zostały zdeponowane w bankach pół tuzina krajów (...) Jego wpływy rozciągały się na służby wywiadowcze wielu krajów, m.in. Meksyku, Kuby i Stanów Zjednoczonych.

Na przemian uroczy człowiek i morderca, rozdawał miliony dolarów swym przyjaciołom i skazywał na śmierć niezliczonych wrogów. Jego głównym dążeniem było zawsze posiadanie władzy — nad przyjaciółmi, nad wrogami, nad całym światem. Jej narzędziami były pieniądze i śmierć. W jaki sposób Alberto Sicilia-Falcon zdobył taką władzę? Od czego zaczął? Jaką otrzymał pomoc?

Aby na to odpowiedzieć, zacznijmy od zbadania nielicznych znanych faktów z jego tajemniczej przeszłości.

Alberto Sicilia-Falcon urodził się 30 kwietnia 1945 roku w Matanzas, portowym mieście, położonym na północnym wybrzeżu Kuby, o jakieś osiemdziesiąt kilometrów na wschód od Hawany, gdzie, podobno, uczęszczał do katolickiej szkoły podstawowej. W wieku piętnastu lat, dwa lata po dojściu do władzy Fidela Castro, wylądował w międzynarodowym porcie lotniczym w Miami na pokładzie samolotu Pan American — lot 422 — jako uchodźca polityczny. Jego ojciec, Cristobal Sicilia, i matka, Hilda Falcon, również uciekli do Miami. W podaniu o wizę studencką, datowanym w dniu, w którym przybył do Stanów Zjednoczonych, Falcon wymienił „diecezję w Miami", jako instytucję przyjmującą go w celu „podjęcia studiów". Później, jak wieść niesie, Sicilia-Falcon studiował, aby zostać księdzem katolickim.

W wieku osiemnastu lat, Falcon zaciągnął się do armii amerykańskiej jako zwykły żołnierz i został wysłany do Fort Jackson, Columbia (Płd. Karolina). Wyraził zgodę, aby żołd w wysokości 123 dolarów i 10 centów został wysłany rodzicom. Miejscowy sędzia, przedłużając jego pobyt w Columbii, skazał go na piętnaście dni aresztu i 15 i pół dolara grzywny za złe prowadzenie się oraz 50 i pół dolara i trzydzieści dni aresztu za stawianie oporu władzy.

Dwa lata później, zdemobilizowany powrócił na Florydę i uczęszczał do szkoły drugiego stopnia w Miami. Jednocześnie pracował jako urzędnik w supermarkecie, strażnik w banku, sprzedawca u kwiaciarza. Wraz z przyjacielem został zatrzymany w ogrodzie publicznym w Miami o godzinie za dwadzieścia pierwsza w południe za akty wandalizmu.

W marcu 1966, miesiąc przed dwudziestą pierwszą rocznicą urodzin, Falcon miał w Miami proces, oskarżony o dopuszczenie się gwałtu (*„co znaczy, że wyżej wymieniony Alberto Sicilia włożył pod przymusem penisa rzeczonemu* (nazwisko wymazane) *w usta, dopuszczając się naruszenia ustawy 800.01 Stanu Floryda"*) i pozostawiony został na wolności z obowiązkiem meldowania się na policji. Nakazano mu *„nie oddawać się szkodliwym i występnym aktom, prowadzić życie czyste, uczciwe i wstrzemięźliwe, żyć zacnie, i pilnie wykonywać legalną pracę"*.

Wymagano również odeń, by poddawał się okresowym badaniom psychiatrycznym. Raporty policyjne opisują go jako chłopca metr siedemdziesiąt pięć, siedemdziesiąt kilo wagi, o czarnych włosach i oczach, z małą blizną nad lewą brwią. Fotografia ukazuje przystojnego młodego człowieka w marynarce i krawacie, o nieco być może tłuściutkiej twarzy.

Mając 23 lata, Falcon poślubił Jill Waller, młodą, 19-letnią dziewczynę pochodzenia niemieckiego, zamieszkałą na Florydzie, gdzie jej ojciec był szefem miejscowej policji. Ślub odbył się w Nowym Jorku. Dzieci nie mieli; kilka miesięcy później rozpoczął się proces rozwodowy.

Falcon opuścił Wschodnie Wybrzeże i, dziesięć dni po ucieczce z motelu w San Diego, gdzie nie uregulował wynoszącego 37 dolarów rachunku, udał się do Tijuana (Meksyk) przekraczając granicę w San Diego. Gdy wieczorem chciał bez dokumentów wrócić do Stanów, oświadczył celnikom, że jest obywatelem amerykańskim. Okazało się to fałszem i został aresztowany. Miesiąc później, lekarz służby zdrowia zawiadomiony, że Falcon naruszył reguły pozostawania pod nadzorem, zbadał go i wystawił diagnozę: „Zaburzenia osobowości, dewiacja seksualna, homoseksualizm".

Funkcjonariusze meksykańscy nie pozwolili, by Falcon powrócił do Meksyku; pozwolono mu na pobyt w Stanach Zjednoczonych, prawdopodobnie po to, aby mógł znaleźć się wraz z rodzicami i żoną w Miami.

Nie ma praktycznie żadnych budzących zaufanie dokumentów dotyczących lat następnych. Pozostaje kilka wskazówek. Gdy Falcon zapłacił czekiem za nowego, odkrytego Rolls-Royce'a, przedstawił jako dokument tożsamości paszport kubański wystawiony 12 października 1972 roku. Co robił w Hawanie? Patrząc wstecz, wydaje się możliwe, że pracował dla jednej albo też kilku służb wywiadowczych.

C.D.N.

Według „Paris Match"
przełożył:
BOGDAN
BANASIAK

Chce grać, mieć spokój i tęskni za Argentyną

— Diego Maradona, czy jest pan królem futbolu?

— Był tylko jeden król — Pele, ale jego czas minął.

— Jak by pan sam siebie oceniał w zestawieniu z Pelem?

— Mam jaśniejszą skórę...

— ... a czy ma pan więcej zręczności w nogach?

— Pochlebia mi to, naturalnie, kiedy się mnie z nim porównuje, ale tak dobry jak Pele nie może być nikt. Pele umiał po prostu wszystko. Poza tym jest bardzo trudno robić takie porównania.

— Pomimo tego prasa pisze: „Maradona przewyższa Di Stefano jako mistrza rozgrywki, Pelego jako czarodzieja piłki, a Beckenbauera jako organizatora".

— Nie jestem od nich lepszy. Owszem, mam talent, ale żeby być dobrym, trzeba ciężko harować. Nie traktuję siebie jako zjawiska wyjątkowego...

— ... a więc nie tak, jak piszą gazety, że jest pan „nadziemskim cudem futbolu"?

— Nie wierzę w cuda, one po prostu się nie zdarzają, a w każdym razie nie w piłce. Los okazał się dla mnie łaskawy i to wszystko.

— Doprawdy, nie musi pan być aż tak skromny.

— Dlaczego miałbym mówić co innego? Nie robię sobie żadnych złudzeń. Kiedy przegrywasz, wtedy jesteś najgorszy, kiedy wygrywasz, jesteś największy. Żebym nie wiem jak czarował, nie tylko zechcę, to kiedy moja drużyna przegrywa, kibice są źli również na mnie.

— Ale dla miłośników piłki w Neapolu jest pan bożyszczem. Losy, a przynajmniej nastrój całego miasta zdają się zależeć od pana dryblingu. Czym pan to tłumaczy?

— Nie przestałem być realistą i powiem wprost, że jeśli Maradona nie będzie miał sukcesu, to zostanie wylany. To jest zupełnie pewne.

— A czy myśli pan o tym nieraz, że pańską karierę może zakończyć jeden faul, jedno rozmyślne kopnięcie w kostkę?

— Doświadczyłem tego już trochę na własnym ciele. W Hiszpanii Goicoechea rozharatał mi właśnie kostkę i wtedy pomyślałem sobie, że to już koniec z piłką, że kariera Maradony nieodwołalnie się skończyła.

— A czy istnieje taki kraj, gdzie nie chciałby pan zagrać w piłkę?

— Nie, nie. Jak długo pozostawia mi się wolność na boisku, jest mi obojętne gdzie będę występował. Mógłbym nawet na pustyni.

— Maradona w Arabii Saudyjskiej? To byłaby zupełnie nowa perspektywa.

— Gdybym nie miał propozycji z żadnego innego kraju, dlaczego nie miałbym wystąpić wtedy w Arabii Saudyjskiej?

— A może pan sobie wyobrazić swoje czary w lidze Republiki Federalnej?

— Tak. Niemiecki futbol bardzo mi się podoba. W tych dniach nawet często mówiło się, że chce mnie kupić Bayern Monachium. Byłaby to jakaś dla mnie możliwość, nawet bardzo korzystna. Można by to mieć na uwadze.

— A jakie warunki musiałyby być spełnione, żeby umożliwić taką zmianę?

— Właściwie w ogóle żadne. Chcę mieć spokój i chcę grać w piłkę, to wszystko! Ale kiedy mówię o spokoju, myślę przede wszystkim o niewiarygodnym chaosie tu w Neapolu. Wszystko tu się rozdmuchuje, wyolbrzymia...

— ... przede wszystkim dotyczy to życia prywatnego, jak zapewne pan myśli? Czy czegoś innego?

— Moje prywatne życie nie powinno nikogo obchodzić, bo jest właśnie prywatne. A ponieważ ludzie nic o nim nie wiedzą, zmyślają po prostu wszystko. O mojej pracy na boisku mogą sobie ludzie mówić co chcą, to mi nie przeszkadza, ale plotki o moim życiu prywatnym?! Nie i jeszcze raz zdecydowanie — nie!

— Gdyby mógł pan wybierać, to z jakim niemieckim graczem chciałby pan współdziałać na boisku?

— Matthäus, Völler, tak, i naturalnie Kalle Rummenigge. Jest on dla mnie w ogóle jednym z najlepszych. Albo Matthäus, który jest rzeczywiście nadzwyczajny, potrafi wszystko, ma siłę, jest szybki, doskonały technicznie, wszystko o czym gracz może marzyć.

— Dlaczego po prostu nie przenosi się pan do Monachium?

— Przedtem musiałby mnie Bayern kupić.

— Na kupno pana znalazłyby się z pewnością potrzebne grosze.

— No cóż, zobaczymy.

— Czym jest dla pana właściwie futbol? Przyjemnością, zabawą, czy twardą pracą?

— Nikt nie kocha futbolu bardziej niż ja. Przepadam za piłką. Futbol jest dla mnie twardą, uczciwą pracą, ale bez radości gry nic się nie zdziała. Dziesięć lat temu zostałem profesjonalistą, ale gram w piłkę z takim zapałem, jak dawniej.

— A czy dość już zarobił pan pieniędzy?

— O tak, mógłbym przestać grać. Pieniądze nie oznaczają jednak bezwarunkowo szczęścia. To futbol jest moim szczęściem, moim kontaktem z ludźmi. A co znaczą pieniądze? Będę grał jeszcze tak długo, jak starczy mi sił.

— Nie tęskni pan za Argentyną?

— Owszem, tęsknię, nawet bardzo. Kiedy wygasną moje umowy w Europie, na pewno wrócę.

— Innymi słowy: „gastarbeiter" Maradona odczuwa niekiedy osamotnienie?

— Naturalnie. Byłoby nonsensem temu zaprzeczać.

(„Der Spiegel")
Przetłumaczył: J. K.

Wszystko było możliwe. Nawet górę wysadzili w powietrze...

Hej, Bieszczady!

JAN NOSKO

Dotarli do celu podróży. Zatrzymali się na szosie i, nie zdejmując plecaków, chłonęli roztaczający się przed nimi widok. Szary, odrapany, jakby wklęśnięty w ziemię barak, z oknami przesłoniętymi zardzewiałymi kratkami. Dróżka okalająca budynek, porośnięta trawą i chwastami, gdzieniegdzie prześwitujący piasek — ślad, że tędy przechodzili kiedyś ludzie. Ganek, a raczej jego resztki z dziurawym dachem podpartym w jednym miejscu spróchniałym drągiem i podłoga, w której zostało niewiele zgniłych desek. Na prawo, w niejakim oddaleniu — dwa drewniane budynki. Jeden z zardzewiałym wysokim blaszanym kominem. Drugi, tylko zadaszony, z drabinami na siano dla koni.

Poranna mgła coraz bardziej opadała i rozrzedzała się. Nad Smerekiem błysnęła smuga słońca. Oświetliła barak, zabudowania i okolicę. Kalnica. Cisza. Podróżni chciwie rozglądali się dookoła. Nastawiali uszu, jakby chcieli coś usłyszeć. Ale nic nie zakłóciło niezmąconego spokoju tego miejsca. Zaczęło ich ściskać w gardle. Spojrzeli na siebie jakby nie mogli zrozumieć. Kalnica i cisza!

Czy to jest możliwe?...

— Ojcze nasz, któryś jest w niebie, święć się imię Twoje...

Student uniósł powiekę, ciężką od skutków niedzielnego picia. W porannym blasku wschodzącego słońca zobaczył sienkiewiczowskich Kiemliczków. Trójka mężczyzn solidarnie klęczała na podłodze. Stary Hazłuk oparł łokcie na zydlu, dwaj synowie opierali się o żelazne łóżko, jedno z wielu znajdujących się w barakowym pomieszczeniu. Pochyleni, wolno odmawiali pacierz.

— ...przyjdź królestwo Twoje...

— Rrrym, rrrym, rrrym — to Czesiu Bieruzi zwany Starym Lisem rozpoczął poranną kanonadę.

Młody „Kiemlicz" — Kaźko Hazłuk parsknął śmiechem. Zawtórowało mu kilku innych leżących na łóżkach. Stary odwrócił głowę zmarszczoną i poczerwieniałą z gniewu.

...i odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy naszym winowajcom — walnął pięścią w głowę śmiejącego się syna.

— Rrrym, rrrym — kontynuował kanonadę Stary Lis.

— Żebyś skonał heretyku śmierdzący, co się z wiary świętej naigrawasz — Hazłuk podniósł się z klęczek i wygrażał skręcającemu się ze śmiechu Staremu Lisowi.

— Cicho! Seans telewizyjny się zaczyna — wykrztusił Heniu Wyczynowiec.

Gromada mężczyzn półnagich i brudnych, ze śladami trudów przeżytej niedzieli, młodych, średnich i starych, zerwała się z pościeli i zgodnie przywarła do małych otworów przesłoniętych zawieszonymi gazetowymi obrazkami, aby przez tekturową ścianę obejrzeć poranek w pokoju zajmowanym przez obsługę kuchni.

Mania Plicha, wielkie rozczochrane babsko, groźny przeciwnik dla niezadowolonych z kuchennego jedzenia, ziewnęła, usiadła na łóżku, podrapała się po głowie obiema rękami, po czym zaczęła zdejmować nocną koszulę ukazując taką doskonałość swoich kształtów, że zgromadzeni przy ścianie mężczyźni wydali cichy okrzyk.

— Nasermater!

— Krucafiks!

— Zocha lepsza — powiedział ktoś nerwowo.

— Do macania kur!

— Ona jest subtelna — zauważył uczenie Student.

— Ha! Ha! Ha!

— Cicho! Krycha się budzi — Jasiu, zwany Piszpan przywarł silniej oko do otworu.

— Te! Bo ci ślip wyleci — potężny kopniak wcisnął Piszpana w tekturę po barki.

— Ach! Ty nasze niewiniątko — zakwiliła siedzącą na łóżku Krycha — Masz cycusia milutki — ruszyła w macierzyńskich zamiarach.

Anielska twarz Jasia Piszpana zapłonęła. Gwałtownym ruchem wyrwał głowę ze ściany i z całej siły zamachnął się na pierwszego mężczyznę stojącego za nim. Tamten zdążył uchylić się i Jasiu poleciał na podłogę.- Wszyscy tarzali się z uciechy.

Student podbiegał do leżącego i pomógł podnieść się.

— Dość stary! Musimy przecież dostać się na Majdan. Chciałbym już zacząć pracować.

Jasiu podniósł się i usiadł na łóżku.

W całym baraku ruch. Słychać było rosnący warkot przejeżdżających pojazdów — wywrotek, spychaczy, maszyn drogowych. Niektóre zatrzymywały się przy ganku. Kierowcy kupowali w barakowym kiosku chleb, kiełbasę i papierosy. Wypijali kufel piwa i jechali dalej. Wymieniali hałaśliwe uwagi o minionej niedzieli...

— Cholera! Przegrałem w oko całą zaliczkę. Pożycz dychę albo dwie a najlepiej stówę...

— Nakryłem starą z sąsiadem i obiłem mu mordę.

— Frajerze! Po co!...

— Chyba zmienię robotę. W lesie za duża harówka i te gzy, szlag człowieka może trafić...

— Julek mnie okradł, żeby skonał..

— Coś ty? Przecież to twój najlepszy kumpel, jak brat.

— Ale tam, nawet ubranie mi zabrał, zostałem tylko w gumiakach...

— Te! Ogier! — Piszpan zwrócił się do wysiadającego z szoferki drągala opalonego na brąz o kruczoczarnych włosach, szczerzącego zęby białe jak śnieg — podwieź nas na Majdan.

— Duże piwo, czasu mało wiele poczekajcie i szafa gra. — Ogier złapał Studenta pod łokcie, energicznym ruchem podniósł go w górę i cisnął w dół, jakby chciał wbić w ziemię. — Zgoda? — zapytał.

— Niech będzie — westchnął Piszpan. Wszedł na ganek i pochylił się do okienka.

— Jedno duże dla Ogiera — powiedział.

— To zamów i mnie. — Student nie mógł otrząsnąć się z oszołomienia.

Ogier jednym haustem wychylił kufel piwa i zniknął w drzwiach baraku.

— A on tam, po co? — zapytał Student.

— Do Mańki. Och! Żeby go pokręciło Szczęściarz. Każdego rana tak obraca.

— Nie może po pracy z nią pogadać — niecierpliwił się Student.

— Co takiego! Chłopie. Ile ty masz lat — Piszpan uważnie spojrzał na Studenta zastanawiając się czy jest normalny.

— Przecież wiesz — dziewiętnaście.

Piszpan pokiwał głową z politowaniem. Obejrzał się.

— No, idzie — zauważył — coś mu chyba jednak nie wyszło.

Ogier szybko przebiegł dystans od baraku do szoferki, nie oglądając się na boki. Ale Piszpan zauważył i zaczął się śmiać.

— Co! Pazurkami od rana. A to ci się trafiło — powiedział.

Ledwo zdążyli wskoczyć do szoferki. Ogier wściekły zapalił silnik, wcisnął sprzęgło i z całej siły nacisnął gaz. Wywrotką zakręciło na miejscu. Po czym ostro ruszyła do przodu.

— Uważaj Student! Zobaczysz jak się jeździ w Bieszczadach. Tylko trzymaj się mocno, bo możesz nie przeżyć...

I już sześćdziesiąt, osiemdziesiąt, i dziewięćdziesiąt. I nagle stop! Przełom i ostro do przodu. Student dwukrotnie stracił równowagę, boleśnie rozciął głowę i wybił kciuk. Kurczowo złapał się za fotel. A Ogier zgrzytał zębami i rżał jak koń. Obracał kierownicą w lewo, w prawo i znów w lewo. Hamulec i gaz. Hamulec i gaz. Stop i naprzód. Tłuczeń na drodze z gwizdem pryskał na boki. Kurz coraz bardziej gęstniał i wydawało się, że to nie wywrotka a białe tornado pędzi.

Nagle niesamowita ulga, wjechali na asfalt. Mignął napis przy drodze: Przysłup. Skok pod górę i zlot w dół. Studentowi wydało się, że nie jedzie a leci, niczym ptak. Porwał go pęd jazdy. Chciał krzyknąć. Z uniesienia zapomniał o bólu.

— Co? Odżyłeś — zaśmiał się Ogier — tu bracie wszystko jest na fest, nie na niby.

Minęli kilka gospodarstw. Ostry zakręt. Niedaleko wystrzelił słup dymu i potężny huk wstrząsnął doliną. Wywrotka zadygotała. Ogier dodał gazu.

— Ale wcześnie im się zebrało — powiedział Piszpan — rypią mocniej niż Stary Lis.

— Co to było? — zapytał Student.

— Chłopaki w kamieniołomach cygara odpalają — Piszpan puścił oko do Ogiera. — No i Dołżyca — dodał. — Zobacz tam. Widzisz ten barak i te gruzy — wskazał na drewnianą mocno prześwitującą budę oraz na stertę cegieł przy świeżo rozpoczętych fundamentach jakiegoś budynku. — Tu będziesz pracować. Zapamiętaj sobie. Bo z Majdanu sam tu musisz wrócić.

Wywrotka rwała szybko dalej. Wjechali w las, skręcili w lewo, przejechali przez most.

— Wysiadać kawalerka. — Ogier z całej siły nacisnął hamulec. — Majdan!

Szli w kierunku dużego drewnianego budynku o spadzistym dachu otoczonego rzadko rosnącymi drzewami bukowymi. Krzewy i wysoko rosnące chwasty na tle zalesionych gór dopełniały całości obrazu. Przed wejściem Piszpan podciągnął spodnie, chrząknął, zlustrował Studenta od stóp do głowy, skrzywił się i splunął.

— No, włazimy!

W środku pootwierane drzwi i otwarte okna. Na podłodze porozrzucane papiery. Pusto. Wydawało się, że nikogo jeszcze nie ma. Ale w jednym z pokojów zastali siedzącą dziewczynę. Trzymała głowę w rękach z łokciami opartymi o biurko. Długie włosy opadały na czoło. Wzrok przymglony, niewidzący. Wejście chłopców nie zrobiło na niej żadnego wrażenia. Dalej patrzyła w jeden punkt.

— My do Gieca — powiedział bezceremonialnie Piszpan. Dziewczyna ani drgnęła. — Człowieka do roboty przyprowadziłem. — Piszpan nieomal wykrzyczał — gdzie jest Giec?

— Tam — szepnęła cicho.

— Gdzie, tam? — Piszpan nachylił się do dziewczyny.

— Tam, pod drzewem — odpowiedziała i znowu pogrążyła się w apatii.

Student wyjrzał przez okno. Pod niedaleko rosnącym drzewem pośród pokrzyw, traw i łopianów przecierał się zarys czegoś lub kogoś leżącego.

— No to chodźmy. A ty — zwrócił się do dziewczyny — szykuj papiery, człowieka do roboty będziemy przyjmować.

Dziewczyna wolno wyciągała ręce spod brody. Najpierw jedną, potem drugą. Wreszcie spojrzała na Piszpana przeciągłym, smutnym spojrzeniem.

— Czy widziałeś Ogiera? — zapytała.

— A to co znowu — żachnął się Student — jakaś epidemia z tym Ogierem, czy co?

— Kij mu żesz w bok — odpowiedział zawistnie Piszpan. — Idziemy...

— Kto on jest? — zapytał Student, kierując głowę w stronę leżącego człowieka.

— Inspektor nadzoru Giec — odrzekł Piszpan. — Musiał sobie rano ostro dać na otrzeźwienie i go wzięło.

— No, to ładnie sobie nadzoruje — Student pokręcił głową z dezaprobatą.

— Panie Giec! Panie Giec! — powiedział Piszpan.

Leżący na boku człowiek uczynił wysiłek, jakby chciał otworzyć oczy. Bez rezultatu jednak.

— Panie inspektorze! — rzucił głośniej.

— Mhum, mhum — zabulgotało pod drzewem.

— No obudź się ty twoja mać — wrzasnął Piszpan.

Student przestraszył się — jak ty do niego mówisz?

Brew nad lewym okiem leżącego lekko się uniosła.

— Czego? — wychrypiał nie otwierając oczu.

— Człowieka do roboty przyprowadziłem.

Giec coś chrumknął i przewrócił się na plecy.

— No! — powiedział Piszpan z wyraźnym zadowoleniem — jesteś przyjęty do roboty...

— Spokój tam ludzie! Rozstąpić się! — Z tłumu przecisnął się stary Hazłuk, który był majstrem na tym odcinku budowanej szosy. Znowu zrobił się harmider, wzajemne przekrzykiwanie się i przepychanie. Każdy chciał dotrzeć do majstra i powiedzieć swoje.

— A ja wam mówię — wrzeszczał krótko ostrzyżony, z podbitym okiem, któremu udało się przedostać naprzód — po co mamy iść na lewo. Przecież tam jest rzeka i będziemy musieli budować most.

— Racja, racja — poparli go z tyłu — nazapieprzamy się krucafiks i nic nie zarobimy.

— Ale tak jest na planie — upierał się Hazłuk, wymachując zwiniętym papierem.

— Wytrzyj się i połknij — zakrzyczeli go.

— Przecie to jasne jak w dzień. Trza iść na prawo — wołał basem chudy o wystającej grdyce robotnik — od tej strony góra jest łagodna i nie ma tam wody. Szybko przejdziemy i dużo zarobimy. No nie!

— Ma chłop głowę — krzyczano.

— Czy wyście powariowali — wołał Hazłuk — ludzie opanujcie się. Ja tu mam narysowane, gdzie mamy robić. Nie będzie jajo mądrzejsze od kury. Jak ma być most, to będzie most — Hazłuk posiniał i ochrypł od krzyku.

— W morde go, nasermater — zawołało kilku — un nasermater nic nie klapuje.

Przez krzyczący i wyrażający tłum przedarł się Ogier. Przewyższał wszystkich o głowę.

— Cicho! Cicho! — krzyczał, ale dalej wrzało. — Cicho, wy mioty drogowe.

Ludzie przycichli. Hazłuk trzymał się za serce.

— Posłuchajcie człowieka — wołał Ogier — który ma mózg! O! Tu! — walnął się w czoło nadgarstkiem. — Stulcie ryje i wywalcie gały. Na przejaśniejszego czorta, na co wam iść w lewo albo w prawo — wołał. — Trza rozpieprzyć górę! Ot, co! — Spojrzał na wszystkich triumfująco.

— A to jakim cudem ma się to stać? — zapytał Hazłuk.

— Widzicie, tych tam elegantów, co to im się spieszy do kamieniołomów. Niech naborują dziur w tej górze, nawtykają cygar i hajda. Za godzinę wyrobicie tyle, co za tydzień. Co? Ma się pomyślunek!

— Un ma łeb — zawołał rudy, lekko przygarbiony robotnik. — No to jazda do roboty — zwrócił się do siedzących.

— Beka piwa i to duża, nie mała — powiedział siedzący za kierownicą.

— Dobra, wieczorem na Kalnicy. No — zwrócił się do rozprawiających nad nową sytuacją ludzi — idziemy.

Ruszyli. Tylko Hazłuk patrzył żałośnie na Ogiera.

— Coś ty znowu wymyślił — powiedział — jak nic będzie awantura.

— W zedempe nie takie rzeczy się robiło. Rrrewolucyjnie — odrzekł Ogier.

— Zedempe szlag trafił — powiedział Hazłuk.

— Ale mnie nie — zarechotał Ogier. — Trzeba mieć fantazję.

W dwie godziny później potworny wybuch przepołowił górę. Ruszyły potężne „stalince", spychając po drodze rozłupaną skałę, miał, ziemię i krzewy. Za nimi szli robotnicy oszołomieni i ogłuszeni. Ten i ów, jeszcze mocno przestraszony. Po chwili ujrzeli to, co było drugą stroną góry. Przebity został kolejny odcinek pętli bieszczadzkiej.

Student i Heniu Wyczynowiec wracali do Kalnicy. Była czwarta po południu i żar bezchmurnego nieba nieco zelżał. Od gór powiewało od czasu do czasu lekkim chłodem. Ale Studentowi ani trochę nie było lepiej. W Dołżycy, do której trafili bez trudu, idąc z Majdanu — brygada uchwaliła właśnie, że ten poniedziałek będzie robotny, co wprawdzie było wbrew dotychczasowym zasadom, ale obawiano się, że wraz z nowym pracownikiem przyjdzie sam inspektor nadzoru Dec, przed którym wszyscy czuli pewien respekt.

— Dobrze, żeś już przyszedł — powiedział Heniu Wyczynowiec — będziesz przynosił mi cegłę i zaprawę. Założyłem się z majstrem, że swoją dolę odwalę w pięć godzin.

— Nasermater, szlag mnie chyba trafi, co ja mam z tym Wyczynowcem — mówił sepleniąc mocno szczerbaty majster — na co cie tak cholera jedna gna?

— Muszę mieć więcej forsy, przyjeżdża taka jedna do Cisnej, aż z koszalińskiego. Tutejsza, widziałem jej zdjęcie. Wygląda pierwsza klasa. Taka czarna i jakby wszystko miała na wierzchu.

No i zaczęło się. Po godzinie Studentowi pociemniało w oczach. Po trzech, cucił się w płynącym nie opodal strumieniu o lodowatej wodzie. A Heniu szalał bez opamiętania. Majster zaś nic nie przejmował się podjętym zakładem. Pracował wolno, z namysłem, systematycznie, często gęsto robiąc przerwy na papierosa. Towarzyszący mu wysoki i chudy jak szczapa pomocnik — Maks zwany Gruźlica — łykał w tym czasie jakieś ziółka z brudnej butelki: nie mógł dojść do siebie po wypitej przez pomyłkę — jodynie, którą zaordynował sobie na wiecznie bolący żołądek.

O wpół do trzeciej Heniu podniósł w górę kielnię i zawołał: — Fajerant panie majster, fajerant!

Majster spokojnie wyjął z tylnej kieszeni mocno wygnieciony portfel i wręczył Heniowi czerwony papierek.

Ledwo opuścili budowę, Heniu Wyczynowiec powiedział:

— Założę się z tobą, że dojdziemy do Kalnicy za godzinę.

— A ile to kilometrów?

— Tylko dziesięć, wcale nie dużo, prawda?

— Nie mam zdrowia — Studentowi jeszcze było słabo.

— O stówę... no o pięćdziesiąt. Dycha! Zgoda?

— Niech będzie — westchnął Student.

Heniu z miejsca ruszył śpiesznym marszobiegiem wyraźnie zadowolony z siebie, z życia, ze wszystkiego. Za nim usiłował nadążyć Student.

Po czterech kilometrach Student poddał się.

— Masz tu dychę — powiedział wyciągając rękę z bilonem.

— Za darmo nie chcę — nie zgodził się Heniu — musisz wytrzymać. Zobaczę, na ile cię odstawię. — I ruszył znowu naprzód. Po chwili zniknął za zakrętem.

W Przysłupiu Student już z daleka usłyszał gwar głosów. W pobliżu bazy namiotowej grupa turystów grała w siatkówkę. Obok, Heniu Wyczynowiec przyglądał się grze. Obracał głową, raz w lewo, raz w prawo, uważnie śledząc lot piłki. W pewnej chwili zawołał:

— Założę się, że mojej piłki nikt nie odbierze...

Więcej Student już nie słuchał. Prawie biegł, byle nie słyszeć i nie widzieć, co dalej będzie się działo. Po drodze kilka razy odpoczywał. Wreszcie po kolejnym zakręcie ukazała się płaska dolina. W oddali zarysowały się kontury baraków. Od Smereka powiał chłodny wiatr, Student przyśpieszył kroku. Był głodny.

W Kalnicy raz po raz zatrzymywały się samochody. Dookoła kipiało gwarne życie. Kiedy Student dochodził do baraku, stało chyba ze dwadzieścia kilka maszyn. Właśnie wchodził na ganek, kiedy z hukiem zatrzymała się ciężarówka z rozkrzyczanym tłumem robotników.

— Na ręce go! Na ręce! Dawać go — wołano.

Kilku chwyciło Ogiera pod ramiona. Inni złapali za nogi. Ogier śmiał się. Zniesiono go z samochodu.

— Stawiam wszystkim kolejkę! Każdemu — krzyczał.

Tłum wtoczył się na ganek. Student popchnięty wleciał do przestronnego pomieszczenia. Ale stamtąd z powrotem został wyrzucony na ganek przez inną grupę, która wychodziła zobaczyć co się stało. Ktoś wcisnął mu potężny kufel piwa. Rozogniony Ogier przepijał do wszystkich i do każdego, tak jak chciał. Ucałował Studenta. Walnął kuflem w jego kufel.

— Pij, inteligencie z bożej łaski. Pij! — wołał.

Student zaczął pić. Kiedy skończył, zakręciło mu się w głowie. Od rana nic nie jadł.

— Dać mu jeszcze raz — krzyczał robotnik z podbitym okiem.

Wypił następny kufel. Poczuł się raźniej. Zobaczył, że Piszpan niesie gitarę. Wypił jeszcze jeden kufel. Dookoła ciżba; ludzie wzajemnie przekrzykiwali się.

— Ale było, co?...

— Te minery chyba pijane byli, górę tak rozpieprzyć, żeby połówka została...

— Chłopie, co się działo, kukuruźniki latały, jakby wojna się zaczęła, wopiści...

— ...ale Ogier umie gadać z władzą. Tak zabajerował tego sierżanta, że tylko machnął ręką...

Studentowi zachciało się śpiewać. Wszedł na stół i chwycił gitarę. Co oni tacy ważni? Tacy pewni siebie, zadowoleni. Och, ale jak ja im zaśpiewam — mówił do siebie. Rozstawił nogi, lewą ręką trzymał gryf instrumentu, łokciem prawej ręki przycisnął pudło do biodra. Z całej siły zaczął walić w struny. Nabrał powietrza i zaczął śpiewać. Gwar nie zmniejszał się. Śpiewał więc coraz głośniej. Zapamiętał się w tym śpiewaniu. Wydało mu się, że nie jest gorszy od Presleya. Był zadowolony z osiągniętej modulacji głosu. Zduszone wibrato z odpowiednim natężeniem. Do tego słowa może w pół, może w ćwierci podobne do angielskich. Czuł się coraz lepiej i pewniej.

Zobaczył, że niektórzy zaczęli go słuchać.

— Po jakiemu to? — doleciało go z boku.

— Chyba po chachłacku...

— A uorwo siek, a uorwo siek, uorwo, orwo siek — śpiewał Student modnego rocka.. Skończył. Wszyscy wrzeszczeli, bili brawo i krzyczeli. Znowu ktoś mu dał kufel. Z łasonem wypił do dna i... zleciał ze stołu. Stary Lis złapał go w powietrzu i położył na ławce.

— Chłopaki! Ludzie kochane — Stary Lis był już tęgo wstawiony. W odróżnieniu jednak od porannego nastroju teraz był szczęśliwy. — Zaśpiewajmy po naszemu — wołał. — Bezame, bezame nucę — zaczął patrzeć na księżyc co wyszedł zza chmur. Oświecił więzienie, powiedział dobranoc i skrył się za więzienny mur. Stary Lis posiniał, bo wziął za wysoko.

— .. dni płyną tak wolno, a smutek wokoło — zaryczeli wszyscy — ...więźniowie twardym snem śpią. Ja śpiewam w oddali, me serce się żali, bo tęsknię za tobą. Be...

— A za co go zabili? — ryknął śpiewnie Ogier...

— ...za tysiąc osiemset osiemdziesiąt złotych — skandowali... i pięćdziesiąt groszy...

...za tysiąc osiemset osiemdziesiąt złotych — powiedział półgłosem pierwszy.

...i pięćdziesiąt groszy — dodał drugi.

Poprawili plecaki. Spojrzeli na siebie.

— Idziemy — powiedział pierwszy.

— Idziemy — odrzekł drugi.

I poszli, jakby zdali sobie sprawę, że nigdy już nie wróci największa przygoda w ich życiu.

Blady Niko i Dulcynea

W naszym mieszkaniu przy ul. Zielonej 48, front, trzecie piętro, stało pianino. Nie żaden tam Schröder, ale też zagraniczne, krzyżowe. Bębniłem na nim szlagiery, podśpiewując sobie słowa piosenek. Grałem ze słuchu, a że i głos mam nienadzwyczajny, sznaps baryton, jak twierdzą znajomi, nie obchodziło się bez fałszów (ach, ta lewa ręka!), kto by się jednak przejmował takimi drobiazgami!

Cały front, poza dwoma mieszkaniami, zajmowała moja szeroko rozgałęziona familia. Pianino było u wszystkich. Własny instrument i czarne karakuły pani domu należały do dobrego tonu, więc nawet w średnio zamożnych domach mieszczańsko-kupieckich przestrzegano tej tradycji. Rzecz jasna, i w mojej rodzinie nie mogło być inaczej: w „salonie" u każdego wujostwa i stryjostwa królowało pianino, a w garderobie każdej ciotki i stryjenki — pachnące naftaliną futro.

Kuzynki i kuzyni pobierali naukę gry u prywatnego nauczyciela muzyki. Rodzice z rozrzewnieniem i cichą nadzieją przysłuchiwali się popisom swych pociech. Kto wie, może któreś z ich progenitury zostanie słynnym wirtuozem, a taki wirtuoz to w perspektywie wysokie honoraria, wojaże zagraniczne...

Ja, niby współczesny nomada, wędrowałem od mieszkania do mieszkania, popisując się recitalami. Zachodziłem na gościnne występy i do „obcych" — na parter do Kustinów (same córki, czarnookie brunetki) i na pierwsze piętro vis a vis mej babki, gdzie mieszkała rodzina Kalmanowiczów, dla odmiany z samymi synami — Ilek, Bronek, Lolek i Paweł. Ostatni obłał maturę i zdesperowany wyruszył w świat, by po latach zbić fantastyczną fortunę w Stanach Zjednoczonych (ale nie jako wirtuoz). Dziś zalicza się on do grona 200 najbogatszych businessmanów i ostatnio, jak doniosła prasa, ofiarował ćwierć miliona dolarów na Szpital-Pomnik Matki Polki w Łodzi.

Pierwszy dopadł mnie blady Niko. Miałem wtedy dziesięć, może jedenaście lat. Imię bohatera tej piosenki, śpiewanej w mieszkaniach i na podwórzach, wymawiałem podobnie jak moi rówieśnicy: „Bladyniko" i odmieniałem: „Bladynika", „Bladynikiem". „Bladynikowi". Melodia mimo upływu 60 lat, nie wywietrzała mi z głowy. Nut nie podam, do dziś nie wyznaję się na nich, za to służę fragmentem refrenu:

Całe me szczęście i cały dla mnie świat
blady Niko, blady Niko,
on był pierwszy, co posiadł miłości mojej kwiat,
blady Niko, blady Niko...

Potem do naszego mieszkania wtargnął okrutny kuternoga z Azji, który przedtem zdążył podbić kilka krajów, potomek jeszcze groźniejszego Czingis-chana. Panie, śpiewając przebój o nim, dostawały wypieków na twarzy, łona ich falowały, a rozmarzone oczy wznosiły się ku niebu.

Tamerlan to dziki był azjata,
Kirgizów wielki książę, ich wódz i pan,
Tamerlan przez łąki gnał jak szatan,
gdzie stąpnął nogą, tam już kwiatów więdnął łan.
Kobiety drżały, mdlały, lecz szły za nim w świat,
padały miasta, padał dziewcząt białych kwiat,
wśród dzikich stepów Azji piękny był to czas,
któż teraz tak jak on uwiedzie nas?...

W latach dwudziestych bohaterów i bohaterki szlagierowych piosenek chrzczono nagminnie imionami zagranicznego pochodzenia — francuskimi, włoskimi, hiszpańskimi. To fascynowało słuchaczy, przydawało tym love-stories dla ubogich czaru, tajemniczości, przenosiło do egzotycznych krajów...

Lou, czy znasz „Palace-Hotel"?
to mych wycieczek nocnych zwykły cel,
tam każdy zna mnie, i dla mnie uśmiechów ma moc,
bo ja tam bywam co dzień i noc.
Portier mówi mi „Pardon"
i po napiwek dłoń wyciąga swą,
pokojówka czyni gest: „Pokój gotów jest,
proszę wejść do środka!".

Bez księżyca, bzów, słowików i pocałunków nie mógł się obejść żaden nastrojowy szlagier.

Dulcyneo, księżyc zgasł,
Dulcyneo, na nas czas,
gdy twe usta i oczy się śmieją,
całuj mnie póki czas, Dulcyneo...

I Dolores, ognistą brunetkę o fascynującej urodzie, amant prosił o pocałunki.

O Dolores, jeszcze jeden raz,
całuj mocno, nikt nie widzi nas...

Inny twórca sięgnął głębiej:

To idzie Loulilla, co ma dessous lila,
i tu i tam lila...

Carmencita była Cyganką; wędrowała z taborem współbraci po świecie, budząc wszędzie piekielne żądze u mężczyzn.

Carmencito, najcudowniejsza Cyganko;
Carmencito, całuj mnie diabła kochanko;
smagłe ręce zarzuć mi, wiotkie, dziewczęce,
a w podzięce biedne serce oddam ci...

Ktoś doszedł do wniosku, że pojedyncze imię, choćby najbardziej egzotyczne, to mało. Nadał więc swojej bohaterce podwójne.

Mary Lou, Mary Lou, kocham cię tam i tu,
czyś księżyca promieniem, co w dal ucieka,
czy przeznaczeniem, co woła mnie z daleka,
Mary Lou, Mary Lou...

Moda na imiona z importu przyjęła się. Przed wystawą księgarni Seipelta przy ul. Piotrkowskiej 47 jedna pensjonarka spytała drugą: — *Czytałaś już Dżonkę Zapolskiej?*

Ale wszystko ma swój koniec (wszystko ma swój koniec, twierdzą nie bez racji, wszystko ma swój koniec, prócz kanalizacji — śpiewano na rewii „Halo, łodzianki" w parku Staszica o ślimaczym tempie robót kanalizacyjnych w Łodzi), więc tekściarze przestawili się na nasze swojskie, prząśne imiona.

Wando, kocham cię nad życie, jedź ze mną w świat,
Wando, w tej spelunce nędznej zwiędniesz jak kwiat.

Piosenki skomponowanej specjalnie na jej cześć doczekała się aktorka Hanka Runowiecka, występująca w przybytkach podkasanej Muzy. Słowa napisał jej mąż Walery Jastrzębiec, powojenny dyrektor „Zaiksu".

Hanko, czyś zapomniała,
jak przy księżycu mnieś całowała?
Zostały mi wspomnienia, usta twych drżenia
dziś mi brak,
więc nie dręcz dłużej i powiedz „tak"...

Później, gdy podrosłem, nasze mieszkanie rozbrzmiewało innymi melodiami. Nuciłem i przegrywałem na wysłużonym pianinie piosenki z prawdziwego zdarzenia, piękne, poetyckie, pióra takich mistrzów jak: Tuwim, Hemar, Szlengel, Szlechter, Jurandot, Brzechwa, z muzyką naszych czołowych kompozytorów — Petersburskiego, Goldów, Kataszka, Karasińskiego. Do dziś bezbłędnie pamiętam te melodie i słowa — canta i refreny, lecz... i tamte wciąż pokutują w siwej łepetynie. I niech tam sobie ludziska psy na nich wieszają, że prymityw, banał, szmira, schlebianie mało wybrednym gustom — zgoda, ale to się śpiewało, nuciło przy goleniu i nadal nuci, a to o czymś świadczy.

A dzisiejsze szlagiery? Prawie żaden do mnie nie dociera — ani melodia, ani tekst...

Znajomy, któremu zwierzyłem się z tego, powiedział:

— *Nie odbiera pan współczesnych piosenek, bo pański aparat w głowie nastawiony jest na inne fale.*

I chyba miał rację.

ADAM OCHOCKI

1

Gdybym został prorokiem

Jesienią zwykle wybiera się telewizyjny reporter do Zakopanego, aby zapytać starego Górala, jaka też będzie zima? Stary Góral spoziera na góry i mówi: — zima będzie piękna, będzie dużo śniegu i mróz. Jest to przepowiednia ze wszech miar słuszna, gdyż Góral zawsze może się wykręcić górami. On przecież patrzył na góry i mówił, jaka będzie zima w górach. A nad morzem trzeba zapytać starego Kaszuba, a w centrum Polski starego Mazura, na wschodnich krańcach tamtejszych starych ludzi i tak dalej. W górach zima zawsze jest piękna, jest dużo śniegu i jest mróz. Pokazują to nam najczęściej fotoreporterzy, którzy pod pozorem robienia zdjęć zimy w górach wybierają się tam na odpoczynek i na narty, albo i na co innego.

Przepowiadanie stało się teraz bardzo modne, ale nikt tego poważnie nie traktuje. Gazety uparcie drukują horoskopy, ale dyrektorzy przedsiębiorstw gospodarki komunalnej ich zapewne nie czytają. A powinni. Gdy bowiem w horoskopie jest pisane, że tydzień będzie ciekawy, to trzeba stawiać całą załogę na nogi, bo niewątpliwie zima zaskoczy. I zaskakuje.

Nie jestem wprawdzie starym Góralem, być może dlatego nikt mnie nie pyta, jaka będzie zima? Gdyby mnie zapytali, powiedziałbym, że surowa, ostra, mroźna i śnieżna. I wcale bym się nie wstydził, gdyby okazało się, że łagodna, ciepła i deszczowa. Otóż przedsiębiorstwa, które potraktowałyby moją prognozę poważnie, przygotowałyby się solidnie do zimy i nic by ich nie zaskoczyło. Wiodomo bowiem, że w naszym klimacie są cztery pory roku. Nawet Polskie Radio ma taką audycję: „Cztery pory roku". Teraz nadają: „Zimę". Po zimie będzie wiosna. Daję tę przepowiednię zupełnie darmo, w czynie społecznym. Jaka będzie wiosna? A to inna sprawa. Dojdziemy i do tego.

Telewizja pokazała nam Murmańsk, w którym było 42 stopnie mrozu. Prezenter ze zdziwieniem odczytał komentarz, że mimo takiego mrozu port w Murmańsku pracuje bez zakłóceń i także komunikacja miejska, a na przystankach płoną ogniska. Jak oni to robią? Podejrzewam, że radziecka telewizja nie pyta przede wszystkim starych górali o to, jaka będzie zima. Oni po prostu przygotowują się do srogiej zimy, bo takie tam bywają i nie dają się zaskoczyć. Nawet na Syberii. Poza tym muszą mieć dobrą organizację pracy.

Prawdę tę odkrył niedawno w radiu Jerzy Kowalski — radiowy komentator ekonomiczny. Wygłosił felietonik, w którym przypomniał, że już parę razy zima nas zaskoczyła i później przez kilka miesięcy gospodarka odrabiała poniesione straty.

Wniosków z tego nikt nie wyciągnął. A poza tym zaskakująca nas zima bezlitośnie obnaża wszelkie nasze organizacyjne ułomności. Absolutna racja. Jerzy Kowalski powiedział, że nie potrzeba IRCh-y, NIK-u, PICH-u i innych instytucji kontrolujących, aby obnażyć nasze braki, wystarczy zima. Zgadzam się i żałuję, że ja tego nie napisałem pierwszy. Ale w końcu nieważne, kto to zrobił, ważne, aby wnioski z tego wreszcie wyciągnąć.

Jaka jest nasza zima, każdy może zobaczyć wychylając się przez okno. Wystarczy ruszyć na miasto, aby samemu sprawdzić, jak na przykład działa komunikacja. Działa fatalnie. Ludzie czekają godzinami na przystankach, a po szynach jadą same „awarie". Koło przepełnionych przystanków przejeżdżają puste autobusy z napisem „przewóz procowników" i nikomu nie przyjdzie do głowy, aby zatrzymać się i zawołać: — Jadę na Widzew, komu po drodze, proszę wsiadać! Nie ma nakazu, nie ma przepisu, nie ma wyobraźni.

W wieżowcu przy ul. Zarzewskiej na samej górze w wolną sobotę pękła rura. Woda leciała po schodach. Ale w administracji „Czerwonego Rynku" dyżurował tylko jeden człowiek, który nie był w stanie wszystkiemu zaradzić. Pogotowie wodociągowe odpowiedziało, że ma 7 awarii i przyjedzie za dwie godziny. Co najmniej..

U mego znajomego na Nowym Złotnie zabrakło elektryczności. Jest to rejon rolniczy, ludzie mają tam krowy, a te przyzwyczaiły się do elektrycznych dojarek. Na interwencję w Zakładzie Energetycznym Łódź — Miasto odpowiedziano: — samochody nam zamarzły, nie mamy czym przyjechać, najwyżej na białym koniu! Chociaż humor w narodzie nie wygasł. Ale humorem gospodarki nie uratujesz!

W wolną sobotę wszyscy chcą wypoczywać. Tylko, gdy zagraża nam kolejna klęska, ktoś musi dyżurować, aby ktoś mógł odpoczywać. I tak na zmianę. Łatwo to przewidzieć, ale nikomu się nie chciało. Wszyscy byli pewni, że tej zimy nie będzie ani śniegu, ani mrozu.

A teraz zupełnie darmo, w czynie społecznym, przez nikogo nie proszony, będę wieszczył. Otóż uwaga! Nieuniknienie nadejdą roztopy i wtedy rzeki wystąpią z koryta. Będzie powódź. Radzę już teraz do niej się przygotować. Pamiętajcie, że ostrzegałem.

ZENON POROWATY

2

Bądź pan człowiekiem

Tuż przed świętami Bożego Narodzenia w moim mieszkaniu przestały grzać kaloryfery. Ponieważ zdarzało się to wcześniej kilkakrotnie, pomyślałem w pierwszej chwili, iż — jak poprzednio — uległy one zapowietrzeniu. Wkrótce jednak wyszło na jaw, że nie tylko u mnie słupek rtęci w termometrze zaczyna opadać w gwałtownym tempie. U sąsiadów — również. Rada w radę postanowiliśmy tedy co prędzej powiadomić o tym przykrym fakcie administrację w nadziei, że awaria centralnego ogrzewania w naszym domu zostanie szybko i skutecznie usunięta. Kierownik administracji, który odebrał telefon, nie był jednak skłonny podzielać naszego optymizmu.

— Nie wiem, czy da się coś zrobić — wyznał nam od razu z rozbrajającą szczerością — bo akurat nie mamy żadnego hydraulika. Jeden jest aktualnie na zwolnieniu lekarskim, a drugi od paru dni z niewiadomych przyczyn w ogóle przestał pokazywać się w pracy.

— No dobrze, ale my tu marzniemy, niektórzy mają małe dzieci...

— Ja rozumiem i współczuję — odparł kierownik. — Cóż jednak w tej sytuacji mogę poradzić? Jestem bezsilny. Niech pan będzie człowiekiem i zrozumie także mnie.

No i zrozumiałem. Zrozumiałem, że zostałem zwyczajnie oszukany, a odwoływanie się wspomnianego kierownika do naszego wspólnego człowieczeństwa jest niczym innym, jak kpieniem sobie w żywe oczy (pardon — uszy, gdyż była to rozmowa telefoniczna). Wyobraźmy sobie bowiem, że spłukany po świętach dzwonię do tegoż kierownika administracji, czy innego pracownika spółdzielni i mówię, że w styczniu, niestety, nie będę mógł zapłacić komornego, gdyż właśnie zwaliła mi się rodzina w zwiększonej objętości, musiałem zrobić większe niż przewidywałem zakupy i w związku z tym... Po prostu nie mam akurat forsy. Ja rozumiem, że powinienem, ale cóż, biedny, mogę poradzić? Jestem bezsilny. Niech więc pan (pani) będzie człowiekiem i zrozumie także mnie.

Już słyszę ten śmiech w słuchawce, a potem, że co to kogo obchodzi, że to moje zmartwienie, że jak nie zapłacę, to zostanę ukarany, itd. I słusznie! Tylko że umowa lokatora ze spółdzielnią musi obowiązywać obie strony, więc po co rozprawiać o jakimś tam zrozumieniu. Szanowny panie kierowniku, jeśli nie ma pan hydraulików, niech pan poszuka nowych, pożyczy z innej administracji, a w ostateczności niech pan nawet sam zakasze rękawy. To nie moje zmartwienie, co pan zrobi. Ja mam mieć ciepłe kaloryfery i już. Reszta mnie nie obchodzi.

A teraz poważnie. Bo nie pisałbym tego felietonu, gdyby tylko chodziło o zimne przez parę dni — pech chciał, że świątecznych — kaloryfery. Sprawa była przykra, ale przecież w gruncie rzeczy banalna. Każdy z czytelników mógłby od razu przytoczyć dziesiątki podobnych historii. Jak mówi mój wnuczek — normalka! Napisałem ten felieton, gdyż owo wołanie o zrozumienie rozlega się w naszym kraju coraz donośniej i z coraz to nowych stron. To właśnie — już jako pewne zjawisko w skali masowej — zdumiewa najbardziej, zastanawia, skłania do wspomnianej powagi. Wystarczy uważniej poczytać gazety.

Oto na przykład kolejarze proszą nas o zrozumienie, że wagony często są brudne, ale brakuje ludzi do ich mycia. Pocztowcy — że listy nie zawsze docierają na czas, ale nie ma kto ich sortować. Handlowcy znów — że sklep zamknięty z powodu przyjęcia towaru lub inwentaryzacji, ale oni po ośmiu godzinach też chcą odpocząć, więc przyjmują dostawy i liczą w godzinach pracy. Jesteśmy przecież ludźmi i powinniśmy to zrozumieć. Urzędnicy...

Mało tego: to nie proszą nas już jacyś kierownicy administracji, ekspedienci, konduktorzy, referentki. Zrozumienia oczekują dyrektorzy, a zdarza się, że nawet ministrowie, czyli ludzie, którzy za to między innymi biorą pieniądze, aby organizacja pracy w podległych im placówkach i instytucjach była wzorowa, a w każdym razie nie budziła tak powszechnej często krytyki społeczeństwa. I to jest już — przynajmniej dla mnie — przerażające. Świadczy bowiem o indolencji, braku odpowiedzialności i lekceważeniu obywateli, którym służby administracyjne, handel, usługi, poczta, koleje i inne ułatwiać mają, a nie utrudniać życie.

JÓZEF RETMAN

P.S. Wczorajszej nocy śniło mi się, że siedzimy sobie przy wielkim ognisku na śniegu, chrupiemy chlebek z zeszłorocznego wypieku, palimy machorkę zawiniętą w gazetę, a oczy nasze pełne są wielkiego, ludzkiego i szczerego zrozumienia. Cóż za piękny i wzruszający widok, prawda?

3

Sport

Apelami świata się nie zmienia

Śniegu nam tej zimy nie brakuje. Za oknem śnieg, w sprawozdaniach sportowych śnieg. Tylko nas na tym śniegu nie ma. Piotr Fijas nadrabia braki w Szczyrku, a jego następcy — no, może poza Janem Kowalem — nie robią najlepszego wrażenia. Józef Łuszczek startuje w Biegu Wazów. Dwie siostry Małgorzata i Dorota niegdyś Tlałkówny, a dziś Magore wybrały sobie nową ojczyznę, ale większych sukcesów im to nie zapewniło. Weterani są zmęczeni i powinni ustąpić miejsca młodszym, ale tych młodszych zupełnie jakoś nie widać. I to nie tylko w sportach zimowych.

O kryzysie panującym w lekkiej atletyce wróble od dawna ćwierkały na dachach, tylko władze PZLA nie potrafiły tego kryzysu dostrzec. Władze się zmieniły, ale kryzys pozostał. I nawet się pogłębił. Przykry przypadek Antoniego Niemczaka, u którego wykryto środki dopingowe, ujawnił nowe oblicze tego kryzysu. Antoniego Niemczaka dożywotnio zdyskwalifikowano, ale problem dopingu pozostał.

Na odbytym niedawn Ogólnopolskim Zjeździe Trenerów i Instruktorów Lekkiej Atletyki mówiono również i o dopingu. Zgromadzeni trenerzy uchwalili piękny apel do wszystkich trenerów, w którym wzywa się, aby zaprzestali stosowania „dopingu w postaci środków farmakologicznych w treningu sportowym". Ten apel mają podpisać wszyscy. Jego autorzy stwierdzają zatem: „Uważamy, że każdy ze szkoleniowców zadeklaruje czystość swoich środków szkoleniowych w procesie treningowym, a w przypadku nieprzestrzegania wymogów moralnych naszego zawodu będzie świadomy poniesienia konsekwencji". Bardzo mądra rzecz, taki apel, ale samymi apelami świata się nie zmieni. Przykro mi, ale taka jest niestety prawda.

Po pierwsze — do rozstrzygnięcia jest bowiem sprawa odpowiedzialności. Kto właściwie odpowiedzialny jest za to, że młody człowiek: chłopiec czy dziewczyna — bierze środki dopingujące, które trwale niszczą jego organizm i powodują nieodwracalne zmiany patologiczne. Zmiany te mogą na przykład powodować bezpłodność u dziewcząt, a degenerację potomstwa u chłopców. Czyż jest możliwe, aby takie środki były łatwo dostępne dla każdego? Czyż młody człowiek tak sam z siebie je bierze? Sam na to wpada? Mam duże wątpliwości. I nie tylko ja. A zatem, jaka jest odpowiedzialność lekarza, który powinien opiekować się młodym sportowcem i jaka jest odpowiedzialność trenera? Jak do tej pory jest to problem jedynie teoretyczny.

Po drugie — kierownik wyszkolenia PZLA Honorat Wiśniewski w rozmowie z Grzegorzem Popielarzem ze „Sportu" zwrócił uwagę na fakt, że lekkoatleci osiągali dobre wyniki w Polsce. Wyniki te kwalifikowały ich do udziału w międzynarodowych imprezach, ale tam — gdzie była silna antydopingowa kontrola — wyników tych nie osiągali. A zatem wniosek jest prosty: wyniki w kraju osiągali dzięki środkom dopingującym. Czy robili to bez wiedzy i zgody trenera i lekarza?

Młody człowiek jedzie za granicę i tym wyjazdem jest zainteresowany również trener. Zdarzają się przypadki, że zawodnik dzieli się z trenerem premią w walutach, jaką otrzymuje za udział w zawodach. Trener nie otrzymuje bowiem nic. A jak się zawodnik nie dzieli, to nie ma szans na następny wyjazd. Nie wszyscy tak postępują, ale wystarczy, że jakaś część trenerów. Oni nie będą zainteresowani w postępowaniu, do jakiego wzywa apel. I apel pozostanie jedynie historycznym dokumentem, jak szereg równie słusznych ustaw, zarządzeń, uchwał itp.. Trzeba zatem znaleźć takie rozwiązanie, aby trener też otrzymywał premię w walucie, ale wszak nie od wychowanka, tylko od instytucji, która go deleguje.

Są to sprawy bardzo ważne, gdyż w lekkiej atletyce musi nastąpić zmiana warty. W 1988 roku odbędą się Igrzyska Olimpijskie w Seulu. Pozostało do nich trochę czasu, prawie dwa lata. Powiedzmy, że półtora roku. Powołano 24-osobową kadrę olimpijską: 13 kobiet i 11 mężczyzn. — Otóż — jak to obliczył Honorat Wiśniewski — na 220 najlepszych wyników w lekkiej atletyce uzyskanych w 1986 roku tylko 23 były uzyskane przez zawodników mających więcej niż 23 lata. Coś to znaczy. A jak w świetle tego wygląda nasza kadra? Średni wiek kobiet wynosi 25,7 lat, a mężczyzn 28,2. Proszę jednak pamiętać, że w chwili startu w Seulu będą o te półtora roku starsi. Średni wiek mężczyzn zbliży się niebezpiecznie do 30. W lekkiej atletyce — przykro to powiedzieć — jest to już wiek emerytów. Ale tabunu młodzieży, która rwałaby się na boiska, skocznie i bieżnie, jakoś nie widać.

Słusznie więc się mówi, że lekką atletykę trzeba odbudowywać w... szkole, że trzeba zmienić stosunek do małych klubów, które teraz niemiłosiernie się eksploatuje, że... To wszystko słuszne i piękne stwierdzenia, ale jeśli tylko będą stwierdzeniami, to nic z tego dla lekkiej atletyki nie wyniknie. A powinno. Byłoby najpiękniej, gdyby tym wspaniałym sportem zajęli się ludzie, którzy go po prostu lubią. Lubią i kochają, a nie traktują jako sposobu na robienie pieniędzy. Ale aż taka idealistka, aby mieć taką nadzieję, to ja znów nie jestem.

BOGDA MADEJ

Agonia w błysku stu słońc

Jacek Sawaszkiewicz

(33)

— W porządku — odpowiada dusza pana Leinstera. — Jakby co, to ja jestem gotów. Nie pozwolę, żeby jakiś zgnilec ciągał się z moją córką po celach pokutnych tego Czyśćca. Już ja jej dopilnuję. Pod warunkiem, że znajdę ją w tym cholernym tłoku tutaj.

FRAGMENT EGZEGEZY Z „EWANGELIARZA ELIASA"

Informacja dla fizyków starej daty.

Energia wydzielona podczas wybuchu wyniosła około:

800 000 000 000 000 000 000 000 ergów.

Informacja dla fizyków współczesnych.

Energia wydzielona podczas wybuchu wyniosła około: osiem razy 10 do potęgi 16 J.

Informacja dla astronomów.

Energia wydzielona podczas wybuchu była równa energii słonecznej, która w każdej połówce sekundy dociera do naszej planety.

Informacja dla miłośników motoryzacji.

Energia wydzielona podczas wybuchu była równa energii, którą można uzyskać przez spalenie:

2 300 000 000 litrów

(ok. 14.000 000 baryłek)

benzyny. Taką ilość benzyny zużyłby średniolitrażowy samochód objeżdżając kulę ziemską wokół równika sześć tysięcy razy.

Informacja dla elektryków.

Energia wydzielona podczas wybuchu wystarczyłaby do zasilania stuwatowej żarówki przez dziesięć miliardów dni, czyli przez ponad dwadzieścia cztery miliony lat bez przerwy.

Informacja dla wojskowych.

Naganna rozrzutność, panowie!

Załóżmy, że tę samą ilość energii, która wydzielona została podczas wybuchu, miałby wydatkować pojedynczy żołnierz — mordując ludzi zwykłym bagnetem, przez dwanaście godzin na dobę, w tempie: jeden człowiek co dziesięć sekund. Otóż energii tej wystarczyłoby mu na osiem milionów lat i na zamordowanie w tym czasie wszystkich ludzi na świecie — każdego po trzy tysiące razy.

Informacja dla erotomanów.

Energia wydzielona podczas wybuchu była równa energii, której potrzebowałoby pół miliarda par na odbycie od pięciuset do sześciuset kopulacji. Odliczając pary homoseksualne, pary młodociane oraz pary w wieku poreprodukcyjnym i przyjmując, że tylko jedna kopulacja na tysiąc skończyłaby się zapłodnieniem, dzięki zużytej energii zostałoby poczętych około stu milionów istnień.

Informacja dla tych, co dbają o linię.

Energia wydzielona podczas wybuchu była równa energii, którą twojemu organizmowi dostarczyłoby:

4 000 000 ton

(ok. 79 000 000 cetnarów)

ciasta tortowego. Ułożona w stertę taka ilość ciasta mogłaby utworzyć drugą piramidę Cheopsa.

Informacja dla głodujących.

Energia wydzielona podczas wybuchu była równa energii, którą waszym organizmom, głodujący ludzie, dostarczyłoby:

10 000 000 000 kilogramów

(ok. 22 000 000 000 funtów)

chleba. Do przewiezienia takiej ilości chleba potrzebnych byłoby tysiąc dziesięciotysięczników i dziesięć tysięcy pociągów po dwadzieścia pięć wagonów czteroosiowych w każdym.

Informacja dla głodujących — ciąg dalszy (coś w rodzaju kulinarnej porady).

Atomowa Kucharka ze skandalicznym niedbalstwem potraktowała swoje obowiązki. Dziesiątki tysięcy delikwentów spaliła na węgiel, pozostawiając za to setki tysięcy w stanie na pół surowym. Tymczasem energia wydzielona podczas wybuchu była dostatecznie duża, by przy jej sprawiedliwym, równomiernym rozdziale przyrządzić ciepłą, pożywną i smaczną strawę z ośmiuset milionów osób. Jeśli założymy, że z każdego człowieka dałoby się uzyskać średnio 50 kilogramów (ok. 110 funtów) mięsa oraz podrobów (móżdżek, płucka, wątróbka, cynaderki i tak dalej — co tam kto lubi) — to w rezultacie otrzymalibyśmy taką ilość żywności, że byłoby czym karmić was, głodujący ludzie, przez cały rok.

„DEUS EX MACHINA"

Miejsce akcji: ściśle tajne
Czas akcji: ściśle tajny
Nazwiska osób: ściśle tajne
Zagajenie: ściśle tajne
Treść raportu „Deus ex machina": ściśle tajna
Wnioski: ściśle tajne
Decyzje: ściśle tajne
Rozmowy kuluarowe: nie było

Samopoczucie uczestników narady: wyborne. No, bo w końcu operacja „Deus ex machina" została przeprowadzona pomyślnie i zakończyła się sukcesem. Wskutek zręcznych posunięć podpułkownika E. C. Castro pogłoska, że wojsko wykupiło część gruntów na południu Florydy, nie tylko rozeszła się wśród branżowców spod znaku nieruchomości, ale również, pośrednio i poufnymi kanałami, dotarła już do uszu ciekawie nastawionych, dla których była przeznaczona. Jak się przypuszcza, zdołała ona w pewnych kołach wywołać spodziewane wrażenie, jakoby Siły Zbrojne Stanów Zjednoczonych czyniły przygotowania do budowy następnej tajnej bazy atomowej — właśnie w okolicach lub na terenie tak zwanego „Trójkąta Florydzkiego", który zresztą prawdopodobnie jest owocem mistyfikacji.

Słusznie, „Trójkąt Florydzki" jest owocem mistyfikacji, ale podwójnej (ponieważ ani się tam nic nie stało, ani się tam nic budować nie zamierza) i zanim obcy wywiad to zweryfikuje, a będzie musiał zaangażować w tę sprawę większość swoich agentów i zdrowo się przy niej napocić — upłynie dostatecznie dużo czasu, żeby spokojnie i ukrywając ten fakt przed samym Bogiem Wszechwiedzącym, zbudować... rzeczywiście zbudować... tę następną bazę atomową — z dala od ludzkich oczu i szpiegowskiej aparatury, gdzieś w rejonie.. ściśle tajne.

Z „EWANGELIARZA ELIASA"

...i od sto sześćdziesiątej sekundy po godzinie „G".

50 kilometrów od punktu „0".

Bardzo mi przykro, Flo. Pojęcia nie masz, jak mi przykro, że niebawem, po długich i ciężkich cierpieniach:

† Florence Leinster

Natomiast tobie, Powellu, serdecznie gratuluję. Kiedy za siedemnaście minut wyjdziesz na szosę, pierwszy nadjeżdżający samochód zahamuje przed tobą i zawiezie cię w bezpieczne miejsce. Nie protestuj, nie płacz i nie rozpaczaj. Ten młody mężczyzna za kierownicą chce wyłącznie twojego dobra. Zastąpi ci on ojca, a jego żona — matkę. Będziesz ich najdroższym dzieckiem, bo własnych nie spłodzą nigdy.

— Hej! — odzywa się nagle znajomy głos. Tym razem to dusza pana Leinstera woła do mnie z wysokości.

— Tak? — odpowiadam.

— Eliaz, nie masz pan tam pod ręką jeszcze jednego samochodu?

— Po co?

— Żeby mnie także zawiózł w jakieś bezpieczne miejsce. Na ziemię. Zresztą gdziekolwiek bądź, choćby do piekła.

— Nie rozumiem.

— To przez te cholerne tłumy wszędzie dokoła. No, myślałem, że przynajmniej tutaj, na tym świecie odpocznę od hałasu, zaduchu i tłoku. Chyba mam do tego prawo, tak czy nie?

— Przyznaję, że na ziemi jest obecnie znacznie luźniej — mówię. — Ale o bezpieczeństwie nie ma mowy.

38 kilometrów od punktu „0".

Liczba pechowców, którzy dopiero teraz żyją naprawdę, podnieceni świadomością, że żywcem płoną, spadła do trzech (sztuk — 3); liczba pechowców, którzy jeszcze żyją, dogorywając w ogniu i w dymie, nadal utrzymuje się na tym samym poziomie (sztuk — 2); liczba pechowców, którzy już nie żyją, wzrosła do sześciu (sztuk — 6). Oto ci nieżyjący pechowcy:

†
†
†
†
†
† Lucy

Skoro mówimy o tej kobiecie niezależnej, z temperamentem i całkiem seksownej, warto dodać, że pośmiertnie połączy się ona z Ronniem. Przyszpilona do maski swojego Chargera, leżąc na wznak i podrygując zmysłowo w płomieniach, unosi nogi zgięte w kolanach i rozwarte, czym przywabi do siebie Ronniego, a właściwie przygnaną tutaj wiatrem (cud prawdziwy to sprawi) jego zwęgloną cząstkę, i uwiedzie go po raz ostatni i ostateczny.

26 kilometrów od punktu „0".

† Tam
† I tam
† O, i tam!
† I tam, i tam, i tam!

Tak że w sumie masz szczęście, Eddie, bo ty przecież jeszcze żyjesz, choć tego życia niedużo ci zostało. Twój dziadek też ma szczęście, nawet większe niż ty, jeśli zważyć rodzaj śmierci, który sobie wybrał.

Wasz los jest już przypieczętowany, a ja — słysząc ponaglenia czytelników — muszę kontynuować swoją relację.

Kontynuuję więc:

† Tam
† I tam
† O, i tam!
† I tam, i tam, i tam!
† Itd.

17 kilometrów od punktu „0".

Brawo, chłopcze, brawo! Twoje życie jest nazbyt cenne, masz do odegrania dziejową rolę reproduktora. Florence Leinster wprawdzie umrze niebawem, ale za to dostaniesz Adamie Ewę. To nie żart. Rzeczywiście mam dla ciebie dziewczynę o tym imieniu, chociaż obecnie jest ona zdecydowanie daleko stąd i wysoko, wysoko nad ziemią.

Adam, chłopcze, nie spoglądaj do tyłu, nie patrz na boki i nie przystawaj. Tak, tu leży...

† Pani Klein

...a tu...

† Bass i jedna z córek Cyrusa Folsoma

...ale jakie to ma znaczenie? Tu na przykład...

† Tu możesz umieścić nazwisko któregokolwiek ze swoich znajomych

...i przestań zawracać sobie nimi głowę.

Natomiast tutaj:

† Tutaj leży twój znajomy, drogi czytelniku

A tutaj, między siedemnastym a jedenastym kilometrem od punktu „0":

† Twoja siostra, drogi czytelniku

† Twój brat, drogi czytelniku

11 kilometrów od punktu „0".

† Wszyscy w tym publicznym schronie i poza jego murami

Poza jego murami także:

† Twój ojciec, drogi czytelniku.

A tutaj, między jedenastym a piątym kilometrem od punktu „0":

† Twoja matka, drogi czytelniku

Nie, nie twoja. Przecież twoja już dawno:

† Twoja matka

Tego drugiego. Tak, tak, twoja.

† Twoja matka

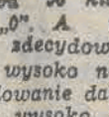

5 kilometrów od punktu „0".

W promieniu pięciu kilometrów od punktu „0" żyją jeszcze tylko dwie osoby: William Frankley oraz Gary. Palą skręty i leżą brzuchami na betonowej posadzce hali na poziomie trzecim pod hangarem F, który już nie istnieje.

Paląc skręty i leżąc tak brzuchami na betonowej posadzce, wkrótce stracą oni przytomność i nie odzyskawszy jej umrą, nim zapadnie wieczór, A wtedy będziemy mogli:

† — Tu umieścić nazwisko Williama Frankleya

† — Tu umieścić nazwisko Gary'ego

Natomiast już teraz, drogi czytelniku, możesz:

† — Tutaj umieścić nazwisko swojej dziewczyny — chłopca — żony — męża (niepotrzebne skreślić).

I znowu 50 kilometrów od punktu „0". A może dalej? Owszem, zdecydowanie dalej i wysoko, wysoko nad ziemią.

Zdecydowanie dalej od punktu „0" i wysoko, wysoko nad ziemią, bo na pokładzie samolotu znajduje się... Nie, tym razem nie będzie o Kate. Jest to inny samolot, z inną załogą i z innymi pasażerami.

Dwustu czterdziestu ośmiu tych pasażerów, różnych narodowości, już wie o zaistniałej sytuacji. Wylądują oni szczęśliwie i wielu z nich przetrwa najtrudniejszy okres. Właśnie między nimi znajduje się Ewa — miła, szczupła, dziewiętnastoletnia szatynka, słabo władająca angielskim, ale pojętna i niewymagająca.

I wiesz ty co, Adam, chłopcze?

No, oczywiście to niegrzecznie zaglądać pannie pod spódnicę, ale ponieważ z mojego dzisiaj widzę ją siedzącą w toalecie... Więc ona także ma figi z materiału podobnego do bladoniebieskiej mgły. I ma więcej — jak ty to nazywasz — towaru do zaoferowania od Lindy Tossey. Przysięgam.

A tutaj, drogi czytelniku!

† — Tutaj możesz umieścić nazwisko swoje i swojego dziecka

FRAGMENT EPILOGU Z „EWANGELIARZA ELIASA"

...Wszyscy jesteście trupami. Z mojego dzisiaj patrzę na was tak jak na film ukazujący minioną rzeczywistość. W moim dzisiaj żadne z was nie istnieje. Nie istnieją wasi rodzice, dzieci, siostry i bracia. Nie istnieją wasze pralki, lodówki i telewizory, wasze domy i przydomowe ogródki, ze starannie przystrzyżoną trawą, wasze garaże i samochody. W moim dzisiaj nie ma już waszych autostrad, mostów, lotnisk, elektrowni i zakładów przemysłowych. Nie ma w nim waszych fabryk, sklepów, magazynów, wytwórni, kopalń, koncernów, towarzystw ubezpieczeniowych i banków. Zniknęła część waszych rzek i jezior, zniknęła większość waszych miast i miasteczek, zmieniła się konfiguracja terenów, nawet kształty waszych kontynentów w moim dzisiaj nie przypominają tych, które widzicie spoglądając na mapę. Wszyscy jesteście trupami. To tylko wasza niewolnicza zależność od współrzędnych czasoprzestrzeni daje wam złudzenie materialnego istnienia...

No wszyscy jesteście trupami.

— Excidium — szepce Sandra.

Amen.

KONIEC

Tytuł pochodzi od redakcji. Tytuł autora „Stan zagrożenia".

Rys. Janusz Szymański-Glanc